Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 19,60 zł w tym 8% VAT ● NR 51–52 (1839–1840) ● 19 grudnia 2025–1 stycznia 2026

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237



Ilust. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl 43829d5945

W numerze:

3: **Abellizm** – wojna z Rosją nam nie grozi, ale władza chce, żebyście się bali

4: **Magia incydentalnego pomagania** – może zamiast uprawiać filantropię, obalmy ustrój?
Budda i Jezus na jednym talerzu – opłatek wielokulturowy

5: **Kolęda o głodzie** – miłosierdzie terapii szokowej na przykładzie Irlandii

6: **Afera Rywina i „komuniści"** – taki z Czarzastego aferzysta, jak z PRL komuna
Jak pisały się petycje – o co walczy Razem. I po co?

7: **Jak zwyciężać mają?** – rozsądni ugodowcy z Nowej Lewicy
TurboPolska, czyli wybierzmy przyszłość – ambitni lewacy z Razem

8: **Ja wam dama!** – czy słuchając Nawrockiej, zatęsknimy za Dudową?
Pierdolenie o Szopenie, morda darta na Mozarta – o zaśmiecaniu polszczyzny przez politykę

9: **Atomowy pic na wodę** – na chuj nam te jądra
Batyr – słodki brutal – czemu prezydent chroni kryptowaluty?

10: **Lewica ma rację** – podatek zdrowotny – tak, tłuszczowy – nie
Narodowego Tindera daję w lewo – żony z przydziału rządowego

11: **Raj szarlatanów** – Doktor Miłość leczy z autyzmu, FBS sieje dzikie ciąże
Centralny Organ Zapładniający – prezydent Rzeczypospolitej chce wiedzieć, czemu się nie mnożymy

12: **Stan wskazujący na dziecko** – picie przy dzieciach: zdrowy rozsądek kontra panika moralna
Kryminał po polsku – Kotliński: hedonista, kurwiarz, ruina człowieka

13: **Państwo z kartonu, kraty ze stali** – rozmowa z facetem, który siedział niewinnie, ale za to długo

14: **Zakaźne z natury** – trzeba mieć zdrowie, żeby przeżyć szpital
Upiorny sen Donalda – czy ktoś może wytłumaczyć premierowi, że zdrowie to nie towar, a lekarz nie ekspedient?

15: **ZUS w ciąży cię obciąży** – Zakład Ubezpieczeń Społecznych nie ufa ciężarnym

16: **Młody Polak łapie doła** – uwierzcie: lepiej być starym
Drogo i szczęśliwie – kiedyś wszystko było lepsze. Normy trójglicerydów też

17: **Gniew kobiet** – dobrze wam radzimy: nie wkurwiajcie swoich bab

18: **Pies do Jeża** – biskup obrońca pedofilów ofiarą antyklerykalnej narracji medialnej

19: **Manna z ziemi, tej ziemi** – czy czarnym jeszcze wolno kraść? Opinie są podzielone

20: **Pełne zatrudnienie** – co by było, gdyby wszyscy mieli pracę? Dobrze by było

21: **Nie dziedziczyć** – kasa po dziadku drogą do upadku. Przynajmniej moralnego

22: **Dziewczynki z zapałkami** – bogaty kraj biednych ludzi
Kolęda o paragonie – dlaczego jest tak drogo? Bo pan Krzychu współpracuje z Putinem

23: **Ideologia pożarła rozum** – Komitet Badań Naukowych na froncie budowy kapitalizmu

24: **Strach się nie bać** – wilku, wilku, dlaczego masz takie wielkie zęby?
Ojcosynowie nadchodzą – białostocka dynastia platformerska

25: **Jungle In The Boat** – Singapur w Łodzi za 380 baniek

26: **I kto tu jest potworem?** – marksistowski wymiar „Frankensteina" na Netflixie

27: **Hau hau** – pogadajmy o psach
W Wigilię myślę o Tomku – pomyślmy o Beksińskim

28: **Pierwsza kolorowa rewolucja w Meksyku** – póki co CIA nie obaliła prezydent Sheinbaum. Ale się stara

29: **Farbowanie po izraelsku** – co znaczy „hasbara" i ile kosztuje

30: **Kręcim pornola** – prywatność nie istnieje. Albo przestań się dymać, albo przestań się wstydzić

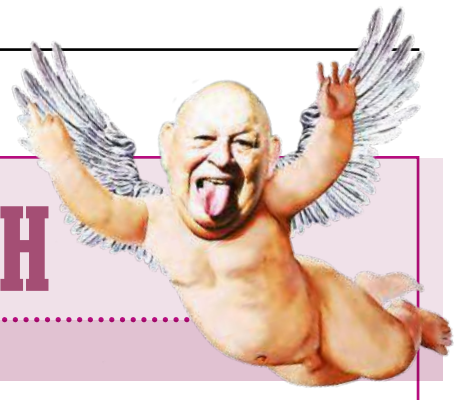
31: **„Grześ" u spowiedzi** – było pite za Legię

A poza tym, jak zwykle: **Blog wszystkich świętych, Prasa śniadaniowa, Życie w dobrobycie, Móżdżek tygodnia, Z czarnej dupy się wyrwało, Wieści z kruchty, Wieści gminne, Trumpolandia, Słówka półgłówka, Dialogi dam, komiks Dąbrowskiego**

Następny, pojedynczy numer „NIE" ukaże się 2 stycznia.

Z URNY BLAGIERA URBANA

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH



Grudzień 2013 r.

Świętej Łucji

Żydosceptycy z „Gazety Polskiej" ogłosili swój kapownik szmalcownika. Rozerwali rozporki przodkom znanych teraźniejszych dziennikarzy. Jeden jest synem vel Mozesa Mordki, syna Judka i Naszy. Ojciec innego nazywał się Mendel Kossoj itd. Autorzy donosu – Dorota Kania vel Kania, Jerzy Targalski vel Targalski, Maciej Marosz vel Marosz – nie mają poczucia, czym są. Oto, od kogo pochodzą. W czasie okupacji mój obrzezany ojciec Urban vel Urbach pojechał do miasteczka Trembowla sprzedać brylant. Przenocował jedną noc w hotelu, którego właścicielka zawołała szmalcownika, a ten odebrał brylant mojemu tatełe. Wszystko normalne, tylko że po wojnie właścicielka hotelu napisała do ojca list z prośbą o jakąś pomoc, gdyż „jako Żyda przechowywała go w czasie okupacji". Artykuł „GP" nosił tytuł „Resortowe dzieci. Media" i oprócz żydostwa niechętnym PiS-owi dziennikarzom zarzuca to, że byli oni lub ich rodzice kapusiami SB. Owych szmatławych przodków według akt IPN opisuje się zwięźle, np.: „gen. Wacław Komar (właśc. Mendel Kossoj) enkawudzista". Gen. Wacław Komar był przed 1939 r. bohaterem wojny domowej w Hiszpanii prowadzonej z katofaszystą gen. Franco wspomaganym przez Hitlera i Mussoliniego. W czasie II wojny walczył we francuskim ruchu oporu. Po wojnie był szefem polskiego wywiadu. Następnie jako „Hiszpan" i „człowiek Zachodu" został straszliwie męczonym więźniem stalinowskim. W 1956 r. stał już na czele polskich wojsk wewnętrznych i w Październiku był jedynym polskim generałem, który organizował obronę Warszawy przeciw nadciągającym radzieckim dywizjom. Czyniło to zeń gwiazdora tłumów. Szubrawcy czytają akta IPN, szukając śladu błota i żerując na analfabetyzmie historycznym swoich fanów. Pudel Azor brzydziłby się obsikać Sakiewicza.

Świętej Odylii

Dalej o artykule Kani, Targalskiego i Marosza. Jest tam fragment o mnie. Ponieważ w aktach IPN prawie nic nie ma na mnie, oznacza to dla „GP", że zostały one zniszczone.

Z tego, co zostało, lustratorzy z „GP" wynotowali: „Departament II MSW prowadził sprawę, w której Jerzy Urban występuje pod pseudonimem Buran. Dotyczyła ona kontaktów obywateli polskich z Ośrodkiem Wywiadu Izraelskiego w Wiedniu w latach 1958–1964". Trzykrotnie publikowałem, że w roku 1953 lub 1954 byłem kapusiem SB i donosiłem na swoich przyjaciół Kazimierza Dziewanowskiego, późniejszego ambasadora i autora przemówienia Wałęsy w Kongresie USA, oraz dziennikarza Wiesława Nowakowskiego. Mówiono mi, że są zamieszani w zamordowanie aktora Martyki przez resztki „żołnierzy wyklętych". Trudno o lepsze źródło niż sam Urban, że byłem kapusiem, jednakże czego nie ma w gnojówce IPN, to się nie liczy. W aktach IPN są zaś brednie. Pierwszy raz byłem w Wiedniu w roku 1984, więc 20 lat później, niż piszą. Odwiedzałem tam prezydenta Austrii Kurta Waldheima, ściganego przez Izrael za sprawy z czasów wojny, oraz ówczesnego premiera Austrii, a nie żaden wywiad izraelski. W przywoływanych przez IPN latach 1958–1964 byłem jedynym obywatelem Polski mającym oficjalny zakaz wjazdu do Izraela za publikacje o tym kraju w roku 1956. Uznane wtedy za nieprzyjazne. Prasa PiS-u jest dla wierzących, czyli niczego niewiedzących kretynów. A IPN śmietnikiem, w którym grzebią dziennikarze-narodowcy. Bez gumowych rękawiczek, pożądliwie.

Świętej Niony

Ostatni wielki film Wajdy był wyświetlony 34 lata temu – to „Człowiek z marmuru". Od tego czasu Wajda jest coraz bardziej wielki, a jego filmy przeciwnie. Oglądam je, ale wówczas gdy wyjdą z kin i puszczają je w TV. Patrzyłem ofiarnie na cały „Katyń", wytrzymywałem tylko fragmenty innych. Tradycyjnie nie poszedłem na „Wałęsę". Nie byłem w tym odosobniony. Chociaż ten akurat bohater zahaczał o moje życie i vice versa. „Wyborcza", dla której Wajda czy Holland (też nie chadzam) to bóstwa, dała „Człowiekowi z nadziei" trzy gwiazdki na sześć możliwych. Znaczy to mniej więcej: „już lepiej obejrzeć, niż się powiesić".

Miliony zmarnowane na Wałęsę nie poszły jednak na marne, bo powstała z tego znakomita książka „Poszłem" Janusza Głowackiego, najlepsza, jaką w ogóle o Wałęsie napisano. Żeby napisać o Wałęsie, nie należy go kochać ani nienawidzić, tylko umieć pisać. W spisanych propozycjach scen brakuje mi jednak drugiej osoby w pierwszej „Solidarności" – Jurczyka – a przez to tragikomizmu. Oraz choćby próby Głowackiego wmontowania w film rozmowy Lecha z bratem Stanisławem. Pokazałaby ona inny jeszcze wymiar Wałęsy – chytrego na pieniądze chłopka i ludowego antyklerykała. Pogawędka braci została skrócona o gadki na tematy rodzinne. O tej rozmowie powiada się więc, żeśmy ją zmanipulowali. I to w czasach, gdy do kamery mówi się kwadrans, a dają wypreparowane 10 sekund. Istniała zresztą ta rozmowa nagrana wizualnie, tyle że kamera się zataczała i rozmówcy też. Dziś byłyby te obrazki jak znalazł. Dynamiczne, polskie, operatorsko nowoczesne.

Świętej Alicji

Chociaż w parchatym domu Urbana jak zawsze Wigilii nie będzie, moje gojowskie otoczenie, zanim rozbiegnie się na swoje różne Wigilie, przygotowało mi ją. Przy stole siadam z Azorem. Żremy tartinę z gęsi. Ja potem banana i inne lekarstwa popite mineralną. Wbrew wierze katolickiej moje zwierzęta w Wigilię nie mówią ludzkim głosem, Azor swoim więc pieskim językiem powie: Kto, kurwa, w dupę jebana mać, pójdzie ze mną na spacer? A ja odpowiem: Sraj, piesku, gdzie chcesz. Nie jestem głupim gojem, żeby chodzić, skoro już od 1967 r. mam samochód.

Świętego Judicaela

Daniszewska dała dupy, pakując na wynos jednemu z przyjaciół posiekanego, ale nieprzyprawionego śledzia. Po prostu surowiec. W ten sposób ubyło mi 50 proc. przyjaciół. Posiekałem Daniszewską, ale w odróżnieniu od śledzia ona potrafi się zszywać. Dziś wyjechała do Białegostoku, bo tam ma deszcz padać.

Świętego Gatiena

Palikot pisze odwołanie do Strasburga na orzeczenie polskich sądów, że krzyż jest symbolem Polski. Raczej topór, a później zapałki do podpalania stodół ex aequo z Matką Boską Częstochowską.

Świętego Abrahama

O 10.00 Azor szczeka w kuchni. Robi gwałt, że pora uruchomić toster na grzanki dla Daniszewskiej. Jeżeli Daniszewska nie chce grzanek, toster uruchamia się bez pieczywa w środku, żeby pies przestał się niecierpliwić. Azor porozumiewa się bez oglądania seriali. Już psu nie dorównam.

Świętego Urbana

Nauczam. Gdy Panicz Jezus przyszedł na świat w zakładzie położniczym „Stajenka", Bóg wysłał do Józefa-cieśli anioła pięknego jak lady Catherine Ashton. Wysłanniczka rzekła: – Zwołaj, Józek, kolesi. Niech wystrugają wielki krzyż dla twojego bękarta. Mają na tę robotę 33 lata.

– 33 lata to za mało, moja cudna – pobożnie odrzekł cieśla. – Drewno trzeba importować, suszyć, strugać. Żydki tu żyją, naród leniwy. Ale ukraść linę i stryczek to oni na pewno zdążą.

– Bój się Boga, Józefie, ty bój się Boga. Jak by wyglądał kiedyś stryczek na ścianie polskiego Sejmu? ❑

PRASA ŚNIADANIOWA

- **Prezydent Nawrocki** otrzymał w Rydze brudne auto. Widocznie ktoś jechał do Rygi przez okno.
- **Edyta Górniak** zapowiedziała dokument filmowy o sobie pod tytułem „To nie ja". Do kupienia w zestawie z „To ja" Andrzeja.
- **Donald Trump** otrzymał pokojową nagrodę FIFA. Widocznie FIFA uznała, że wizerunkowo już jej nic nie może zaszkodzić.
- W **Luwrze** z powodu pękniętej rury zalane zostały setki książek i dokumentów. Jakby powiedziała młodzież, rury się zeszponciły.
- Działaniami hejterskimi tłumaczy **Kaczyński** spadek PiS w sondażach. Hejterzy przestali głosować na PiS.
- **Filip Chajzer** publicznie pokłócił się ze swoim dentystą. Można powiedzieć, że Chajzer zeżarł zęby na publicznym robieniu z siebie debila.

MARTA M.



Rys. TOMASZ WIATER

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Hej, kolęda, kolęda

Gratuluję tygodnikowi „NIE" artykułu Roberta Jarugi pt. „Katecheza bez mózgu" (nr 50/2025), który rozprawia się z bezsensownością i szkodliwością ideologii katolickiej. Ten tekst nadaje się do przedruków i do upowszechnienia.

Drugim tematem, który chciałbym poruszyć (…), jest tzw. kolęda. Jedynie w Polsce mamy do czynienia z takim zimowym procederem łazikowania księży po (…) mieszkaniach, inwigilowania mieszkańców i emocjonalnego wymuszania „kopert". Najwyższa pora, aby takie (…) niepokojenie odbywało się jedynie na odnawiane co roku pisemne i świadome zaproszenie odwiedzanego, który godzi się na ten proceder i jego skutki. Już 100 lat temu Tadeusz Boy-Żeleński pisał w „Naszych okupantach", że tam, gdzie komornik nic już nie wyciśnie, tam ksiądz chodzący po kolędzie, strasząc ludzi piekłem, wydusi całkiem duże pieniądze.

(…) Zastanawiam się, czy księża, przebywając podczas kolędy z nieletnimi ministrantami, mają ze sobą do wglądu zaświadczenie o niekaralności wymagane prze ustawę „Lex Kamilek" i czy ktoś to sprawdza (…). Marzy mi się, aby jeden z najbliższych numerów tygodnika poświęcony był (…) procederowi kolędy.

Czytelnik

Zamienił stryjek…

(…) Tusk ogłosił zmianę nazwy CPK na Port Polska. Bo poprzednia władza zhańbiła nazwę CPK (…). O tym, że sam pomysł jest haniebny, pan premier nie wspomniał. Będziemy więc mieć niehańbiący Port Polska za jakieś miliardy miliardów z samolotami znikąd i donikąd, z kolejami olbrzymich prędkości i olbrzymimi cenami za przejazd (…). A ja przez kolejne lata będę codziennie czekała na podmiejski pociąg spóźniony o 30, 40, 50, 90 minut. A do siostry na wieś wciąż będę jeździć taksówką z powiatu, bo pekaesu tam nie ma.

Joanna K., Warszawa

Prawo i sprawiedliwość

W końcu ktoś dobiera się do dupy Rydzykowi i jego sponsorom z PiS. Tu nie chodzi o jakiś rewanż, igrzyska, tylko o elementarne prawo i sprawiedliwość, aby nasz budżet nie wspomagał inicjatyw, które szkodzą społeczeństwu.

Waldemar Szydłowski, Gdańsk

eprasa.pl 43829d5945

Abellizm

Dlaczego nie wierzę w wojnę



Rys. MARCIN CHUDZIK

Zauważyliście, że w polskiej klasie politycznej i komentariacie bardzo długo obowiązywała teza, że pokój na Ukrainie stanowi zagrożenie dla Polski? Bo jak Ruscy przestaną zabijać Ukraińców, to będą mieli czas przygotować się do ataku na nas, więc lepiej niech Ukraińcy giną dalej, aż do zwycięstwa rozumianego jako totalna klęska Rosji – czyli nierealnego. Trudno uznać to za optykę prawdziwego przyjaciela Ukrainy.

To zdaje się jednak zmieniać. Po ostatnich negocjacjach w Berlinie Donald Tusk ogłosił, że jest „ostrożnym optymistą", bo „chyba po raz pierwszy tak wyraźnie było widać, że i Amerykanie, i Europejczycy, i Ukraina są po jednej stronie". Premier usiłuje dość niezdarnie przekuć klęskę w sukces, zgodnie z wymową długiego i pełnego niewiele znaczących fraz („wnosić wkład w dążenie do zapewnienia bezpieczeństwa") oświadczenia „w sprawie sprawiedliwego i trwałego pokoju w Ukrainie" podpisanego przez europejskich przywódców po berlińskim spotkaniu.

Jest ono dość naiwną propagandą sukcesu – to nie jest tak, że Europa z Ukrainą przeciągnęły na swoją stronę Amerykę. Tak naprawdę wszyscy razem ruszają w stronę od początku wyznaczoną przez Rosję. Wołodymyr Zełenski stopniowo godzi się na rosyjskie żądania: najpierw na przeprowadzenie na Ukrainie wyborów, a teraz na rezygnację z ambicji natowskich. Tragiczna ironia polega na tym, że to samo można było zrobić cztery lata temu: to zaproszenie Ukrainy do NATO legło u podstaw rosyjskiej agresji.

Zrozumienie tej prawdy jest o tyle kluczowe, że dzięki niej można spojrzeć trzeźwym wzrokiem na rosyjskie zagrożenie, którym straszą nas dokładnie wszyscy politycy polscy, a także większość europejskich.

„Głębokie przyczyny wojny"

Samo to pojęcie jest niecenzuralne – albowiem używa go Kreml. Każdy dobry Polak – i generalnie lojalny obywatel Zachodu – wie, że jedyną przyczyną wojny jest „imperialne szaleństwo Putina" i jego „żądza odbudowy Związku Sowieckiego". To daje nam owo cudowne uczucie moralnej wyższości wobec Ruskich (słowo oficjalnie używane przez np. przewodniczącego sejmowej komisji spraw zagranicznych) – ale zupełnie nie pomaga w zrozumieniu świata. Całkiem jak religia.

Zbrojna napaść na inne państwo, wszczynanie wojny napastniczej nie da się w żaden sposób usprawiedliwić; to oczywiste. Ale istnieje zasadnicza różnica między usprawiedliwieniem i zrozumieniem.

A zrozumienie, o co tak naprawdę chodzi Rosji w tej wojnie, jest – w mojej opinii – drogą do spokojnego snu. Ale w tym celu trzeba się cofnąć o 35 lat.

Żeby nie było, że to moja osobista rusofilia – powołam się na ultraamerykański autorytet, jakim jest prof. Jeffrey Sachs. Kiedyś (słusznie) nienawidzony w Polsce jako faktyczny twórca planu Balcerowicza, dziś znany w całym świecie specjalista od ekonomii politycznej o bardzo oryginalnym spojrzeniu.

Sachs każdemu, kto chce go słuchać, przypomina, że 9 lutego 1990 r. ówczesny sekretarz stanu USA James Baker zapewnił Michaiła Gorbaczowa, że – w zamian na zgodę ZSRR na zjednoczenie Niemiec – militarne struktury NATO nie przesuną się „ani o cal" na wschód. Począwszy od roku 1994 – kiedy to prezydent Clinton podpisał się pod zrealizowanym w 1999 r. planem rozszerzenia NATO o Polskę, Węgry i Czechy – to zobowiązanie było konsekwentnie łamane. Sojusz przybliżał się do granic Rosji, obejmując kolejno Bułgarię, Estonię, Litwę, Łotwę, Rumunię, Słowację, Słowenię, Albanię, Chorwację, Czarnogórę i Macedonię Północną. W międzyczasie USA jednostronnie wycofały się z traktatu ABM o ograniczeniu rozwoju, testowania i rozmieszczania systemów antybalistycznych (2001) oraz z traktatu INF o likwidacji pocisków rakietowych krótkiego i średniego zasięgu (2019).

– Jeśli wsłuchacie się w to, co prezydent Putin mówił przez te lata, to mówił przede wszystkim, że niepokoi go obecność rakiet NATO siedem minut od Moskwy, co umożliwia tzw. uderzenie dekapitacyjne – tłumaczy Sachs, nazywając wschodnią ekspansję NATO „kubańskim kryzysem rakietowym à rebours". Kryzys kubański – przypomnę, choć Czytelnicy „NIE" na pewno pamiętają – wyniknął z tego, że ZSRR chciał rozmieścić swoje głowice atomowe na terenie niepodległej Kuby, co prezydent Kennedy uznał za nieakceptowalne zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego USA. Także dziś nikt specjalnie nie ma wątpliwości, że Stany zareagowałyby, gdyby Kanada albo Meksyk chciały przystąpić do sojuszu militarnego z Rosją czy Chinami. Na niespełna dwa tygodnie przed atakiem Rosji na Ukrainę w amerykańskim senacie mówił o tym Bernie Sanders: „Czy ktoś naprawdę wierzy, że dziś USA nie miałyby nic do powiedzenia, gdyby np. Meksyk chciał zawrzeć sojusz wojskowy z naszym wrogiem? Czy członkowie Kongresu powiedzieliby: »No cóż, Meksyk jest niepodległym krajem. Mają prawo robić wszystko, co chcą«? Bardzo w to wątpię".

Podobną myśl powtarza znienawidzony przez Radka Sikorskiego amerykański politolog prof. John Mearsheimer, twórca bardzo brutalnej teorii realizmu ofensywnego: „Wielu ludzi mówi do mnie, że Ukraina jest niepodległym krajem i może decydować o swojej polityce zagranicznej. To naprawdę głupi sposób na myślenie o polityce międzynarodowej. Jeżeli jesteś małym krajem i żyjesz po sąsiedzku z gorylem, to musisz być bardzo ostrożny, bo jak nie będziesz, to goryl może ci zrobić mnóstwo okropnych rzeczy"…

W Polsce intelektualistą, który ma czelność dostrzegać „głębokie przyczyny wojny", jest prof. Grzegorz Kołodko. W wydanej w październiku 2022 r. książce „Wojna i pokój" wskazuje on na inny przejaw zachodniej ekspansji, która przyczyniła się do stopniowego odradzania się zimnej wojny – inwazji na Irak: „Wtedy zaczął się proces rewizji stanowiska Rosji prowadzący do odchodzenia od współpracy z Zachodem na rzecz »wstawania z kolan«, na które jakoby Rosja została rzucona po likwidacji ZSRR w latach prezydentury Borysa Jelcyna".

Warto uświadomić sobie, że przez ten cały czas – aż do 2014 r. – Rosja zachowywała się raczej powściągliwie. W 2005 r. zaakceptowała efekty „pomarańczowej rewolucji", unieważnienie wyboru Janukowycza i powtórkę wyborów na Ukrainie. W 2008 r. – wtedy, kiedy świętej pamięci brat prezesa tokował w Tbilisi: „dziś Gruzja, jutro Ukraina, pojutrze państwa bałtyckie, a później może i czas na mój kraj, na Polskę!" – to nie Rosja była agresorem, co stwierdziła powołana przez Unię Europejską niezależna międzynarodowa komisja śledcza pod kierownictwem szwajcarskiej dyplomatki Heidi Tagliavini. To prezydent Gruzji Micheil Saakaszwili rozpoczął działania wojenne, w nocy z 7 na 8 sierpnia 2008 r. atakując stolicę Osetii Południowej, Cchinwali – zapewne w nadziei, że Ameryka przyjdzie mu z pomocą, bo to kretyn rzadkiej wody.

Także sytuacja w roku 2014 – zakończona zajęciem Krymu – nie jest, zdaniem chociażby Sachsa, tak zupełnie czarno-biała: „W lutym 2014 r. Stany Zjednoczone aktywnie brały udział w obaleniu Janukowycza; to klasyczna amerykańska operacja z gatunku reżim change". Jakby ktoś miał wątpliwości, wystarczy przypomnieć sobie nagranie rozmowy Victorii Nuland z departamentu stanu z ambasadorem USA w Kijowie Geoffem Pyattem – decydujących, kto będzie w nowym ukraińskim rządzie, a kto nie. Na końcu pada pamiętne zdanie, że Amerykanie sobie to sami ułożą i „jebać EU".

Co więcej, jeszcze we wrześniu 2021 r. wojny można było uniknąć. Putin zaproponował wtedy porozumienie o bezpieczeństwie pomiędzy Rosją i USA zawierające deklarację, że Ukraina nie wstąpi do NATO. Sachs wspomina, jak przez godzinę usiłował przekonać ówczesnego doradcę ds. bezpieczeństwa narodowego Jake'a Sullivana do podjęcia rozmów z Rosją i złożenia deklaracji, że NATO się nie rozszerzy na Ukrainę. „Nie rozszerzy się" – odpowiedział Sullivan, dodając, że USA nie może tego powiedzieć, bo „NATO ma politykę otwartych drzwi". I dodał optymistycznie, że „żadnej wojny nie będzie".

W sumie – i temu służy cały powyższy wykład – jakkolwiek nielegalna i niemoralna ta wojna by była – nie była „niesprowokowana". Nie była też nie do uniknięcia.

Na хрен Putinowi Polska

Polska jest w sposób oczywisty w zupełnie innej sytuacji. Rosja nie jest w stanie przeszkodzić naszemu wejściu do NATO, zważywszy że jesteśmy w nim od 26 lat. A od 36 jesteśmy przez Rosję uważani za element zachodniej strefy wpływów. Granica polsko-rosyjska ma 200 zaledwie kilometrów, więc – z rosyjskiego punktu widzenia – nie stanowi otartych wrót do inwazji. Mniejszość rosyjska w Polsce to 10 tys. ludzi i choć nie są życzliwie traktowani przez władze, ich życiu, zdrowiu i prawom obywatelskim nie zagraża żadne niebezpieczeństwo – co zasadniczo różni ich od Rosjan na Ukrainie przed wojną. Polska nie ma żadnych dóbr naturalnych, których Rosja by pragnęła, a terytorium nie jest tu argumentem – zważywszy, że Rosja pozostaje największym krajem na świecie. Inaczej mówiąc, nie ma żadnego powodu, dla którego Rosja miałaby napadać na Polskę.

Jest za to mnóstwo powodów, dla których napadać jej się nie opłaca. Poczynając od oczywistego: NATO ma 8,7 mln żołnierzy, w tym 3,4 w służbie czynnej; w przypadku Rosji te liczby to 3,6 i 1,3 mln. Wydatki zbrojeniowe NATO w zeszłym roku wyniosły 1,5 bln dolarów, Rosji – 150 mld. 10 razy mniej. Art. 5 Traktatu Północnoatlantyckiego może nie jest aż tak „żelazny", jak głosi propaganda – ale nie jest też bezwartościowy. Wsparcie wyłącznie bronią i szmalem udzielone przez NATO Ukrainie sprawia, że Rosja ma kłopoty z krajem, który miała pokonać w parę dni. Atakowanie pełnoprawnego członka NATO byłoby szaleństwem. Moim zdaniem – i do tego zmierzał cały wywód na temat „głębokich przyczyn wojny" – Putin nie jest szaleńcem.

Jest w tym też inny – ważniejszy – aspekt. Otóż konflikt Rosji z NATO – niezależnie od tego, w jakiej chwili Amerykanie do niego przystąpią – byłby przygrywką do konfliktu globalnego; III wojny światowej. Dwie poprzednie wojny światowe – o czym pisał u nas niedawno Andrzej Werblan – wybuchały w warunkach tektonicznych zmian ładu międzynarodowego. Dziś – przekonuje prof. Werblan i ja się z nim całkowicie zgadzam – „w sytuacji globalnej nie widać sprzeczności tej rangi jak te, które wywołały poprzednie wojny światowe". Nasza narodowa megalomania, podsycana tradycyjną rusofobią, każe nam wierzyć, że to, co się dzieje za miedzą, jest najważniejsze w świecie. Nie jest. „Konflikt o Ukrainę i lokalne napięcie na wschodniej flance NATO to zbyt słaby zapalnik na wojnę światową" – konkluduje Werblan.

I warto też nie zapominać o Chinach – którym Ukraina jest dość obojętna, ale kolektywny Zachód już nie. Chiny bardzo zręcznie manewrują w tym konflikcie, dyskretnie wspierając Rosję – ale Europa jest zbyt potężnym rynkiem zbytu, żeby były gotowe zaryzykować ustawienie się w konflikcie przeciwko niej.

W tym momencie ktoś powie, że Putin grozi Europie. Dokładnie w tym samym stopniu, co Europa i NATO grozi Putinowi. Mark Rutte, znany z nazywania prezydenta Trumpa „tatusiem", dość regularnie powtarza hasła o wojnie z Rosją. Ostatnio ogłosił, że „jesteśmy kolejnym celem Rosji" i „musimy być przygotowani na wojnę, która mogłaby przybrać skalę porównywalną z tą, jaką przeżyli nasi dziadkowie i pradziadkowie". Putin mówi mniej więcej to samo: Rosja nie planuje napadać Europy, ale jeśli Europa by ją napadła, jest gotowa. Rosyjski prezydent ubogacił to stwierdzeniem, że operacja na Ukrainie ma charakter „chirurgiczny", a jak Europa zacznie wojnę z Rosją, to skończy się ona tak szybko, że Rosja nie będzie miała z kim negocjować – co oczywiście było słabo zawoalowaną groźbą atomową. Tylko co z tego? To nic więcej jak retoryczne prężenie muskułów – z jednej i z drugiej strony.

A ja z tyłu głowy mam jeszcze jeden argument, który pozwala mi patrzeć z optymizmem w przyszłość. Jeśli nie wymordowaliśmy się wzajemnie w czasach zimnej wojny – to może dowodzi, że ludzkość jest mądrzejsza, niż wynikałoby to z wypowiedzi jej liderów?

Follow the money

Pytanie, które wszyscy powinniśmy sobie zadać, brzmi: dlaczego polskiej klasie politycznej – a szczególnie premierowi – tak bardzo zależy na tym, żebyśmy się wszyscy bali? Sianie strachu stało się ulubionym zajęciem rządu. Ile razy dziennie widzimy w telewizji informacje o tym, jak przygotować „plecak ewakuacyjny"? Jakiego języka używają politycy, mówiąc o dość niegroźnych prowokacjach? Kilkanaście nieuzbrojonych styropianowych modeli latających to „atak dronowy", a uszkodzenie torów na tyle nieistotne, że przejechało po nich osiem pociągów – „akt terroryzmu". Tusk skwapliwie ogłasza całemu narodowi najmniejszą nawet plotkę, którą można połączyć z wrogim rosyjskim działaniem – jak w przypadku nieszczęsnej parki, która chciała obejrzeć Łazienki z lotu ptaka.

Zastraszonym społeczeństwem rządzi się dużo łatwiej. Mamy efekt flagi, mamy coraz powszechniejszą panikę, która sprawia, że nikt nie pyta, czy naprawdę musimy wydawać 200 mld zł na zbrojenia w czasie, gdy rząd rozważa przywrócenie limitów na badania, które mogą wykryć raka, bo w NFZ zionie dziura wielkości Pacyfiku?

Mamy też olbrzymie dochody koncernów zbrojeniowych. Komisja Europejska zaplanowała 150 mld euro na zbrojenia w ramach programu SAFE. Nie znamy powiązań polityków europejskich z przemysłem zbrojeniowym. Ostatnio europoseł Sojuszu Sahry Wagenknecht Fabio De Masi pozwał Ursulę von der Leyen przed Europejski Trybunał Sprawiedliwości, ponieważ przez siedem miesięcy – przy ustawowym terminie sześciu tygodni – nie odpowiedziała na proste pytanie: jakie ma kontakty z przedstawicielami i lobbystami koncernów zbrojeniowych?

Też byśmy chcieli wiedzieć, zważywszy, że Polska pożyczy z tego programu 185 mld zł. Które potem trzeba będzie oddać.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

eprasa.pl 43829d5945

Magia incydentalnego pomagania

Jak święta przykrywają nierówności

Grudzień w Polsce pachnie cynamonem, piernikami i hipokryzją. Bo święta to nie tylko czas radosnego oczekiwania i kolędowych hitów puszczanych w marketach od 11 listopada. To także moment, gdy kapitalizm postanawia okazać swoje najlepsze oblicze: hojność. Taka hojność to plaster na złamanym kręgosłupie systemu – na chwilę przynosi ulgę, lśni w świetle choinki, a potem znika, zostawiając wszystko po staremu.

Weźmy przykład Szlachetnej Paczki – projektu, który w teorii ma być ucieleśnieniem altruizmu, a w praktyce często przypomina reality show dla klasy średniej, która chce poczuć, że robi coś dobrego. Wolontariusze kręcą się po mieszkaniach biedniejszych rodzin z listami życzeń, jakby to był świąteczny katalog IKEA: „Proszę, kupmy pani Kasi nowy odkurzacz, bo stary ma 20 lat i brzydko wygląda". Prawdziwy dramat? Biedni ludzie nie potrzebują prezentów – potrzebują stabilności, mieszkania, pracy i opieki społecznej. Ale w kapitalizmie łatwiej sprzedać historię o cudownym świątecznym spełnieniu marzeń niż mówić o nierównościach systemowych, które te marzenia w ogóle wywołują.

W tym roku Szlachetna Paczka zebrała rekordowe sumy: tysiące rodzin dostaną paczki pełne jedzenia, zabawek i różnych rzeczy do spełnienia podstawowych potrzeb – o czym nie mieli prawa marzyć przez resztę roku. I oczywiście media wariują: reportaże, emocjonalne wpisy na Facebooku, lajki. A my? Klaszczemy, bo ktoś wreszcie zrobił coś „dobrego". Tyle że to „coś dobrego" kosztuje kilka godzin wolontariatu i parę złotych z konta. Kapitalizm? Uratowany. System społeczny? Nadal dziurawy jak ser szwajcarski.

Inny przykład: lokalne akcje charytatywne, które w tym roku przybrały masową formę. Firmy chwalą się, że „wsparły potrzebujących", wysyłając do domów dziecka paczki z zabawkami lub słodyczami. Media społecznościowe obiegają zdjęcia uśmiechniętych dzieciaków z napisem: „Dzięki wam świat jest lepszy!". Tylko że świat nie staje się lepszy dlatego, że ktoś zrobił jednorazową akcję. Staje się lepszy wtedy, gdy dzieciaki te mają zapewniony dostęp do edukacji, lekarza, mieszkania i godnego jedzenia przez cały rok, a nie tylko przez kilka grudniowych dni.



Rys. GRZEGORZ SOBCZAK

Zamiast pytać: „Dlaczego w Polsce są ludzie, którzy nie mają na podstawowe potrzeby?", media i organizacje wolą pokazywać historię szczęśliwej rodziny, której los odmieniła jedna paczka.

Pojawia się iluzja sprawiedliwości społecznej – na chwilę, na zdjęcie, na filmik viralowy.

Kapitalizm? Nadal funkcjonuje, bo firmy odciągają uwagę od własnych problemów i przewin. Korpopracownicy po kilku godzinach wolontariatu mogą spokojnie odetchnąć – sumienie odhaczone. A biedni? Oni znowu zostają z systemem, który ich zawiódł. Ale przynajmniej dostali skarpety i czekoladki.

Nie można też zapomnieć o tym, że świąteczna charytatywność jest jednocześnie spektaklem. Bo w końcu w dobie mediów społecznościowych liczy się nie tylko dobro, ale i to, że wszyscy o nim wiedzą. Influencerzy, celebryci, a czasem nawet politycy pozują przy charytatywnych stołach. Gest do zaliczenia, fotka do wstawienia, lajki do zgromadzenia. A potem powrót do normalnego życia: wielkie bonusy dla zarządu, podwyżki dla CEO, cięcia w opiece społecznej. Moralny kapitał zakupiony, wizerunek odświeżony, system nietknięty. Idealny świąteczny mechanizm – jakby karuzela, która kręci się wokół dobra, ale nigdy go nie dostarcza w sposób trwały.

Są jednak momenty, które pokazują, że ludzie potrafią być naprawdę dobrzy, bez względu na kapitalistyczną otoczkę. Są wolontariusze, którzy odwiedzają samotnych starszych ludzi, robią zakupy dla niepełnosprawnych, organizują Wigilię dla tych, którzy zostali sami. Te działania mają znaczenie – one naprawdę zmieniają życie na chwilę, a czasem nawet na dłużej. Tylko że w narracji medialnej te historie są często spłycone do obrazków, które mają poprawić reputację firm i wyciszyć własne sumienie reszty społeczeństwa.

Polska tradycja świąteczna w tym sensie jest fascynująca. Z jednej strony ogromna empatia, z drugiej – systemowe zaniedbanie. Charytatywność świąteczna pokazuje, jak społeczeństwo potrafi reagować, kiedy czuje presję świąt, kamer i lajków. Ale prawdziwy test empatii przychodzi w styczniu – kiedy paczki znikają, gdy dzieci wracają do niepewności, a rodziny, które nie zostały wybrane do akcji, dalej muszą radzić sobie w systemie, który ich ignoruje. I wtedy widać, że plaster na kapitalizm był naprawdę cienki.

Można by powiedzieć, że

święta są największym testem naszej hipokryzji. Kochamy ludzi, gdy to tanio kosztuje – gdy jest sezonowe, opakowane w kolorowy papier i lśniące jak bombka. Poza sezonem patrzymy, jak system trzyma ludzi w biedzie, jak państwo nie nadąża, a rynki finansowe rosną w siłę.

I właśnie dlatego Szlachetna Paczka i inne akcje są tak potrzebne – i jednocześnie tak nieadekwatne.

Warto więc pytać nie tylko o to, ile paczek wysłaliśmy, ale także o to, dlaczego w ogóle musieliśmy je wysyłać. Świąteczna dobroczynność powinna być pretekstem do refleksji nad systemem, który pozwala na biedę, a nie maskowaniem tej biedy pod błyszczącymi wstążkami.

Na koniec – puenta prosta jak lista zakupów: nie przestawajmy robić paczek, odwiedzać starszych, wspierać potrzebujących. Ale równocześnie nie zapominajmy, że prawdziwa zmiana wymaga czegoś więcej niż plaster. Wymaga zmian w systemie, które sprawią, że przyszłe święta będą mogły być naprawdę świąteczne dla wszystkich, a nie tylko dla tych wybranych przez marketingową machinę dobroci.

I tego P.T. Czytelnikom życzy

DAMIAN DUSZCZENKO

Budda i Jezus na jednym talerzu

Patchworkowa Święta Rodzina

W każdym większym japońskim chramie – takim ich kościele – oprócz wróżb i przeróżnych amuletów można kupić figurki Buddy. Także wcielone w postać gofra. Zwykle słodkiego, często nadziewanego jeszcze dżemem.

Bo Japończycy lubią słodkie smaki i ze wszystkiego sobie słodycze potrafią zrobić.

Zwykle polscy turyści widząc Buddę pod postacią gofra, dziwią się wielce takim barbarzyńskim zwyczajom. Zwłaszcza, że takiego gofrowego Buddę można dodatkowo polać słodkim syropem, bitą śmietaną i posypać modną teraz sproszkowaną matchą.

Dziwią się nasi rodacy bezrefleksyjnie, bo przecież Polacy też masowo spożywają swe bóstwa. Przynajmniej raz w roku. Kiedy rozpoczynają kolację wigilijną i

dzielą się opłatkami. Zazwyczaj ozdobionymi wizerunkami Świętej Rodziny. Potem jedzą te opłatki, zwykle bezrefleksyjnie, bo myśli ich biegną już ku śledziom i kapuście z grochem.

Ten tradycyjny polski opłatek to zmodyfikowana żydowska maca. Daleko mu do japońskich słodyczy. Może dlatego, że ten opłatek ma przede wszystkim integrować polskie rodziny, a nie pobudzać je do smakowych orgii.

Temu służyć mają inne tradycyjne polskie, wigilijne potrawy. Czyli litewskie kołduny w rosole, karp po żydowsku, ukraińskie pierogi, ryba po grecku i śledź pod szubą, czyli po rosyjsku.

Oczywiście każda tradycja ulega modyfikacji. Dlatego dziś na tradycyjnym polskim wigilijnym stole znajdziemy też krewetki w sosie z awokado, smażone sajgonki, sałatki z mango i kimczi. Bo tradycyjne polskie rodziny, zwłaszcza te patchworkowe, są coraz bardziej otwarte na polską kuchnię, ale już fusion.

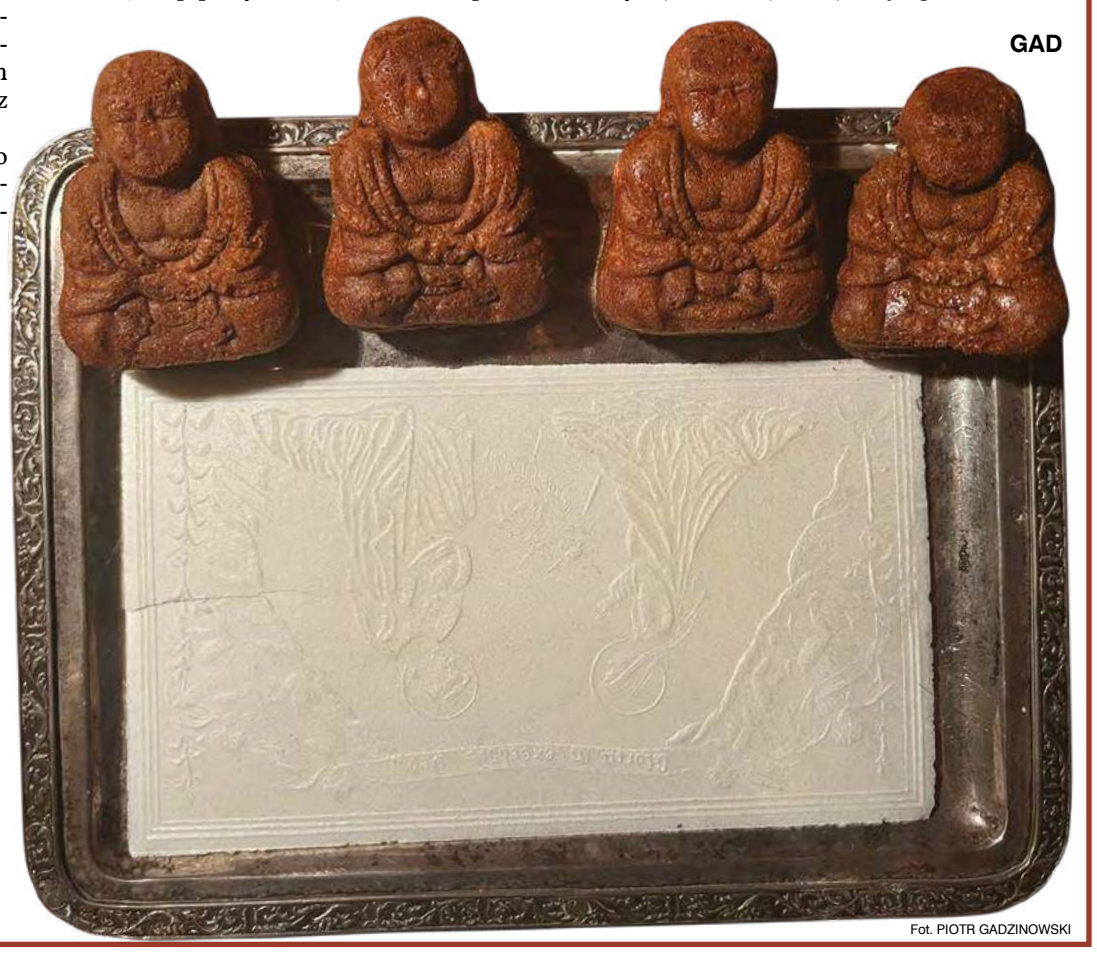
Dlatego dziś proponujemy polski tradycyjny opłatek wielokulturowy. Zachowujący tradycyjny, postżydowski wypiek z dodatkiem japońskiego gofra. Globalny i wielosmakowy.

Proponujemy wersję minimalistyczną. Ale każdy chętny może polać sobie gofra w kształcie Buddy tradycyjną polską bitą śmietaną i posypać go matchą.

I opłatek też.

Efekt będzie murowany. Bo dzięki tym drobnym zabiegom najmłodsza generacja Polek i Polaków odrzuci na chwilę swe smartfony. Rzuci się na takie opłatki. Nie trzeba będzie ich już do uroczystej rodzinnej kolacji siłą zaganiać.

GAD


Fot. PIOTR GADZINOWSKI

eprasa.pl 43829d5945

Kolęda o głodzie



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Do czytania przy świątecznym stole

Tylko pięć lat trwała szokowa terapia zaaplikowana w XIX w. Irlandczykom przez brytyjskich Balcerowiczów. Ale jej skutki odczuwamy do dzisiaj.

Była wtedy Irlandia angielską kolonią. O rygorach i represjach znacznie gorszych od odczuwanych przez Polaków w zaborach rosyjskim i pruskim. Na „zielonej wyspie" żyło wtedy prawie 9 mln Irlandczyków. Większość stanowili robotnicy rolni i biedni dzierżawcy ziem należących do angielskich i irlandzkich właścicieli. Zgodnie z ówczesnym prawem ziemię mogli dziedziczyć – czyli posiadać – jedynie Irlandczycy, którzy przeszli na religię anglikańską. Co było też deklaracją lojalności wobec angielskich kolonizatorów.

Posiadacze ziemi nie pracowali na niej. Swe farmy dzierżawili katolickim Irlandczykom. By produkowali tam mięso, mleko i masło na brytyjski rynek. I przede wszystkim słynny cheddar. W Irlandii wyrabiany, ale przez jego producentów niekonsumowany. Bo wtedy ponad jedna trzecia ludności „zielonej wyspy" żywiła się jedynie ziemniakami z dodatkiem mleka lub maślanki. Tak zdecydowały ówczesne „wolne rynki".

We wrześniu 1845 r. pojawiły się przypadki zarazy ziemniaczanej. Wykopane bulwy od razu gniły. Na wsi pojawił się głód. Nic nowego, w poprzednich dekadach bywały podobne zarazy.

Skutki głodu złagodziła polityka Roberta Peela, brytyjskiego sekretarza do spraw administracyjnych w Irlandii. Jego urzędnicy rozdawali głodującym zakupioną w USA, bez zgody brytyjskiego rządu, kukurydzę. W efekcie jego urzędowania Irlandczycy nie dojadali, ale z głodu nie umierali.

Dość socjalu

Taka „socjalistyczna" polityka Peela budzi sprzeciw brytyjskiego rządu. Zastąpił go John Russell. Ortodoksyjny zwolennik leseferyzmu, czyli przekazywania ekonomii i społecznych problemów w uścisk „niewidzialnej ręki wolnego rynku".

Niestety od jesieni 1846 r. zaraza wróciła. Wtedy już wszystkie wykopane ziemniaki gniły. Podobnie działo się w latach następnych.

Problem zauważyły media. Początkowo brytyjskie gazety zapełniają się opisami irlandzkich obdartusów. Brudnych, nieogolonych, grzebiących w ziemi w poszukiwaniu czegokolwiek do zjedzenia. Fuj!

Potem miejsce pogardy zastępuje ludzkie współczucie. Pojawiają się obrazy wsi pełnych jeszcze żywych szkieletów egzystujących pośród trupów.

Jesienią 1847 r. w Irlandii zaprzestano grzebania zwłok. Palono je od razu razem z ich domostwami.

Palono ze względów estetycznych i higienicznych. Wygłodzeni biedacy podatni byli na epidemie tyfusu, dyzenterii, szkorbutu, febry i nieestetycznej puchliny głodowej.

Początkowo masowy głód niewiele przeszkadzał żyjącym obok bogatym i sytym. Zaraza dosięgała jedynie ziemniaków i ziemniakożerców.

Na irlandzkich polach dalej rosła soczystą trawa, pasły się krowy dające znakomite mleko i sery importowane na sąsiednią wyspę. Chleba też w piekarniach nie brakowało.

Bo irlandzcy katoliccy chłopi i dzierżawcy, ludzie pobożni i honorowi, aż do śmierci starali się wywiązywać z zakontraktowanych dostaw.

Dlatego John Russell deklarował w imieniu brytyjskiego rządu, że nie ma zamiaru dokarmiać wszystkich głodujących. Może jedynie przeciwdziałać nadmiernemu podnoszeniu cen żywności przez nieuczciwych spekulantów i obniżyć je tylko tam, gdzie wolny rynek nie zadziała.

Ale ten wolny rynek tak działał, że w 1848 r. nawet angielscy ziemianie niepokoją rząd Jej Królewskiej Mości. Bo sami są poważnie zaniepokojeni, albowiem ich dzierżawcy i ich chłopi mrą już masowo – albo emigrują do USA.

A to może zakłócić nieprzerwany ciąg dostaw masła i sera na angielskie stoły.

Dobry głód

Proszony o interwencję kanclerz skarbu Charles Wood uspokajał. Wszystko idzie w dobrym kierunku. Po prostu „klęska głodu zlikwiduje problem przeludnienia Irlandii". I poufnie wyrażał radość, że taka sprawiedliwość dziejowa nie pobrudzi rąk rządu: „Nie powinniśmy się skarżyć na to, co w gruncie rzeczy chcieliśmy uzyskać".

Trzeba przypomnieć, że kolonizowani Irlandczycy przez wieki nie chcieli integrować się z angielskimi najeźdźcami. Pozostawali katolikami, notorycznymi buntownikami, kultywowali swoją kulturę. Ludowe zwyczaje i własny język gaelicki.

Dlatego problem rozwiązania irlandzkiego głodu został przez rząd w Londynie zmarginalizowany. Oddany w ręce Edwarda Trevelyana. Asystenta sekretarza skarbu Wooda.

Ten ortodoksyjny leseferysta uważał, że problem najlepiej ureguluje wolny rynek. Ustali naturalnie, czyli sprawiedliwie, ceny.

Jako człowiek religijny Trevelyan uważał też, że głód jest wyrazem boskiej sprawiedliwości, której cywilizowany człowiek powinien się pokornie podporządkować. „Lekarstwem wszechrozumnej Opatrzności".

Pozostali brytyjscy politycy myśleli podobnie. Głód to słuszna kara dla Irlandczyków, którzy co rusz kąsają przyjaźnie wyciągniętą rękę brytyjskiego imperium. Zatem po co ich karmić?

Dla – uważanego za światłego – przyszłego premiera Benjamina Disraeliego Irlandczycy to obca rasa. Ludzie „niesforni, nieodpowiedzialni, leniwi, niepewni, przesądni".

Psujący wskaźniki dynamicznie rozwijającego się Imperium.

Zupa charytatywna

Kiedy rząd umył ręce, a niewidzialna ręka rynku na śmierć masowo głodziła biedaków, z pomocą ruszyli etyczni ziemianie. Naprawdę już przerażeni kurczącymi się zasobami dzierżawców ich ziemi i pracujących tam robotników rolnych.

Ziemiańskie Towarzystwo Przyjaciół oraz Brytyjskie Stowarzyszenie Pomocy zorganizowały pomoc dla głodujących. Na wyspie pojawiają się garkuchnie serwujące zupę dla głodujących. Za darmo!

Ale skoro garkuchnie obsługiwali protestanci, a w kolejkach słaniali się osłabieni z głodu katolicy, no to pojawiła się idea upieczenia dodatkowej dobroczynności. Darmowa zupa tak, ale za porzucenie ohydnego papizmu. Wyrzeczenie się Rzymu i religii katolickiej.

Ponieważ też wolnorynkowy Rzym nie palił się do wsparcia głodujących irlandzkich katolików, niektórzy z nich przechodzili na anglikański protestantyzm. Uważany w Irlandii za religię kolaborantów.

Za to zostali pogardliwie nazwani „zuperystami".

W 1848 r. rozmiary głodu były tak wielkie, że próbowano działań niezgodnych z panującą religią leseferyzmu. Starano się organizować pracę dla głodujących, aby mieć alibi dla wypłacanych im zasiłków.

Dawać „wędkę, broń Boże rybę".

Ponieważ głodujący zwykle nie nadawali się już do żadnej pracy, to fingowano ją. Aby tylko nie karmić za nic. Koszty takich „wędek" rychło przewyższały koszty ewentualnego rozdawnictwa ryb.

Kiedy okazało się, że jednak trzeba karmić bez „wędki", wprowadzono zasadę, że darmowe jedzenie dostanie tylko ten, kto posiada mniej niż ćwierć akra ziemi.

Znów zadziałały „rynki" i lawinowo ruszyła sprzedaż ziemi.

Najwięcej skorzystali na tym bogaci ziemianie. Bo ceny ziemi radykalnie spadły. Była tańsza niż życie ludzkie.

Wielka ucieczka

W 1851 r. przeprowadzono w Irlandii spis powszechny. Poprzedni, z 1841 r., odnotował 9 mln mieszkańców. W 1851 r. było ich 6,5 mln.

Historycy oceniają, że z głodu i chorób zmarło 1,5 mln Irlandczyków. Drugie 1,5 mln wyemigrowało do Stanów Zjednoczonych.

Wielu z nich nie przeżyło podróży. Byli za biedni na podróż w kabinach. Warunki na przewożących ich „statkach-trumnach" były koszmarne.

Wywołana wielkim głodem emigracja trwała półtora wieku. Do roku 1990 do USA wyemigrowało ponad 4 miliony Irlandczyków. Obecnie mieszka tam więcej amerykańskich Irlandczyków niż rdzennych na wyspie.

Głód w Irlandii wygasł, bo zaraza się skończyła. Bo sadzono coraz mniej ziemniaków. Bo ich konsumenci zmarli albo emigrowali. Opuszczone lub sprzedane poletka zasiliły większe farmy produkujące mięso, mleko i zboże. Przed żywymi jeszcze biedakami stanęła alternatywa: emigracja albo nędzna egzystencja. Wybierano emigrację.

„Głód wyrwał serce językowi irlandzkiemu". W 1841 r. ponad 4 mln Irlandczyków mówiło po gaelicku. Był to język oporu przeciwko Anglikom i kolaborującym irlandzkim elitom. Ale też język wiejskiej biedoty. Ta z głodu wymarła albo wyemigrowała.

Pozostali masowo przyjęli język angielski.

Szybko stał się tak „irlandzkim", że słynna proklamacja powstańcza Patricka Pearsea z 1916 r. była wydrukowana tylko po angielsku.

Po angielsku pisali swe pożegnalne listy skazywani na śmierć bojownicy o niepodległość Irlandii. Po angielsku wydawano rozkazy w Irlandzkiej Armii Republikańskiej walczącej z angielskimi okupantami.

Angielski stał się też językiem Irlandczyków w USA. Wspólnoty, która po przejściu przez emigranckie piekło, po okrzepnięciu, zaczęła znacząco wpływać na los rodaków mieszkających na wyspie.

Aby zupełnie nie stracić tożsamości na nowym kontynencie, emigranci kultywowali swój folklor, religię, zwyczaje. Wspierali propagandowo, finansowo, organizacyjnie wszelkie irlandzkie ruchy nacjonalistyczne i wyzwoleńcze. Od XIX-wiecznych umiarkowanych republikanów po radykalną IRA. Pierwszy prezydent Republiki Irlandzkiej Éamon de Valera pochodził z USA.

Aby przeżyć w bezlitosnym, wolnorynkowym Nowym Świecie, biedni migranci zasilali amerykańskie gangi i tworzącą się straż pożarną. Mięśniaki zdominowały wielkie rzeźnie, przystojniaki aktorski Hollywood.

Rozpropagowali Dzień Świętego Patryka w USA i na świecie. Święto w Irlandii już zapominane. W Ameryce rozkwitło na nowo, bo Irlandczycy musieli coś swojego pokazać podczas swych parad. W Ameryce kultywowano i rozwijano irlandzką muzykę, odtwarzano irlandzkie tańce. A przywleczony tam przez emigrantów irlandzkich Halloween stał się globalny. I totalnie skomercjalizowany.

Obecnie co roku irlandzką wyspę odwiedza ponad 3 mln turystów z USA. Niewiele mniej niż żyjących tam irlandzkich Irlandczyków. Trudno znaleźć na wyspie Irlandczyka, który nie ma rodziny w USA. I nie był za oceanem. Nie pracował tam.

W drugiej połowie XX w., po wejściu do Unii Europejskiej, angielskojęzyczna, niepodległa republikańska Irlandia stała się biznesowym przystankiem na trasie USA–UK–UE. Język angielski stał się językiem sukcesu i dobrobytu. Jednym z filarów rozwoju gospodarczego.

Morały

Terapie szokowe rzeczywiście czasem mogą przynieść społeczny sukces. Zlikwidować biedę, zmodernizować społeczeństwo. Ale pod kilkoma warunkami.

Obszary chronicznej biedy najłatwiej zlikwidować, głodząc biednych na śmierć. Tłumacząc to wolą Opatrzności, żelaznych praw ekonomii, rewolucją, walką z radykalnymi separatystami.

Jeśli teraz Izraelczycy wymordują Palestyńczyków z Gazy lub zmuszą ich do emigracji, to i problem biedy w Gazie może być tam kiedyś rozwiązany.

Bez możliwości masowej emigracji biedoty radykalne likwidacje obszarów biedy zwykle się nie udają. Gdyby gensek Stalin dawał masowo emigracyjne paszporty na Zachód ukraińskim chłopom, nie byłoby wielkiego głodu na Ukrainie. Ale jego ekipa preferowała emigrację Ukraińców na radziecki Daleki Wschód. Magadan zamiast Kalifornii.

Ucieczkę z powszechnej dziś w Europie Środkowo-Wschodniej „pułapki średniego rozwoju" ułatwia upodobnienie się gospodarczych peryferii do kolonialnego centrum. Irlandczycy przymusowo przyjęli kolonialny język angielski, ale zachowując swą kulturalną tożsamość.

Przyjmując język angielskiej i amerykańskiej metropolii, stali się jej najbliższą peryferią.

Dlatego Polacy powinni dziś rozważyć powszechne przyjęcie języka angielskiego, niemieckiego albo od razu chińskiego. I w tych językach już dziś składać sobie świąteczne życzenia.

I czekać cierpliwie. Bo dobroczynne skutki każdej „szokowej terapii" bywają czasem odczuwalne jedynie po upływie przynajmniej 100 lat.

PIOTR GADZINOWSKI

PS Echo irlandzkiego wielkiego głodu można usłyszeć w balladzie „The Fields od Athenry". Wyrażającej smutek irlandzkiego chłopaka, który płynie statkiem więziennym do Australii. Bo w czasie wielkiego głodu kradł zboże na polu w okolicy Athenry, należącym do podłego Trevelyana.

Dziś pieśń usłyszymy w angielskich więzieniach śpiewaną przez irlandzkich osadzonych i w każdym irlandzkim pubie, kiedy lokal jest zamykany. I podczas każdych przegranych przez Irlandczyków meczów piłki kopanej. Bo jest nostalgiczna, świetnie też oddaje irlandzki charakter.

eprasa.pl 43829d5945

Czarzasty jest marszałkiem sejmu. I kropka.

Afera Rywina i „komuniści”

Wybór Włodzimierza Czarzastego na marszałka sejmu – choć oczekiwany od początku kadencji – wywołał na prawicy sprzeciw i nieoczekiwane wskrzeszenie afery Rywina sprzed 23 lat, okraszone okrzykami „Precz z komuną!”. Skłania to mnie do wspomnienia tamtych wydarzeń. Obserwowałem je z boku, niejako spoza sceny politycznej, na której byłem już od lat nieobecny – a także rozważenia kwestii ważniejszej: czy miano „komuniści” pasuje do lewicy postpezetpeerowskiej, która okresowo rządziła w Polsce po upadku PRL.



Rys. TOMASZ WIATER

Afera, której nie było

W kwestii pierwszej. Od początku – czyli od 2002 r. – jestem niezmiennie przekonany, że żadnej „afery Rywina” nie było. Z tą opinią nie kryłem się wobec przyjaciół i znajomych, kilka razy prezentowałem ją w druku. Powtórzę w skrócie swoje stanowisko w tej sprawie.

Lwa Rywina, z którym osobiście się nie zetknąłem, uważałem za cwanego wydrwigrosza, choć zręcznego producenta filmowego i telewizyjnego, a także sprytnego bywalca salonów politycznych. Takiego, który umie nawiązywać i podtrzymywać korzystne dla siebie znajomości. Za współczesne wcielenie Nikodema Dyzmy.

Jego firma miała pewne osiągnięcia w produkcjach z dziejów holocaustu („Lista Schindlera” zwłaszcza), ale w 2002 r. znalazła się w finansowych tarapatach. Rywin był w dobrych relacjach ze środowiskiem Agory i „Gazety Wyborczej”, wkręcił się też w krąg towarzyski ówczesnego premiera Leszka Millera. Jako producent telewizyjny był żywo zainteresowany przygotowywaną wówczas przez Aleksandrę Jakubowską ustawą o telewizji. Wiedział, że ustawa ta będzie niekorzystna dla Agory i „GW”, które zamierzały wejść na rynek telewizyjny. Z rozmów z premierem Millerem zorientował się jednak, że kierownictwo SLD z inicjatywy prezydenta Kwaśniewskiego zdecydowało się te niekorzystne dla Agory przepisy z projektowanej ustawy usunąć. Dostrzegł szansę, aby na tej wiedzy zarobić. Ponieważ był skumplowany w środowisku Agory, wybrał się do prezesa tego wydawnictwa Wandy Rapaczyński – i zaproponował transakcję: wykorzystując chody u „grupy trzymającej władzę” w SLD i znajomość z premierem, uzyska korzystne dla Agory zmiany w ustawie telewizyjnej, ale to będzie kosztowało 17,5 mln dol., które Agora zainwestuje w jego firmę.

Zaskoczona Wanda poradziła się przyjaciółki, ikony dawnej opozycji antykomunistycznej Heleny Łuczywo, i obie doszły do wniosku, że to propozycja korupcyjna – w imieniu zapewne Millera, bo na niego Rywin się powołuje. Obie prawdopodobnie uwierzyły, że w ten sposób złapały tych komuchów za rękę. Wanda napisała notatkę o sprawie. Nazwisko Rywina wymieniła w niej trzy razy, a Millera kilka razy częściej – wyraźnie na niego kierując podejrzenie.

Obie panie nie konfabulowały świadomie, naprawdę uwierzyły w swe podejrzenia. Wywodziły się ze środowiska aparatczyków KPP i PZPR: Wanda była córką sekretarza KW, a Helena jednego z moich zastępców w wydziale propagandy KC PZPR. Zostały głęboko wstrząśnięte i dotkliwie obrażone haniebną antysemicką hecą z marca 1968 r. Znienawidziły beneficjentów tej hecy w aktywie PZPR. Przeszły na antykomunizm i gotowe były szczerze wierzyć, iż ci ludzie to łotry zdolne do wszystkiego – podobnie jak mój bliski przyjaciel Adam Schaff, który dla tej formacji ukuł nazwę „komunofaszyści”. Nigdy nie zdołałem go przekonać, że to błędna kwalifikacja.

Jak „GW” pomogła PiS-owi

Sprawa Rywina potoczyła się i rozlała. „Gazeta Wyborcza” nagłośniła ją. Premier Miller zamiast oddać ją natychmiast w ręce prokuratury – która sprawdziłaby, ile prawdy kryje się zarówno w poczynaniach Rywina, jak i w notatce Wandy – podjął u Michnika i Rapaczyńskiej zabiegi odpierające podejrzenia pod swym adresem. Michnika nawet przekonał, ale temat przejęła prawicowa opozycja wobec rządów SLD. Powołano nadzwyczajną sejmową komisję śledczą i rozpętano głośną i demagogiczną kampanię przeciw korupcji na szczytach władzy SLD-owskiej. Przesłuchano kilkudziesięciu świadków. Rywin nie przeczył, że złożył Rapaczyńskiej propozycję; utrzymywał, że mieści się w normach relacji biznesowych. Proponował transakcję kumplom. Był przekonany, że dadzą pieniądze lub nie, ale nie spodziewał się oskarżenia o pośrednictwo w korupcji. Żadnych wspólników i mocodawców w kołach rządowych nie wymienił, bo ich nie miał. Odmówił dalszych zeznań. Śledztwo komisyjne toczyło się już bez niego. Nie znaleziono żadnych poszlak przeciw Millerowi ani też żadnej „grupy trzymającej władzę” posyłającej Rywina do Agory. Snuto dziwaczne pomysły – przodowało Prawo i Sprawiedliwość, ale używały sobie też inne partie. Antykomunizm był na topie i odbierał ludziom rozsadek. Większość mediów też kibicowała polowaniu na rządzących. Tak to wtedy widziałem.

Pod koniec kadencji sejmu w 2004 r. głosowano nad sprawozdaniem i wnioskami komisji śledczej. Ile partii w sejmie, tyle było propozycji. Projekt SLD utrzymujący, że Rywin działał samotnie, upadł, sporo innych też. Pod nieobecność znacznej części posłów SLD większością dwóch głosów przyjęto skrajną propozycję Zbigniewa Ziobry, obarczającą odpowiedzialnością za korupcyjne propozycje Rywina najwyższe władze SLD i państwa. Uchwała zalecała skierowanie do Trybunału Stanu oskarżeń m.in. przeciw prezydentowi Aleksandrowi Kwaśniewskiemu i premierowi Leszkowi Millerowi.

Niedługo miało się okazać, że wnioskodawcy tego kuriozalnego pomysłu traktują go czysto propagandowo. Gdy przejęli władzę po wyborach sejmowych, żadnego wniosku do TS nie wystosowali, cała sprawa poszła w niepamięć.

Na tej aferze osobiście ucierpiał sam Rywin: on jedyny stanął przed sądem i dostał dwa lata za „pomoc nieustalonym osobom w propozycji korupcyjnej wobec Agory”. Politycznie najbardziej poszkodowany został SLD: z 40 proc. popularności zjechał na 10. Nie wyszła ta afera na dobre również „Gazecie Wyborczej” – zapoczątkowała jej powolny regres. Wyraźnie zyskało PiS, a w nim Ziobro.

Uważałem tę aferę za produkt zwyczajnej konfabulacji dlatego, że

znałem dość dobrze ówczesne środowisko SLD, jego zalety i wady; czasem je krytykowałem. Nie byli to jednak idioci. A wysyłanie Rywina po łapówkę, i to do „Gazety Wyborczej”, kierowanej przez nawiedzonych antykomunistycznych moralistów, byłoby nie tylko niegodziwością lecz także szczytem głupoty.

Upływ czasu ponadto zmienił na bardziej pozytywną moją opinię o samym Rywinie. Był on na pewno wydrwigroszem – ale nie szują. W ciągu tych 20 lat mógł bezkarnie i z korzyścią dla siebie oskarżyć każdego znajomego lewicowca o przynależność do owej „grupy trzymającej władzę”. Prawica by przyklasnęła, a media zawyły z zachwytu. Ale tego nie zrobił. W stosunkach międzyludzkich okazał się człowiekiem przyzwoitym, do oszczerstwa ręki nie przyłożył.

Pociecha od Wyszyńskiego

Teraz sprawa druga: czy Polską Rzeczpospolitą Ludową rządziła komuna. Naukowo zdyskwalifikował takie mniemanie najwybitniejszy polski znawca problemu, zmarły niedawno profesor Andrzej Walicki. Odsyłając do jego studiów nad programami i ideologią, tutaj ograniczę się do kwestii natury raczej obyczajowej.

Otóż komunizm zawsze kojarzył się z wojującym ateizmem. Jego dewiza brzmiała: religia to opium ludu. Polska Ludowa ma w swej historii zarówno okresy tolerancji, a nawet współpracy z Kościołem, jak i okresy antyklerykalne. Ale nawet najostrzejszy antyklerykalizm w jej polityce nie przypominał typowych dla komunistycznego ZSRR orgii antyreligijnych. W latach 30. uwięziono tam tysiące duchownych, wielu wymordowano, większość zesłano. Setki świątyń zburzono, w tym najwspanialsze. Niektóre z nich dzisiejsza Rosja odbudowała. Wraz z dziesiątkami świątyń prawosławnych w Leningradzie zburzono kościół katolicki św. Katarzyny, w którym w 1798 r. pochowano uroczyście, z udziałem cara Pawła I, naszego ostatniego króla Stanisława Augusta Poniatowskiego. Trumnę ze zwłokami odesłano do Polski.

Podobnych ekscesów w PRL nie było. Wręcz przeciwnie: nawet w czasach stalinowskich, w 1952 r., zawarto unikalne w tym regionie porozumienie państwa z Kościołem – które nie podobało się ani Kremlowi, ani Watykanowi. Podobało się za to prymasowi Stefanowi Wyszyńskiemu, który po śmierci Bolesława Bieruta odprawił mszę w jego intencji, mimo iż był przez niego na cztery lata internowany.

Władysław Gomułka natychmiast po odzyskaniu władzy w 1956 r. posłał do Komańczy dwóch najbliższych mu ludzi – Zenona Kliszkę i Władysława Bieńkowskiego – w celu uwolnienia prymasa i sprowadzenia do Warszawy. Przez kilka lat relacje Gomułki z Wyszyńskim układały się pomyślnie. Późniejsze konflikty też nie przypominały radzieckiej ateizacji – raczej już francuskie kampanie laicyzacyjne po aferze Dreyfusa.

Stosunek Gomułki do religii też nie był wzorowany na komunizmie. Przed świętami Bożego Narodzenia 1955 r. pisał w liście do matki i siostry: „Dobre są tradycje rodzinne i staropolskie zwyczaje Świąt Bożego Narodzenia. Budzą one w człowieku nie tylko rodzinne, ale i najlepsze ludzkie uczucia. Dlatego należy je zachować”. Ubolewał też, że w tym roku przy stole wigilijnym nie będzie ich matki, ale pocieszał się, że będzie im towarzyszyć jej duch. Prosił o przesłanie od niego do siostry w Ameryce życzeń i opłatka.

Typowy komunista nie wyrażałby takich uczuć. Gomułka takim komunistą nie był. Był komunistą narodowym, potępianym przez Kreml i prześladowanym, odsiedział za to cztery lata w więzieniu i zajrzał śmierci w oczy.

Wraz z epoką Gomułki skończyły się w PRL utarczki z Kościołem. Pod rządami ekip Gierka i Jaruzelskiego zapanowało zupełnie niekomunistyczne pojednanie. Andrzej Micewski, laicki współpracownik i uznany przez prymasa Wyszyńskiego jego biograf, wspominał, że już w połowie dekady gierkowskiej prymas wyraził opinię, że teraz jest zupełnie spokojny o los Kościoła w Polsce, gdyż stosunki z władzą ułożyły się optymalnie i pozytywnie. Kiedy epoka gierkowska miała się ku upadkowi, w czasie strajków na Wybrzeżu Wyszyński powiedział Stanisławowi Kani, który w imieniu I sekretarza prosił go o spotkanie: „Tak, spotkam się z panem Gierkiem, jemu ode mnie ta pociecha się należy”.

Przeciw demokracji

Włodzimierz Czarzasty laskę marszałkowską otrzymał nie w drodze uzurpacji czy oszustwa, lecz na podstawie werdyktu elektoratu Koalicji 15 października – o parę milionów liczniejszego od tego, który w ostatnich wyborach powierzył Karolowi Nawrockiemu urząd prezydenta. Działalność polityczną Czarzasty (rocznik 1960) rozpoczynał w Polsce Ludowej, ale już schyłkowej, w ruchu studenckim. Nie był żadnym komunistą, lecz człowiekiem okrągłego stołu.

Jan Paweł II pozytywny stosunek do ludzi tego pokolenia wyraził wymownym gestem. Na oczach milionów telewidzów świata na warszawskim lotnisku zaprosił do papamobile Aleksandra Kwaśniewskiego z żoną. Na ile wiem, nigdzie i nikogo więcej tak nie wyróżnił.

Wrzaski „Precz z komuną”, której w Polsce nie było i której w Europie już nie ma, są w istocie – świadomym lub nie – buntem przeciw demokracji. Miejmy nadzieję, że bezsilnym.

ANDRZEJ WERBLAN

Jak pisały się petycje

Razem w natarciu cd.

W 35. numerze „NIE” opisaliśmy nadzwyczajną aktywność białostockiego Razem w pisaniu petycji. Mamy finał tych akcji – a właściwie półfinał. Bo w międzyczasie zandbergowcy wysmażyli kolejną, wzywającą miasto Białystok do zerwania współpracy partnerskiej z miastem Jehud w Izraelu – jak raz w przeddzień wstrzymania, pod presją kolektywnego Zachodu, rzezi w Palestynie prowadzonej przez „niezwyciężoną armią” Bibiego.

Ten razemowy refleks żółwia znajdzie rozstrzygnięcie już pewnie w nowym roku kalendarzowym – ale na nasz nos nic z tego nie będzie. Podobnie jak w przypadku dwóch poprzednich petycji, które dostały już odpowiedź z urzędu.

Ta pierwsza, słuszna, postulowała nadanie nazwy „Podlaska” ulicy, która dzięki pisowcom w jednej z poprzednich rad miasta Białystok została nazwana imieniem Zygmunta Szendzielarza ps. „Łupaszko”. Czyli „wyklętego”, którego woje mają krew na rękach cywilnych ofiar z mniejszości białoruskiej i litewskiej.

W odpowiedzi razemkom przewodnicząca Rady Miasta Białystok Katarzyna Jamróz przypomniała, że taką próbę radni niepisowscy podjęli jeszcze w 2019 r. – ale uchwałę o zastąpieniu „Łupaszki” nazwą „Podlaska”, uwalił pisowski wtedy wojewoda. A nadto tę decyzję podtrzymał sąd administracyjny, oddalając skargę kasacyjną na rozstrzygnięcie wojewody, więc radni nie będą się znowu kopać z koniem.

Druga petycja w sprawie – cytujemy – „podjęcia przez miasto Białystok działań mających na celu rozwiązanie zgromadzeń ewangelizacyjnych odbywających się cyklicznie na Rynku Kościuszki” była zupełnie od czapy.

To, że uliczni kaznodzieje robią hałas na ulicach wielu miast – to fakt niezaprzeczalny. Tyle że obowiązujące przepisy nie zabraniają związkom wyznaniowym zarejestrowanym w MSWiA – a o takich przecież idzie rzecz – głośnego promowania swojego kultu. Poza tym, jak stwierdza prezydent Białegostoku w piśmie do Razem, mundurowani wzywani do prześladowań ulicznych chrześcijan ani razu nie stwierdzili, żeby tamci złamali prawo.

W poprzednim tekście sugerowaliśmy towarzyszom, żeby spojrzeli na problem politycznie.

Ci ulicznicy to wróg Kościoła rzymsko-katolickiego w Polsce i to taki, który odbiera im wyborców PiS i Konfy.

Bo Kościół papistowski jest mało efektywny w wyciąganiu ludzi z biedy, traum i nałogów. A tamci to potrafią. Jeśli tak jest – a jest – to dajcie im spokój. Patrzcie szerzej. I perspektywicznie.

JMP

eprasa.pl 43829d5945

GADMAN

Jak zwyciężyć mają?



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Bój nie będzie ich ostatni

Oczom uwierzyć nie mogłem. W niedzielę 14 grudnia 2025 r. komercyjna, liberalna, prywatna telewizja TVN na żywo transmitowała zakończenie Kongresu Nowej Lewicy. Nadawała przemówienia przewodniczącego Nowej Lewicy, wszystkich jej nowych wiceprzewodniczących, najważniejszych zaproszonych gości. Pełne przemówienia, bez redakcyjnych cięć. Pierwszy raz od czasu wyborów parlamentarnych w 2023 r. liderzy Nowej Lewicy mogli w tej wielce popularnej telewizji tak długo i nieskrępowanie głosić swe dotychczasowe sukcesy i zapowiedzieć nowe.

Uszom uwierzyć nie mogłem, kiedy odsłuchiwałem w polskich mediach głównego nurtu podsumowania tego niedzielnego Kongresu Nowej Lewicy. Tym razem nie wypominano jej nowemu, staremu przewodniczącemu jego „komunistycznych" korzeni. A młodszym wiceprzewodniczącym – dziecinnych lewackich ciągotek. Dominował pogląd, że oto ta koalicyjna partia wykazała się teraz wielką odpowiedzialnością polityczną, propaństwową postawą jako aktywny i pracowity koalicjant obozu demokratycznego. A jej liderzy objawili się jako politycy nie tylko wielce kompetentni w sferach, za które odpowiadają, ale nawet już skuteczni w realizowaniu swego programu. Źle o Nowej Lewicy nie wspominano!

Jest dobrze ?

Wielce też komplementowano nowego przewodniczącego NL i marszałka sejmu Włodzimierza Czarzastego. Jako wybitnego „technika władzy". Polityka, który choć nie tworzy porywających naród wizji, to jednak potrafi skutecznie rządzić. Przywódcę, który skutecznie pogodził konkurujące partyjne frakcje. Każdemu z młodszych liderów wydzielił merytoryczne księstwa. Krzysztof Gawkowski dostał cyfryzację, Agnieszka Dziemianowicz-Bąk – sferę socjalną, Tomasz Trela – samorządy. Dodatkowo każdy z nich potrafi mówić pięknie o partyjnych programach i planach działania, świetnie też wypada we wszelkich mediach.

Partia odrzuciła dotychczasowy model zarządzania, zwany przez politologów systemem Andory. Czyli wspólnego rządzenia przez dwóch przewodniczących reprezentujących dwa różne środowiska polityczne. Podobnie powielano taką dwuwładzę na każdym niższym szczeblu partyjnego zarządzania. Brzmiało to demokratycznie, ale szwankowało w praktyce. Dla niewrażliwych na taką równość polskich wyborców, czyli ich większość, było to niezrozumiałym dziwolągiem.

Teraz partia uszyła się pod nową rzeczywistość. Teraz jest wojna. I to niejedna. Wojna NATO z Rosją. Wojna polityczna dużego pałacu prezydenckiego z małym pałacem premiera. Ta ostatnia potrwa przynajmniej przez najbliższe dwa lata. Do nowych wyborów parlamentarnych.

Nieprzerwane wojny skłaniają partie do zmiany ich struktur i systemów ich zarządzania. Do swoistej „militaryzacji" partyjnych struktur też. Na każdej wojnie, nawet politycznej preferowane są jedność, zwartość i gotowość do działania. No i waleczność. Przynajmniej w deklaracjach.

Dlatego pokongresowe sygnały, że oto kierownictwo Nowej Lewicy jest jedną drużyną, jedną lewicową pięścią jak kiedyś załoga czołgu „Rudy" 102, od razu spodobały się wielu sympatykom lewicy. Zwłaszcza tym starszym. Bo wyborcy lewicy lubią jej jedność.

Premiują ją za to w czasie wyborów. Najlepszym tego dowodem były wybory parlamentarne w 2019 r.

Ta dziś deklarowana jedność Nowej Lewicy połączona z bojowymi deklaracjami jej lidera marszałka Czarzastego stającego do walki z prezydentem Nawrockim została też z ulgą i radością przyjęta przez fanów Koalicji Obywatelskiej. A także przez milionowe rzesze przeciwników obecnego prezydenta. Uznali oni Nową Lewicę za formację przewidywalnych koalicjantów. Swojaków, choć lewaków. W przeciwieństwie do genetycznie obrotowych politycznie ludowców i trawionych walkami frakcyjnymi koalicjantów z Polski 2050.

Jest źle?

Jedyne krytyki, jakie spadły na Nową Lewicę po jej Kongresie pojawiły się wśród lewicowych komentatorów. A także polityków partii Razem i liderów radykalnej lewicy internetowej. Oni ponownie przypomnieli, że Nowa Lewica nie jest już prawdziwą lewicą. Bo jej liderki i liderzy sprzedali się za parlamentarne i rządowe posady. Poszli na kompromisy z dominującymi w koalicji libkami z KO i Polski 2050. Uginali się przed konserwatystami obyczajowymi z PSL.

Najsprawniej wszystkie te zarzuty zebrał lewicowy politolog Bartosz Rydliński. Przyznał, że Włodzimierz Czarzasty ma opinie sprawnego technika władzy. Ale nie lidera, który potrafi przyciągać nowych wyborców. Przypomniał, że przedwyborcze notowania Nowej Lewicy oscylują teraz wokół 6 proc. Zapytał dramatycznie jej liderów, czy nadal chcą „balansować na progu wyborczym, czy wierzą, że Nową Lewicę stać na co najmniej 12–15 proc. poparcia?". Czy są świadomi, że „wybierając obecny styl kierowania Nową Lewicą i nieprzynoszącą sukcesów strategię wyborczą, biorą na siebie ryzyko, że ich formacja za kilka lat po prostu zniknie?".

Jak będzie?

Na dziś mamy w Polsce dwie obecne w parlamencie partie lewicowe. Politycznie konkurujące. Nowa Lewica i jej sojusznicy stają się partią lewicowej klasy średniej. Pokolenia trzydziesto–pięćdziesięciolatków. Zamieszkałych w dużych miastach. Niebiednych. Proeuropejskich. Prodemokratycznych. Antykaczystowskich, przerażonych wizją koalicyjnych rządów prawicy i faszyzującej partii Grzegorza Brauna. Dlatego nie brzydzą się oni sojuszu Nowej Lewicy z libkami Donalda Tuska. Doceniają też sprawność rządzenia liderów Nowej Lewicy, bo często sami zajmują się rządzeniem i współrządzeniem w swoich lub cudzych firmach. Serce mają dalej po lewej stronie, choć portfele często już po prawej. Daleko im do mentalności rewolucjonistów.

Liderzy partii Razem cieszą się w mediach, że po udanej prezydenckiej kampanii wyborczej, kiedy ich lider Adrian Zandberg minimalnie wyprzedził kandydatkę Nowej Lewicy Magdę Biejat, „szeregi partii wzrosły im trzykrotnie". To miło brzmi, ale nie przekłada się na trzykrotny wzrost poparcia wyborczego Razem w sondażach. Oscyluje ono wokół 4 proc. poparcia. Za mało, by wejść do sejmu, ale wystarczająco, by dostawać coroczne subwencje z budżetu państwa.

Na pewno dziś młodym dwudziestoletnim lewicowcom bliżej jest do maksymalistów z Razem niż ugodowców z Nowej Lewicy. Jednak taka ortodoksyjna niezłomność parlamentarzystów Razem prowadzi czasem do przekombinowania podczas sejmowych głosowań. Jak choćby w czasie rozstrzygania o ewentualnym uwięzieniu posła Ziobry. Niespodziewane wsparcie Ziobry przez koło parlamentarne Razem zniesmaczyło wielu oddanych fanów tej partii. Potwierdziło opinie o nieprzewidywalności jej liderów. Podobnie jak głośny romans polityczny posłanki Pauliny Matysiak z pachnącymi korupcją lokalnymi liderami PiS.

Przez dwa najbliższe lata nie będziemy mieli w Polsce wyborów. Koalicja rządząca zrobi wszystko, by zyskać maksymalne poparcie wyborcze. Jej efektywna współpraca na pewno zaprocentuje.

Nowa Lewica ma dwa lata na przekonanie swoich i potencjalnych wyborców, że udało się jej liderom pozyskać nie tylko posady. Że zrealizowali przynajmniej część swego naprawdę lewicowego programu. Będzie musiała pozyskać też lewicowych wyborców z mniejszych miast. Takich jak Włocławek, Świdnica, Częstochowa, gdzie rządzą związani z nią prezydenci. A także starą lewicę z byłego SLD.

Partia Razem zachowa swą osobność. Przed wyborami w 2027 r. stanie przed hazardową decyzją. Czy zawrzeć sojusz wyborczy z Nową Lewicą i mieć gwarancję powrotu do sejmu? Czy zawalczyć o miejsce, startując osobno. A w razie przegranej dostać na pocieszenie wyborczą subwencję.

Tak czy siak, skazani jesteśmy na dwie lewicowe partie. Wartość ich poznamy za dwa lata.

PIOTR GADZINOWSKI

Bronię Zandberga

TurboPolska, czyli wybierzmy przyszłość



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

Felieton ZUZ o Adrianie Zandbergu wybiera ironiczny rejestr i szybkie sądy, co ustawia dalszą lekturę w trybie polemiki. Zandberg jawi się tu jako polityczny dziadek, który objeżdża kraj, mamrocząc o „TurboPolsce", „atomie, krzemie i stali", a przy tym jest równie zużyty jak Tusk, Kaczyński czy Czarzasty. Diagnoza brzmi efektownie i łatwo zapada w pamięć, ale bardziej porządkuje emocje, niż tłumaczy rzeczywistość.

Cała krytyka opiera się na jednym chwycie: nowoczesność gospodarcza nie ma żadnego koniecznego związku z dobrostanem społecznym. To prawda banalna do momentu, w którym zapytamy: i co z tego? Bo z faktu, że technologia sama w sobie nie gwarantuje sprawiedliwości społecznej, nie wynika jeszcze, że należy ją wyrzucić do kosza razem z marzeniami o rozwoju. Zandberg nie proponuje kolonizacji Marsa, nie chce budować Doliny Krzemowej w Bielsku-Białej ani wysyłać Polaków w kosmos, żeby zapomnieli o problemach na Ziemi. Mówi o centrach obliczeniowych, robotyzacji przemysłu i energetyce jądrowej, bo bez tego Polska zostanie tym, czym była przez ostatnie dekady: ubogim zapleczem Europy, rezerwuarem taniej siły roboczej i montownią cudzych ambicji.

Autorka konsekwentnie ignoruje fakt, że Razem od samego początku łączy te wizje z programem społecznym. Mieszkalnictwo publiczne, silne związki zawodowe, prawa pracownicze, redystrybucja, państwo opiekuńcze – to nie są dodatki do „TurboPolski", tylko jej warunek. Bez nich nowoczesność faktycznie zamienia się w neoliberalną dystopię. Tyle że Zandberg mówi o tym wprost, a jego krytyczka udaje, że tego nie słyszy.

Co więcej, sama Autorka przyznaje niechcący rację swojemu adwersarzowi, zauważając, że program „atomu, krzemu i stali" może – a nawet już zaczyna – realizować KO, a wcześniej PiS. Skoro nawet prawica i liberałowie zrozumieli, że bez nowoczesnej gospodarki państwo się rozpadnie – to może problemem nie jest sam kierunek, tylko brak społecznej korekty? Zandberg proponuje właśnie tę korektę. Felieton ZUZ woli jednak udawać, że spór dotyczy samej idei rozwoju, a nie tego, komu on ma służyć.

Straszenie Palo Alto jest tu tanią publicystyczną sztuczką. Tak, Dolina Krzemowa generuje potężne nierówności. Tak, można tam znaleźć jednocześnie luksusowe samochody i bezdomne dzieci. Ale Polska nie jest Kalifornią i nie musi kopiować amerykańskiego modelu 1:1. Może – i powinna – łączyć nowoczesną gospodarkę z silnym państwem i redystrybucją. Odrzucanie tej możliwości tylko dlatego, że gdzieś na świecie technologia została podporządkowana kapitałowi, jest intelektualnym lenistwem, a nie odważną krytyką.

W gruncie rzeczy tekst ZUZ nie jest krytyką Zandberga, lecz krytyką ambicji jako takich. Marzyć nie wolno, planować nie wolno, myśleć o przyszłości nie wolno – bo zawsze znajdzie się jakieś Palo Alto, które popsuje pointę.

Tyle że lewica bez ambicji nie jest lewicą. Jest klubem dyskusyjnym z trafną diagnozą teraźniejszości i zerowym wpływem na to, co będzie jutro.

Zandberg może się mylić w szczegółach, może czasem przesadzać, może irytować manierą wykładowcy. Ale jego wizja nie jest ucieczką od problemów społecznych, tylko próbą odpowiedzi na pytanie, jak je rozwiązywać w świecie, który i tak pędzi do przodu. Sprowadzanie tej próby do science fiction mówi więcej o lęku przed przyszłością niż o jej realnych zagrożeniach. A lęk – jak wiadomo – nigdy nie był dobrym programem politycznym.

DAMIAN DUSZCZENKO

eprasa.pl 43829d5945

MÓŻDŻEK TYGODNIA



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Teza 1: Wojciech Skurkiewicz nawet nazwisko ma zepsute błędem ortograficznym.

Dowód 1: Widać gołym okiem.

Teza 2: Jest senatorem i zwykłym pisowskim chamidłem.

Dowód 2: Skurkiewicz rozmawia z red. Justyną Dobrosz-Oracz. Rozmowa dotyczy m.in. Nawrockiego, który tak się koleguje z Trumpem, że gówno może z nim załatwić w sprawie Ukrainy. Skurkiewicz się irytuje, a co robi pisowskie chamidło, jak się irytuje? Obraża. „Niech pani się nie zachowuje, jakby pani miała orzeszek w głowie, a nie mózg” – mówi i nagle sięga do mikrofonu przypiętego do piersi dziennikarki z wyraźnym zamiarem odpięcia go lub wyłączenia.

Dziennikarka protestuje: „Proszę mnie nie dotykać! To jest dźwięk grany. Proszę nie naruszać mojej nietykalności osobistej!”.

Po takim incydencie normalny polityk, a nie zwykłe pisowskie chamidło, przeprasza i obiecuje poprawę. A Skurkiewicz? Mówi, że mógłby wyjaśnić swoje chamskie zachowanie, ale „pod warunkiem odsłuchania całej 20-minutowej rozmowy z dziennikarką”.

Gdyby red. Dobrosz-Oracz była chamką, kazałaby Skurkiewiczowi walić się na ryj, a nie stawiać warunki. My jesteśmy chamami, mówimy więc: Wal się, pisowski buraku!

Muszelka Marty i ryki Karola

Ja wam dama!

W czasie mikołajkowego występu Karola Nawrockiego w Kanale Zero (jednym z jego ulubionych mediów) prowadzący i szef kanału Krzysztof Stanowski w pewnym momencie mówi do prezydenta, że ogląda ich pierwsza dama.

– Na pewno, pozdrawiam, na pewno – odpowiada Nawrocki.

Na co Stanowski: – No i na pewno ogląda, bo poprosiła, żeby poprawił pan sobie koszulę, bo się źle układa.

Bliska koszula ciału

Po tej uwadze głowa państwa karnie poprawia kreację. Potem rozmowa dalej kręci się wokół pani Marty. Zapytany, czy jest zazdrosny, Nawrocki odpowiada: – Nie, to nie jest zazdrość, tylko zastanawiam się, jak to jest, że redaktor Stanowski jest w ciągłym kontakcie na słuchawce z moją żoną…

– Wiemy już, co dorzuca Pierwsza Dama do spinek i niespodzianki od prezydenta Karola Nawrockiego. Otóż dorzuca swoją ulubioną torebkę. Ta torebka nazywana jest „muszelką” i jest produkcji polskiej marki Chylak – mówi Stanowski do widzów.

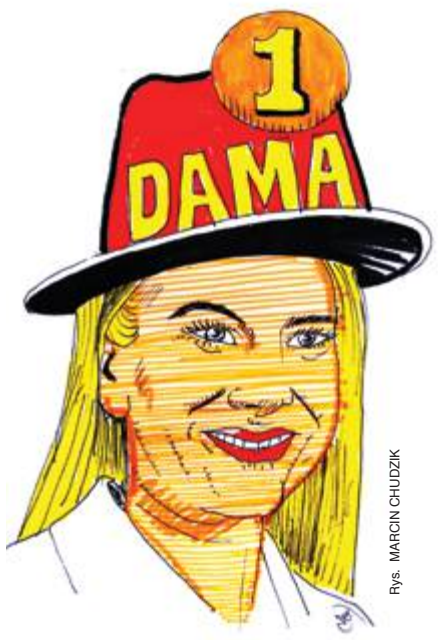
Spotkanie w Kanale Zero było połączone z akcją charytatywną. Para prezydencka znów wyszła na swojaków, którzy stawiają na polskie produkty, a przy tym są normalnym małżeństwem z dystansem do siebie. Chłopak z bloków, który wspiął się na szczyt, i jego wierna towarzyszka – skromna, ale mająca własne zdanie. W cieniu, ale błyszcząca. Szyja kręcąca głową.

– Kto rządzi w tym kraju? – ironizował Nawrocki w Kanale Zero po uwagach od żony, robiąc dobrze tym, którzy uważają, że za każdym sukcesem mężczyzny stoi kobieta (złośliwi dodają, że stoi i pierdoli).

Akcja ocieplania wizerunku pary prezydenckiej idzie pełną parą, choć w zasadzie nie trzeba go bardzo ocieplać, gdyż naród odbiera ich bardzo dobrze. On ryknie „czołem żołnierze!”, ona każe mu poprawić koszulę. Zaszczyty ich nie zmieniły. Bo „normalność” to słowo klucz tej prezydentury. Podobnie jak w USA wraca za rządów Trumpa, tak na polskiej ziemi po czasach lewackiego szaleństwa (za rządów PiS i Dudy?) normalność znowu gości, niesiona przez Karola i Martę.

Koniec i początek

Wieki temu, w poprzedniej epoce, żyrandola pilnował Andrzej Duda. Nawet zawzięci pisowcy już o nim zapomnieli, toteż musi on szukać fuch w szemranych spółkach, wydał niezbyt popularną książkę i zrobił do wspomnianego Kanału Zero kilka



Rys. MARCIN CHUDZIK

odcinków programu, który cieszył się mniejszą oglądalnością niż wszystko inne. Na odchodne Dudy z pałacu prezydenckiego jego żona Agata Kornhauser z nieskrywaną radością wyszczebiotała: – Coś się kończy, coś zaczyna. Pożegnam się z państwem słowami mojej ukochanej piosenki: „to już jest koniec i nie ma już nic, jesteśmy wolni, możemy iść”.

Niektórzy ironizowali wtedy, że była to pierwsza okazja, żeby usłyszeć jej głos. Poprzednia lokatorka pałacu prezydenckiego uchodziła bowiem za pałacową paprotkę, która nie wypowiada się w żadnych istotnych sprawach, kobietę bez inicjatywy. Już po zakończeniu kadencji Duda pieklił się w podcaście Żurnalisty: – Te panie, które głoszą równouprawnienie kobiet, prawa kobiet. To prawem kobiety nie jest milczenie, jeżeli ma na to ochotę? To nie jest prawo kobiety, panie redaktorze, że jeżeli kobieta chce, to może nie komentować? Moja żona jest bardzo silną osobowością. Moja żona jest grubym twardzielem, bym powiedział, jak się uparła, tak zrobiła. To była jej wola. Czy mnie to było na rękę? Nie do końca…

Marta Nawrocka przyjęła zupełnie inną strategię. Przy Agacie Dudzie wygląda wręcz na ofiarę ADHD, nadaktywną i na salonach, i w terenie. Strategia jest skuteczna, co wyszło w sondażu przeprowadzonym na początku grudnia przez SW Research dla Onetu. 40 proc. pytanych uznało, że nowa pierwsza dama radzi sobie lepiej od poprzedniej, a tylko 9,1 proc., że gorzej.

Piłka w grze

Nawrocka jest nie tylko ozdobą swego męża, ale ma własną agendę. Oczywiście nie taką, jakiej oczekiwałyby feministki, choć i dla nich coś ma. Na przykład wspiera kobiecą piłkę nożną, choć to dyscyplina cokolwiek niszowa. Zaimponowała tym nawet Klaudii Jachirze, której imponuje zazwyczaj tylko Klaudia Jachira i Donald Tusk.

– Podobało mi się, że gdy została Pierwszą Damą, od razu pojechała na turniej kobiecej piłki nożnej, co było spójne z wizerunkiem pary prezydenckiej stawiającej na sport. Podoba mi się też, że wychodzi poza stereotyp żony konserwatywnego polityka. To super – mówił posłanka w wywiadzie dla „Wprost”.

W wywiadzie na 100 dni prezydentury męża dla prawicowej telewizji wPolsce24 (w której pracuje jej syn Daniel)

Nawrocka zapytana, jak zwracają się do niej współpracownicy, skarżyła się, że „pani prezydentowo”. To zbyt wyniosłe– uważa – i wolałaby „pani Marto”.

Swego męża zaś ochrzciła „tytanem pracy”, bo redaktorskie „pracuś” to „za słodko”.

Sama stawia na działalność społeczną. Korzystając ze swoich kampanijnych doświadczeń, założyła fundację zajmującą się walką z hejtem.

– W kampanii nasza rodzina szczególnie doświadczyła, czym jest hejt. Ja i mój mąż byliśmy przygotowani, ale nigdy nie pozwolimy na to, by w taki sposób atakowano dzieci, jak naszą córkę Kasię. Nie możemy tolerować hejtu, nie ma na to mojej zgody jako kobiety i matki. Słowa potrafią zostawić ślad na całe życie – przemawiała pani prezydentowa, o przepraszam, pani Marta.

Hejterzy i bohaterzy

Działalność fundacji Blisko Ludzkich Spraw zainicjował panel dyskusyjny w pałacu prezydenckim pod tytułem: „Hejt? Nie, dziękuję!”. Było rodzinnie i pobożnie. Oprócz pierwszej damy w dyskusji wziął udział jej syn, a także ks. Tomasz Trzaska oraz Filip Chajzer. Ten ostatni zna się na hejcie jak mało kto, jest chyba jedną z najbardziej znienawidzonych postaci w polskim internecie. Zapracował sobie na to pozą i zachowaniami cwaniaczka oraz graniem kartą zmarłego synka, gdy pali mu się pod dupą.

Młody Chajzer (bo znany jest głównie z tego, że jego ojcem jest stary Chajzer, czyli Zygmunt) mocno zakolegował się z młodym Nawrockim, który ma ogromne parcie na szkło. Otoczenie prezydenta powinno mocno pilnować tego duetu, bo pokusy warszawki mogą przynieść nieoczekiwane straty wizerunkowe.

Nawroccy to naprawdę superpara. Unoszą ciężar hejtu, pracują ponad siły, podróżują w czasie. We wspomnianym wywiadzie dla wPolsce24 Pierwsza Dama podkreśliła, że uczestniczą w Marszach Niepodległości, „od kiedy się znają, od 20 lat”. Tymczasem pierwszy Marsz Niepodległości odbył się w 2010 r. Zatkało? A wy dalej narzekajcie, że się nie da, i hejtujcie!

ELEONORA PRONOBIS

Pierdolenie o Szopenie, morda darta na Mozarta

Kolokwialna narracja o dowożeniu sprawczości

Spośród wszystkich celebrytów politycy mówią najwięcej. I najgorzej. Niepoprawnie, niestarannie. Kluczą, bo kłamią, ale też kluczą, bo nie potrafią mówić. Gubią wątki, powtarzają się, bełkocą.

Przekaz dnia

Na wyżynach kierownictw partii spin doctorzy wymyślają przekazy dnia, czasem nawet niezłe, np. „Robimy, nie gadamy”. Do niedawna publiczna wypowiedź prawie każdego polityka Koalicji Obywatelskiej kończyła się tym sloganem. Aż do wyrzygu. W sprawie kolei robią, a nie gadają, w sprawie zbrojeń robią, a nie gadają, w sprawie imigracji robią, a nie gadają, w sprawie rozliczeń robią, a nie gadają – chociaż przecież, do kurwy nędzy, właśnie tylko gadają! Wreszcie Tusk dał sygnał, żeby ów przekaz dnia, który zmienił się w przekaz miesiąca albo nawet kwartału, najpierw osłabić, a potem zakończyć. Powiedział wprawdzie, że dla niego liczy się „robota, a nie gadanina”, lecz zaraz dodał, iż rząd robi to wszystko, bo „kocha Polskę”. Teraz czeka nas miesiąc kochania Polski.

Aż do zdarcia. PiS rozdawało wizy „na prawo i lewo”, a tych, którzy to robili, KO rozliczy, bo „nie ma świętych krów”. Nuuuuuuda!

Ziobro nie wraca, bo w więzieniu „czeka go śmierć”, skorumpowana pisowska urzędniczka nie mogła się modlić w areszcie, a ks. Olszewski „nie dostawał wody”. Co jakiś czas wszyscy pisowcy mówią to samo, nawet jeśli jest to nieprawda. Niekoniecznie dlatego, że Goebbels i że kłamstwo powtórzone tysiąc razy itp., a także nie dlatego, że podwładnym tak każą przełożeni, a im tak radzą doradcy medialni i specjaliści od wizerunku – tylko dlatego, że stado partyjnych durniów nie umie wymyślić nic oryginalnego. Durnie klepią trywializmy, bo nie czytają książek, bo zostali wychowani w prymitywnej kulturze tysiąca słów (podobno w każdym języku tyle słów wystarczy, żeby przekazać komunikaty konieczne do przeżycia), bo obracają się w kręgu podobnych tłumoków.

Kolokwialnie

Jednemu czy drugiemu baranowi jest wszystko jedno, czy poprawnie mówi się „sensu stricto”, czy niepoprawnie „sensu stricte”, a bez „sensu” odwrotnie. Barany wtrącają zwroty obcojęzyczne, bo chciałyby być mądrzejsze, niż są. Jeden konfederata użył zwrotu „comme il faut” w znaczeniu „tak nie wolno”. Nawet nie wiem, czy wiedział, bałwan, że to po francusku…

Politycy uwielbiają nadużywać przysłówka „kolokwialnie”. Przykłady z ostatniego tygodnia: „Doszli, że tak powiem kolokwialnie, do ściany”; „Kolokwialnie powiem, że Czarzasty się nim posłużył”; „Jaki był rezultat? Kolokwialnie mówiąc, negatywny”. Pierdolcie się, wały, że tak napiszę kolokwialnie…

Leniwce umysłowe

Zwrot „zrealizować program partyjny” jest poprawny, ale jeśli polityk wszystko realizuje – zapowiedź, obietnicę, umowę, budowę, wizytę – to znaczy, że nie zna synonimów. Zamiast „spełniać marzenia” głąby mówią „realizować marzenia”, zamiast „urzeczywistnić idee” mówią „zrealizować idee”. „Realizować to można film” – mawiał prof. Walery Pisarek.

Podobnie jest z „obszarem”: Słownik Języka Polskiego dopuszcza „obszar” w znaczeniu „dziedziny jakiejś działalności”, lecz przeważa poprawność znaczeń geograficznego i matematycznego. Politycy się jednak nie krępują: „W obszarze spraw zagranicznych…”; „Moje ministerstwo zajmuje się wieloma obszarami energetyki”; „Takim obszarem jest pomoc społeczna”. Ludzie! Macie do dyspozycji mnóstwo synonimów. Pierwsze z brzegu: branża, dyscyplina, dziedzina, gałąź, zakres.

Leniwe tępaki mówią „w tym temacie” zamiast „na ten temat” lub „w tej sprawie”. Oraz „na tę chwilę” lub „na ten moment” zamiast „w tej chwili” lub „w tym momencie”. Mówią „opierać się o…” („Oparłam się o ustawę”), a nie „opierać się na…”. Opierać to się można o ścianę – powiedziałby prof. Pisarek.

Sprawczość dowożenia

Politycy kochają rzeczownik „sprawczość”, tak jak sportowcy kochają „zwycięstwo”, a artyści „sukces”. „Sprawczość” to siła, spełnianie obietnic i świetlane spojrzenie w przyszłość. Jeśli partia jest „sprawcza”, to może się nie martwić. A „sprawczy” polityk to skarb.

„Sprawczość” partii, koalicji lub rządu charakteryzuje się tym, że partia, koalicja lub rząd „dowozi”. Raz nawet usłyszałem, że ktoś „realizuje dowożenie”. Nie słyszałem natomiast, żeby ktoś realizował narrację dowożenia. Na razie nie słyszałem…

„Dowozi się” obietnice przedwyborcze lub „punkty programu”. Koalicja rządząca oczywiście „dowozi” i mówi, że „dowozi”, a opozycja mówi, że koalicja „nie dowozi” i „już nie dowiezie”.

Weźmy inny bezokolicznik w dwóch formach – „dosypać” i „dosypywać”. Już od dawna do budżetu Narodowego Funduszu Zdrowia się



Rys. TOMASZ WIATER

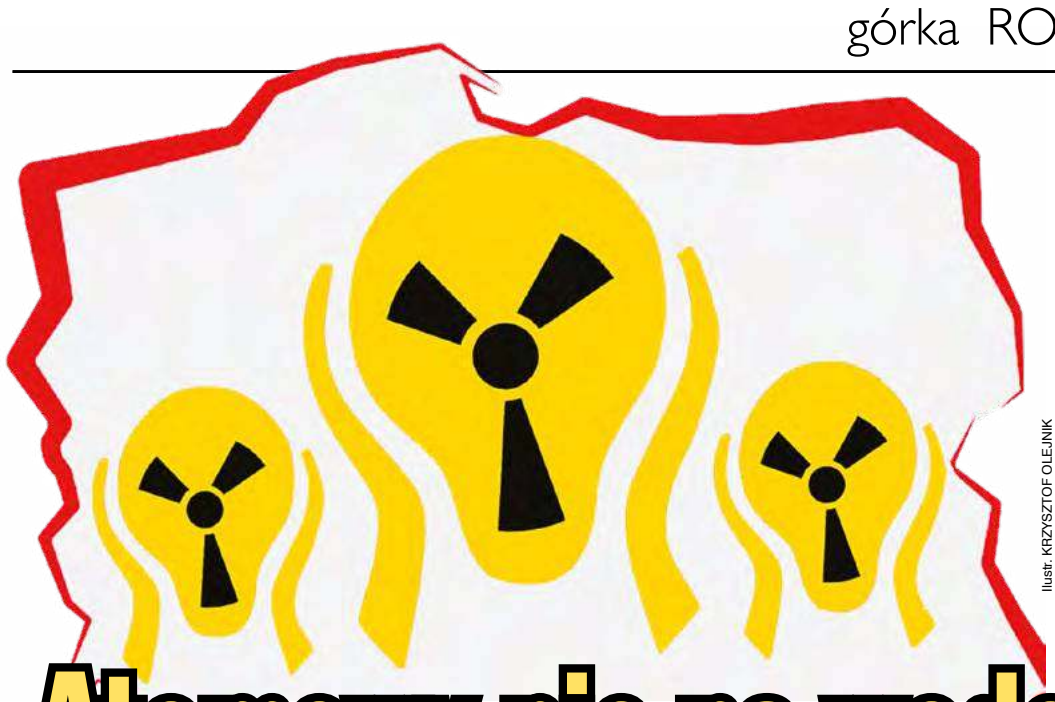
„nie dodaje”, „nie dokłada”, lecz się „dosypuje”. Lub – jak twierdzi opozycja – „nie dosypuje się” albo „dosypuje się niewystarczająco”.

O czym są wybory

Karierę wśród polityków, choć nie tylko, od dawna robi rzeczownik „narracja”. Coraz bardziej poszerza się zakres jego znaczenia. Nie „przekaz”, tylko „narracja”, nie „wypowiedź”, tylko „narracja”, nie „opis”, tylko „narracja”, ewentualnie „opowieść”. Zdanie naprawdę wypowiedziane przez jedną polityczkę: „Moją narracją zawsze był Pan Bóg, dlatego nie boję się stawać w obronie ojca dyrektora”.

Pewnym rozwinięciem poprawnej „narracji” jest niepoprawne użycie zakresu (tematu, wymiaru, istoty) wyborów zawierającego się w pytaniu „O czym są te wybory?” i odpowiedzi

eprasa.pl 43829d5945



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Atomowy pic na wodę

Niespełnialne obietnice Tuska

9 grudnia Komisja Europejska wydała zgodę na pomoc publiczną dla pierwszej polskiej elektrowni atomowej Lubiatowo-Kopalino. Eurokraci zgodzili się na wybudowanie przez amerykańskie konsorcjum Westinghouse-Bechtel w technologii Westinghouse AP1000 bloku jądrowego o mocy wytwórczej energii elektrycznej do 3750 megawatów. Prąd z niej podobno popłynie już w 2036 r., a sama budowa ma nas kosztować skromne 192 mld zł.

Z kopyta

– Ta budowa będzie mogła ruszyć z kopyta i to jeszcze w grudniu – cieszył się premier Tusk. I dodał w swoim stylu: – Jak często tu powtarzam: robimy, nie gadamy i rzeczywiście będziemy mogli tę budowę rozpocząć z odpowiednim impetem, żeby prąd z pierwszej elektrowni jądrowej w Polsce popłynął możliwie szybko.

Kiedy Bruksela dała nam zielone światło, zleciały się bankierskie sępy z kraju i zagranicy, węsząc świetny interes. Bo struktura wydatków na pierwszą elektrownię jądrową ma wyglądać tak: 30 proc. daje bezpośrednio państwo (to ponad 60 mld zł!), a reszta pochodzić będzie z papierów dłużnych.

– Szerokie zainteresowanie komercyjne instytucji finansowych zaangażowaniem w projekt budowy pierwszej polskiej elektrowni jądrowej to doskonała wiadomość zarówno dla inwestora, jak i dla całego sektora. To wyraźne potwierdzenie zmiany postrzegania energetyki jądrowej i rosnącego uznania dla jej kluczowej roli w przyszłym globalnym miksie energetycznym. Gratuluję całemu zespołowi Polskich Elektrowni Jądrowych zaangażowanemu w ten proces – z ekstazą tokował pełnomocnik rządu ds. strategicznej infrastruktury energetycznej, sekretarz stanu w resorcie energii, Wojciech Wrochna.

My gratulujemy mu dobrego samopoczucia. Tylko czemu Wrochna nie powiedział Polakom, że spłatę długu będzie gwarantował Skarb Państwa? Lata temu Tusk zakładał, że polski atom zbudują podmioty prywatne (a tak naprawdę kontrolowane przez państwo spółki energetyczne) – dziś już wie, że

bloki jądrowe powstaną z pieniędzy polskiego podatnika, bo żadna prywatna firma nie wejdzie w projekt głównie polityczny, niemający nic wspólnego z rachunkiem ekonomicznym.

Komunę krytykowano, że tolerowała podejście pracownika wyrażone hasłem: czy się stoi, czy się leży, dwa tysiące się należy. Tymczasem polskie władze zamierzają płacić elektrowni atomowej także za prąd, który nigdy nie powstanie. I w sposób zupełnie księżycowy zakładają, że elektrownia atomowa będzie cały czas pracować nieomal z pełną mocą, co jest praktycznie niewykonalne.

Tylko dzięki takiej kreatywnej księgowości – papier się nie czerwieni – możliwe jest propagandowe zapewnienie, że elektrownia będzie sprzedawać prąd poniżej 500 zł za megawatogodzinę.

Dodatkowo atom może zarżnąć odnawialne źródła energii w Polsce, bo energetyka jądrowa jest skrajnie nieelastyczna, a rachunek ekonomiczny wymaga ciągłej produkcji energii – nawet w sytuacji, gdy dzięki energii z wiatru czy słońca jest jej w systemie w danym czasie za dużo.

Lanie wody

Realia są takie, że produkcję energii z atomu mogą zatrzymać nawet upały. Taki scenariusz ziścił się w lipcu tego roku we Francji (elektrownia Golfech) i Szwajcarii (Beznau). Elektrownie jądrowe są zależne od dużych ilości wody chłodzącej. Jak czytamy na stronie Euronews, „ze względu na utrzymujące się wysokie temperatury rzeki nie są już wystarczająco zimne. Gdyby zostały one również podgrzane poprzez wykorzystanie ich jako wody chłodzącej dla elektrowni jądrowych, ekosystem rzek byłby zagrożony".

Polski atom ma być chłodzony wodą morską. Podgrzewanie wody i jej ponowne zrzuty będą zapewne równoznaczne z rozkwitem sinic, niszczeniem lokalnych ekosystemów, rujnując turystykę nad Bałtykiem. W trakcie dziesiątków lat funkcjonowania elektrowni jądrowej aż o kilka stopni zwiększy się temperatura wody południowego Bałtyku. Jak przestrzega prof. Jacek Piskozub z Instytutu Oceanologii PAN, z czasem może to doprowadzić do zmniejszania mocy elektrowni jądrowej w czasie szczytów poboru mocy w trakcie letnich upałów.

W jakimś istotnym sensie tego słowa wszystkie elektrownie konwencjonalne (w tym atomowe) są elektrowniami na wodę – wytwarzają bowiem prąd przez podgrzewanie wody i zamianę jej w napędzającą turbiny parę.

Rządzący pozostają głusi na głosy ekspertów, którzy alarmują, że właśnie woda może być wąskim gardłem energetyki atomowej w Polsce. Jest to tym istotniejsze, że pomysły powstania kolejnych elektrowni jądrowych dotyczą Bełchatowa i Konina – zatem miejsc, które już dziś mierzą się z poważnym deficytem wodnym.

Pijani uranem politycy dawno będą już gryźć ziemię, gdy kolejne pokolenia będą płacić grube miliardy złotych za ich oderwane od realiów ekonomicznych i ekologicznych pomysły…

K.K.

„Te wybory są o tym". „Wybory są o wymiarze sprawiedliwości"; „Te wybory są o wolności kobiet"; „Wybory są o przyszłości".

Innym powszechnym błędem jest uporczywe pomijanie słowa „posiedzenie". „Ziobro stawił się na komisji" (a nie „na posiedzeniu komisji", ewentualnie „przed komisją"), „Sprawa stanęła na rządzie" (zamiast „na posiedzeniu rządu"), „O tym nie mówiliśmy na komitecie" (poprawnie: „na posiedzeniu komitetu"). Szczytem niepoprawności jest powiedzenie, że coś się wydarzyło „na sejmie", chyba że to coś wydarzyło się na dachu budynku sejmu.

Król Grzegorz

Jednym z nielicznych polskich polityków, którzy mówią poprawnie, a do tego interesująco, jest lider Konfederacji Korony Polskiej Grzegorz Braun. Prawidłowo akcentuje. Właściwie używa neologizmów i kolokwializmów (tak, tak…). Tam, gdzie należy i jak należy, posługuje się zwrotami obcojęzycznymi.

Gdyby od poprawności wyrażania się zależała popularność polityczna, to Braun już dawno byłby premierem lub prezydentem. Na szczęście liczy się też to, co się mówi

– a Braun mówi pełne nienawiści nonsensy i kłamstwa.

A kto żyje z mówienia, a mimo to ciągle mówi o „dowożeniu", „realizowaniu", „narracji" i „obszarze"? Proszę bardzo: Ewa Zajączkowska-Hernik i Wojciech Machulski z Konfy, Rafał Bochenek, Radosław Fogiel i Mateusz Kurzejewski z PiS, Łukasz Michnik z Nowej Lewicy i Adam Szłapka z rządu.

R.S.

„Krypto" znaczy „skrycie". Przed kim? Przed państwem.

Batyr – słodki brutal

ETYKA BEZBOŻNA

Sport to zdrowie, póki tata się nie dowie. Kryptowaluty też są fajne, póki nie dowie się o nich państwo. Zabawna jest ta historia z wetem Nawrockiego wstrzymującym ustawę pozwalającą na objęcie transakcji w kryptowalutach kuratelą Komisji Nadzoru Finansowego. Przyszli do niego dwaj kolesie – Duda z Piesiewiczem – i grzecznie poprosili. Bo akurat ci kolesie (tak, tak, Andrzej Duda również) robią w „krypto". I nie życzą sobie, żeby ktoś im patrzał na ręce.

Ludzie, którzy nie bardzo chcą płacić podatki, a tym bardziej przestępcy, którzy potrzebują zalegalizować („wyprać") to, co ukradli, kochają nierejestrowane i niewidoczne dla państwa transakcje. Kochają więc obrót gotówkowy (w dosłownym sensie płatności banknotami z rączki do rączki), bo nie widzi go ani urząd skarbowy, ani prokurator. A jeszcze bardziej kochają kryptowaluty – chore pseudopieniądze, biorące się nie z ludzkiej pracy, lecz z elektronicznego „kopania". Jeśli pieniądze nie śmierdzą, to akurat te śmierdzą pod niebiosa. Bo „krypto" to nic innego jak „skryto" – chodzi wyłącznie o to, aby ukrywać pieniądze przez władzą. Na tym polega ten wynalazek i temu służy, aby mieć majątek, od którego nie trzeba będzie odprowadzać podatków i z którego nie trzeba będzie płacić „nawiązek" i innych tam alimentów.



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

Jeśli prezydent ulega lobbystom od kryptowalut, a były prezydent przyjmuje synekurę w tym szemranym biznesie, to znaczy to tylko jedno, a mianowicie, że pozbawieni są elementarnej lojalności wobec państwa, a za to są otwarci na rynsztok i szumowiny płynące kryptowalutowym darknetem. Zresztą wzorce są niezgorsze, bo przecież swoją „walutę" tworzył sam Donald Trump.

To niesłychane, że można być funkcjonariuszem państwowym, a jednocześnie angażować się w coś tak jawnie antypaństwowego jak kryptowaluty. Skąd to się bierze? Ano stoi za tym bardzo szczególna ideologia zwana libertarianizmem.

Jej odmianą jest trumpizm czy też, jak kto woli, MAGA. Idea jest prosta: państwo jest samo w sobie wrogiem wolności i na każdym kroku wolność jednostki ogranicza. Naprawa państwa może więc polegać wyłącznie na tym, by przechwycić jego cugle i gdzie tylko można powstrzymać jego władzę nad obywatelem.

Libertariański polityk ma więc za zadanie zwalczać wszelkie zakusy państwa na sprawowanie kontroli nad czymkolwiek, co ludzie woleliby (podobno) robić sami, a więc nad ochroną zdrowia, edukacją, kulturą, nauką i w ogóle wszystkim, oprócz wojska i policji. A wojsko i policja też w zasadzie są tylko po to, aby nikt nie próbował nastawać na prywatność i wolność obywatela, na przykład przeszkadzając mu w polowaniu, śmieceniu, smrodzeniu, hałasowaniu, wycinaniu, burzeniu, budowaniu i w ogóle robieniu tego, na co ma ochotę, i tak, jak ma ochotę.

No i skoro tak, to wara państwu od naszych pieniędzy. I tak już za dużo dostają te nieudolne, pasożytnicze ofermy i gryzipiórki. To zdumiewająca polityczna schizofrenia. Dla tych dziwnych ludzi państwo jest wrogiem, albowiem w samej swej istocie jest złem. Jednakże ani myślą państwa zwalczać. Bynajmniej nie są anarchistami. Chcą państwo przejąć, tak jak jeden gang przejmuje dzielnicę od innego gangu. Chcą je przejąć, żeby w nim rządzić – twardą gangsterską ręką. Rządzić w taki sposób, aby wszystko im było wolno, a jednocześnie wszyscy, którzy im się nie podobają, na przykład „lewacy" i „pedały", spadali na drzewo.

Libertarianizm w eleganckim wydaniu streszcza się w haśle „zakazuje się zakazywać". I czasami ma to nawet sens, bo zapał wielu państw do tworzenia regulacji bywa uciążliwy i przesadny. Jednak najczęściej szacunek dla wolności jednostki i jej prawa dokonywania życiowych wyborów oraz zachowania właściwego sobie stylu życia bardzo łatwo przeradza się w pychę, arogancję i kult siły. W „batyryzm", którego domyślnym hasłem jest „Teraz k… my!" albo nawet „Ch… mi zrobicie!".

Karol Nawrocki jest dzieckiem ulicy, stadionu i zakrystii księdza Jankowskiego. Wywodzi się ze świata, w którym, podobnie jak „pod celą", miarą wartości człowieka jest jego siła i nieugiętość. Możesz być kryminalistą, lecz jeśli „nie pękasz" i masz charakter, to zasługujesz na „szacun". I co tu dużo gadać – taki prostacki kult siły charakteru, niebaczący na krzywdy ofiar i całe zło, które idzie za przemocą, jest nie tylko starszy od moralności opartej na delikatności uczuć i poczuciu sprawiedliwości, lecz ponadto i dzisiaj bardziej od prawdziwej moralności rozpowszechniony. Chamstwo ma swój nieodparty urok. Urok więziennego uśmieszku Batyra, jego wyszczerzonych zębów i ciepło-zimnych oczu boksera. Taki brutal, słodki brutal. Może i czasem zleje, ale za to jak kocha!

JAN HARTMAN

eprasa.pl 43829d5945

Lewica ma rację

Ale niech się odwali od czipsów

W zeszłym tygodniu pisaliśmy rozpaczliwie o tym, że tylko strajk pacjentów mógłby uratować niedofinansowaną ochronę zdrowia. Nowa – i jak zwykle chwilowa – minister zdrowia, której nazwiska jeszcze nie zapamiętaliśmy, przebąkuje w wywiadach o współpłaceniu, czyli odegnaniu biedniejszych pacjentów od placówek zdrowotnych. Nowa Lewica, która też jest w rządzie, proponuje zaś nowy podatek zdrowotny.

I o dziwo na tle reszty pomysłów rządu ten akurat ma sens. Lewica w końcu zrozumiała, że systemu nie da się łatać aspiryną – potrzebne są ciężkie finansowe antybiotyki. Propozycja polega na tym, by obecne, pokręcone jak zeznania w prokuraturze, zasady naliczania składki zamienić na prosty podatek zdrowotny, zależny od PIT i CIT. Nie chodzi o wymyślanie koła na nowo, tylko o to, by pieniądze na zdrowie płynęły w sposób stały, przewidywalny i w końcu sensowny. Jeżeli ma to ustabilizować wpływy i ograniczyć coroczne szpitalne dramaty budżetowe, to trudno się kłócić – administracji od dawna przydałoby się mniej chaosu.

Warto też uczciwie powiedzieć: dorzucenie do tego całego podatku zdrowotnego odrobiny CIT-u to pomysł zwyczajnie dobry. Tak dobry, że w polskiej debacie wygląda podejrzanie: jakby ktoś pomylił rząd z państwem działającym dla obywateli.

Bo skoro firmy korzystają z pracowników, a pracownicy mają tendencję do chorowania – szczególnie po 12-godzinnych zmianach i na umowach, które nie wiedzą, co to L4 – to niby dlaczego całe utrzymanie systemu zdrowia ma spadać na ludzi pracy?

Dorzucenie przedsiębiorstw do wspólnej puli nie jest żadnym zamachem na biznes, tylko zwykłą higieną finansów publicznych. W końcu trudno wymagać, żeby państwo leczyło wszystkich, ale finansowali je wyłącznie ci, którzy nie mają siły ani czasu na optymalizacje podatkowe.

Najważniejsze jednak, że Lewica mówi wprost, czego cała reszta boi się jak badania profilaktycznego u proktologa: wydatki na zdrowie muszą wzrosnąć. Drastycznie. I szybko. Cel 9 proc. PKB może brzmieć jak polityczna fanfaronada, ale w rzeczywistości to absolutne minimum, żebyśmy przestali wyglądać w statystykach jak państwo trzeciej kategorii. Dzisiaj system zwisa na strzępkach dobrej woli pracowników medycznych, którzy po dyżurach wyglądają jak ofiary średniowiecznej kary. Każda partia może mówić, co chce, ale bez potężnego zastrzyku pieniędzy – nie, nie symbolicznego, tylko realnego finansowania – nic się nie zmieni.

Ale ponieważ to Lewica, nie mogło się obyć bez dodatków, które sprawiają, że człowiek nie wie, czy śmiać się, czy płakać. Oto proponują również podatek tłuszczowy. Ten pomysł to już fantazja legislacyjna na poziomie: „Skoro nie umiemy w kadry, infrastrukturę i profilaktykę, to przynajmniej pobawmy się w dietetyków". W państwie, gdzie na wizytę u endokrynologa czeka się dłużej niż na reparacje wojenne, wprowadzenie podatku od chipsów wygląda jak próba zrzucenia odpowiedzialności: „Jesteś chory? Pewnie zjadłeś pączka, a nie dlatego, że od dekady brakuje lekarzy".

Taki podatek nie ma nic wspólnego z troską o zdrowie publiczne, a już na pewno nie z naprawą systemu. To klasyczne: „Nie umiemy naprawić struktury, więc przykręćmy obywatelom śrubę i powiedzmy, że to dla ich dobra". Jakby kolejki skracały się od samego patrzenia na wartości odżywcze.

Cała proponowana przez lewicę reforma jest to więc dziwny zestaw: bardzo dobra diagnoza, solidny pomysł na finansowanie, a obok groteskowy pomysł wychowywania społeczeństwa podatkami od tłuszczu. Gdyby zatrzymali się na samym podatku zdrowotnym i ambitnym planie dofinansowania systemu – byłoby wzorowo.

Podsumujmy: większe nakłady? Tak. Jasny i stabilny model finansowania? Jeszcze bardziej tak. Podatek tłuszczowy? Niech zostanie w szufladzie obok zakazu jedzenia po 22.00 i akcyzy na stres.

Jeśli chcemy naprawdę ratować system, to nie od obywateli trzeba zacząć odchudzanie – tylko od chorych pomysłów, które odwracają uwagę od tego, co najważniejsze: że publiczna ochrona zdrowia potrzebuje pieniędzy, a nie moralnych wykładów.

Jak Lewica się tego nauczy, to kto wie – może nawet przeskoczy próg wyborczy.

DAMIAN DUSZCZENKO

Poprzez niewydolną opiekę zdrowotną państwo sprzyja oszustom

Oskar D., samozwańczy uzdrowiciel z Nowogrodu Bobrzańskiego, który usłyszał dziesięć zarzutów – od narażenia pacjentów na utratę życia po pranie pieniędzy – został zwolniony po siedmiu miesiącach z aresztu za poręczeniem majątkowym. Po wyjściu z pierdla natychmiast wrócił do aktywności paramedycznej. Dlaczego? Bo mógł. Ustawy lex szarlatan jak nie było, tak nie ma.

Szlachetne zdrowie

Jak wynika z materiałów Prokuratury Okręgowej w Zielonej Górze, Oskar D. przez prawie dwa lata tworzył pozory działalności terapeutycznej. W rzeczywistości rozsyłał identyczne listy gówno wartych suplementów wszystkim pacjentom bez względu na diagnozę. Zdarzało się, że polecał środki weterynaryjne, których działania nie weryfikował. Mężczyzna nie miał żadnych kwalifikacji – ukończył gimnazjum i kurs naturopaty online. W zeznaniach Oskar D. stwierdził: „Ja nie robiłem tego, aby zaszkodzić ludziom. Ja chciałem tylko zarobić". Chętnych nie brakowało, zyski D. sięgały milionów złotych. Z korespondencji Oskara D. i jego partnerki wynika, że prowadzili wspólnie sprzedaż suplementów i planowali kolejne interesy. Jedna z pacjentek pseudomedycznego influencera po jego namowach zrezygnowała z leczenia onkologicznego. Zmarła kilka miesięcy później. Zatrzymany w lutym 2025 r. oszust przyznał się śledczym do winy. W filmie nagranym po opuszczeniu aresztu przekonywał: „Żeby w Polsce człowiek dostał zarzut narażenia życia i zdrowia, czyli art. 160 Kodeksu karnego, nie trzeba nikogo skrzywdzić. Wystarczy dotknąć się substancji, któ-

Narodowego Tindera daję w lewo

Kuriozalny pomysł na dzietność w Polsce

Klub Jagielloński – prominentna prawicowa organizacja z ambicjami budowania „Nowej Chadecji, której filarami są: republikanizm, konserwatyzm, katolicka nauka społeczna" – ma zgoła niekonserwatywny pomysł na rozwiązanie kryzysu demograficznego. Na portalu Klubu pojawił się tekst zatytułowany „»Państwowy Tinder« pomógłby walczyć z kryzysem demograficznym? Eksperci: to mogłoby się udać". Autor, niejaki Przemysław Batorski, tak bardzo – jak powiedzieliby moi studenci, siedzący nieraz na prawdziwym Tinderze – rumakuje, że zadawałam sobie w myślach pytanie: w chuja gra czy o drogę pyta?



Cyrk na kółkach

Wyjaśnijmy: Tinder to aplikacja randkowa, na której selekcji dokonujemy, przesuwając profile potencjalnych parterów w lewo (olewam) lub w prawo (jestem zainteresowany/a). Jak dwie strony dadzą w prawo, tworzy się para. Na profilach są zwykle fotografie, czasem opisy – akurat mojego męża, prawie 6 lat temu, zachęcił opis, a nie zdjęcie.

Batorski pyta ekspertów, czy taka narodowa niekomercyjna aplikacja randkowa miałaby sens.

Jak wiadomo, ekspert to ktoś, kto powie jutro, dlaczego to, co mówił wczoraj, nie sprawdziło się dziś, więc pytani przezeń spece nader pozytywnie wypowiadają się o pomyśle państwowej apki do zapoznawania się w celach rozrodczych.

Mateusz Łakomy, autor książki „Demografia jest przyszłością", podkreśla, że prawdziwym problemem nie jest publiczna kasa na bachory, lecz fakt, że w Polsce nie powstaje wystarczająco dużo par. Krytykuje istniejące aplikacje randkowe, które są „kompletnie niedostosowane" do tworzenia się stałych związków, bo podejmuje się decyzje na podstawie zdjęcia, „czyli kryterium, które dla mężczyzn jest drugorzędne, a dla kobiet trzeciorzędne, gdy chodzi o wybór partnera, z którym chcą założyć rodzinę". Z tą opinią zapewne polemizowaliby specjaliści od socjobiologii, tacy jak prof. Jarosław Nocoń z Uniwersytetu Gdańskiego. Zdjęcie daje jakieś pojęcie – często nie do końca uświadomione – o zdrowiu danej osoby, które jest kluczowe, aby nie obciążać potencjalnego potomstwa genetycznymi chorobami. Np. stosunek odwodu talii do obwodu bioder jest mocno skorelowany z zapadalnością na m.in. cukrzycę i choroby serca. No i jak się zobaczy foto partnera, które jasno sugeruje, że człowiek jest przy forsie, to dobrze wróży to potencjalnej rodzinie.

Z kolei Bartosz Marczuk – były wiceminister pracy i polityki społecznej – przekonuje, że trzeba podłączyć się pod istniejące tendencje „w dobrym duchu", a „państwo mogłoby wesprzeć taką inicjatywę dyskretnie, we wspólnym interesie społecznym". Znakomity pomysł. Przeciętny Polak wprost marzy o tym, że przekazać państwu wrażliwe, osobiste dane i jest entuzjastą wpieprzania się przez polityków i biurokratów do tego, z kim się rucha.

Czas na poważną rozmowę

Narodowy Tinder to symptom wielkiego udawania racjonalnej dyskusji o klęsce demograficznej naszego kraju. Nie brak w niej katolickich bredni, myślenia życzeniowego, uciekania od myślenia systemowego, społecznego, w kierunku myślenia magicznego. Zamiast na serio rozmawiać o przyczynie niskiej dzietności Polek, szuka się jakichś rozwiązań z dupy wziętych. Niczym Hitler w obliczu przegranej, pokłada się nadzieje w jakiejś Wunderwaffe, cudownej broni, która odwróci istniejące – i wciąż pogłębiające się – trendy demograficzne.

Po pierwsze: to, czy kobiety chcą zachodzić w ciążę i rodzić dzieci, czy nie, jest ich prywatną sprawą. Nie zawsze stałe związki (najlepiej małżeńskie) temu sprzyjają. Np. we Francji zauważono, że rozwodniczki wchodzące w nowe relacje często rodzą kolejne dzieci. Moja znajoma, menedżerka w dużej korporacji amerykańskiej, wyleciała na Zanzibar, gdzie z premedytacją dała sobie zrobić dziecko ulicznemu grajkowi. Chciała dziecka przystojnego gościa, nie chciała faceta, który będzie wpieprzał się w wychowanie potomstwa.

Po drugie: wiele już urodzonych dzieci pojawia się – używam tego słowa celowo – w rodzinach dysfunkcyjnych, będąc nie owocem zaplanowanej decyzji obojga rodziców (a przynajmniej matki), lecz braku edukacji seksualnej, wymuszanego przez mężczyzn seksu czy po prostu jazdy bez trzymanki na urwanym filmie. Wiele dzieciaków klepie biedę, a bidule pełne są sierot społecznych, mających oboje rodziców, którzy kompletnie nie radzą sobie z ich wychowaniem. Państwo, które niewiele robi dla już urodzonych dzieci, skazując je na biedę lub nędzę, nie jest zbyt wiarygodne w wezwaniach do produkcji kolejnych dzieci.

Po trzecie: dopóki Polki nie będą mieć możliwości regulacji urodzeń i, w razie potrzeby, bezpiecznego usunięcia ciąży – dopóty trzy razy zastanowią się, czy w ogóle warto się na ciążę narażać. Jak trafnie ujęto to w dwóch hasłach Strajku Kobiet: „Strach się ruchać" i „Został tylko anal". Urodzenie chorego dziecka w Polsce to katastrofa życiowa dla rodziny, w jakichś 90 proc. tożsama z ucieczką faceta, często równoznaczna ze śmiercią społeczną.

Po czwarte: polska pula potencjalnych partnerów dla wykształconych, inteligentnych kobiet, które mają określone wymagania, jest nader ograniczona. Mówiąc wprost, generalnie faceci są mniej rozgarnięci, mniej chętni do edukowania się. Pamiętam, jak przeczytałam przed laty wypowiedź „wybitnej ekspertki", pani profesor, która stwierdziła, że najlepszym rozwiązaniem byłoby, gdyby polskie kobiety obniżyły wymagania wobec swoich partnerów. Pomyślałam sobie wtedy, że jestem gotowa się założyć, że mąż – czy partner – pani profesor jest lekarzem, prawnikiem albo biznesmenem. Łatwo innym kazać obniżać wymagania w tak istotnej kwestii jak osoba, z którą chce się dzielić życie – ale dawanie takich rad jest czystej wody bezczelnością.

Po piąte i ostatnie: chcecie więcej dzieci, sprowadźcie imigrantki z kultur, gdzie dziecko wciąż jest wysoce pożądaną wartością, a nie projektem, w który wciąż trzeba inwestować pieniądze, czas i wysiłek, przy bardzo niepewnym zwrocie nakładów. A one niech nawet i używają polskiego, narodowego Tindera, dzięki czemu na świecie pojawią się kawowe Julki i brązowe Franki…

Z.J.

Statystki są nieubłagane, demografia w kraju nad Wisłą notuje spektakularne spadki. Według premiera Donalda Tuska niska dzietność Polaków wynika z wygodnictwa kobiet. Prezes PiS, Jarosław Kaczyński, przyczyn słabego przyrostu naturalnego upatruje w zamiłowaniu pań do flaszki. Z problemem na poważnie postanowiła zmierzyć się głowa państwa.

Kołdry w górę

Na początku grudnia prezydent Karol Nawrocki powołał przy sobie nowy organ: Radę Rodziny i Demografii. Gremium złożone z ekspertów od polityki społecznej, ekonomii, demografii i socjologii ma wspierać pałac prezydencki w tworzeniu długofalowej polityki rodzinnej i znaleźć rozwiązania na narastający kryzys braku kaszojadów w Polsce. Patrząc na skład rady, w ciemno można obstawić, że dzieci z tego nie będzie. Nie szkodzi, cel jej powołania leży zupełnie gdzie indziej.

Inicjatywę Nawrockiego trudno nazwać oryginalną. Już rok temu Ministerstwo ds. Pracy, Rodziny i Polityki Społecznej powołało Radę do spraw Polityki Rodzinnej i Demograficznej. To 18-osobowy zespół pod przewodnictwem prorektor Szkoły Głównej Handlowej, prof. Agnieszki Chłoń-Domińczak. W jego skład wchodzą profesorki m.in. z UJ, UW czy PAN, dwie dyrektorki z GUS-u, dwoje dyrektorów departamentu z ministerstwa, czterech samorządowców, kierowniczka Ośrodka Adopcyjnego i troje kierowników Ośrodków Pomocy Społecznej. Na razie trudno szukać projektów ustaw wynikających z prac rady, ale za to w interpelacjach sejmowych chętnie podkreśla się jej powołanie – jako krok w kierunku kompleksowej polityki rodzinnej, z udziałem naukowców i samorządowców. Można zatem stwierdzić, że Nawrocki zerżnął pomysł (i w pewnym sensie nazwę) – ale nie z zazdrości.

eprasa.pl 43829d5945

Raj szarlatanów



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

propaguje tzw. dzikie porody – odbywające się w domu bez asysty lekarza czy położnej. U podstaw filozofii FBS leży sprzeciw wobec medykalizacji porodu oraz przemocy położniczej. Propagatorki „dzikich porodów" zachęcają także do tzw. dzikich ciąż, czyli niemonitorowanych przez lekarza czy położną.

jest zbyt skuteczna, zbyt tania i zbyt niezależna dla koncernów farmaceutycznych", i zrobił z siebie męczennika o prawdę, reklamując przy okazji swoją książkę.

W lipcu br. rzecznik praw pacjenta Bartłomiej Chmielowiec skierował do prokuratury zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa przez inną influencerkę Joannę Bobel. Występująca pod pseudonimem Doktor Miłość kobieta twierdzi, że dzięki jej autorskiej metodzie uzdrowiono ludzi z autyzmu, zespołu Downa, jelita wrzodziejącego i nowotworów. Bobel w październiku 2024 r. otrzymała od tygodnika „Wprost" nagrodę w plebiscycie Tuzy Biznesu dla wybitnych przedsiębiorców. Została wyróżniona jako lider świadomego życia. Metoda transformacyjna „Doktor Miłość" składa się z kursu rocznego oraz sesji coachingowych i mentoringowych, prowadzących do wyzwolenia z wszelkiego cierpienia emocjonalnego. Koszt kursu to 22 500 zł. W ciągu kilku lat skorzystało z niego blisko 7 tys. osób. Faktycznie dobry biznes. „Doktor Miłość" twierdzi, że nie wie, skąd wszystko wie, ale wie. Podkreśla, że prawdopodobnie jest geniuszem. Podczas jednej ze swoich transmisji w sieci stwierdziła, że będzie chciała wystąpić o Nagrodę Nobla. W innej relacji przekonywała, że w jej wizjach przemawia Bóg. Zdaniem rzecznika praw pacjenta kobieta łamie przepisy dotyczące udzielania świadczeń zdrowotnych bez wymaganych uprawnień. Rzecznik nie może samodzielnie podjąć działań przeciwko „Doktor Miłość", bo ustawa zezwala mu interweniować i nakładać kary administracyjne tylko w przypadku podmiotów leczniczych. Działalność Joanny Bobel – podobnie jak Oskara D. – nie znajduje się w tej kategorii.

Nieśpieszne ruchy

RPP zyska szersze uprawnienia, jeśli w życie wejdą przepisy ustawy określanej jako lex szarlatan. Projekt Ministerstwa Zdrowia zakłada możliwość szybszego reagowania w przypadku stwierdzenia pseudomedycznych machinacji i zarabiania na tym. Kary, które znalazły się w proponowanych przepisach, mogą sięgać nawet miliona złotych. W projekcie nowelizacji ustawy o zawodach lekarza i lekarza dentysty oraz niektórych innych ustaw, dotyczących kar za pseudoleczenie (potocznie zwanej lex szarlatan), wskazano, że skuteczność danej terapii oraz jej bezpieczeństwo powinny być potwierdzone w przeprowadzonych badaniach klinicznych lub na podstawie innych wiarygodnych i rzetelnych dowodów naukowych, które mogą mieć swoje odzwierciedlenie w stanowiskach gremiów eksperckich, towarzystw naukowych w formie wytycznych, zaleceń lub rekomendacji. Projekt ogłoszono w październiku 2024 r., a konsultacje zakończono w czerwcu 2025 r. Niestety, prace w MZ wciąż trwają. Ministerstwo stara się doprecyzować definicję pseudomedycyny, bo kreatywność farbowanych specjalistów od zdrowia nie zna granic. Słyszeliście kiedyś np. o pogotowiu antysepsowym? Zadaniem ochotników pogotowia jest dostarczanie askorbinianiu sodu do szpitala, gdzie znajduje się chory na sepsę. Wtajemniczony w proceder lekarz albo członek rodziny podaje choremu środek. Askorbinian sodu to sól sodowa kwasu askorbinowego, czyli buforowana (łagodniejsza) forma witaminy C. Nie leczy posocznicy. Mimo to pogotowie antysepsowe ma „ratowników" w każdym województwie. Na zmiany przepisów czekają sami lekarze. Metody niekonwencjonalne czy podejrzane suplementy diety mogą nasilać krwawienie śród- i pooperacyjne lub wchodzić w reakcje ze stosowanymi lekami, w tym przeciwbólowymi. Przyjmowanie dużych dawek witaminy C bez wskazań medycznych może osłabić działanie leczenia systemowego, np. radioterapii, powodować nudności, wymioty i osłabiające biegunki.

Michał Bulsa, prezes Okręgowej Rady Lekarskiej w Szczecinie, działania Oskara D. nazwał usiłowaniem zabójstwa. Izba zaapelowała do Ministerstwa Zdrowia i Ministerstwa Sprawiedliwości o pilne zaostrzenie przepisów karnych wobec szarlatanów, znachorów, naturopatów i krzewicieli kłamliwych teorii paramedycznych. Zdaniem lekarzy odpowiedzialność powinni ponosić nie tylko sami oszuści, ale również osoby wspierające i umożliwiające im działalność – asystenci, partnerzy i promotorzy. Klienci domorosłych medyków jeśli nie do piachu, finalnie i tak trafiają pod skrzydła NFZ. Tylko wtedy nie bardzo można im już pomóc.

Poród na dziko

Środowisko lekarskie zdaje sobie sprawę, że kryzys w niedofinansowanej ochronie zdrowia generuje coraz więcej problemów. Taka sytuacja to raj dla wszelkiego rodzaju biznesmenów, którzy karmią pacjentów złudzeniami i wyciągają od nich ciężkie pieniądze. Za chwilę na celowniku hochsztaplerów może znaleźć się kolejna wrażliwa grupa. Na Zachodzie rekordy popularności bije organizacja Free Birth Society (FBS), która propaguje tzw. dzikie porody – odbywające się w domu bez asysty lekarza czy położnej. U podstaw filozofii FBS leży sprzeciw wobec medykalizacji porodu oraz przemocy położniczej. Propagatorki „dzikich porodów" zachęcają także do tzw. dzikich ciąż, czyli niemonitorowanych przez lekarza czy położną.

W opinii założycielek FBS badanie USG może szkodzić płodowi. A matkom i dzieciom najbardziej szkodzi nieprzyjazna medycyna. Influencerki z FBS zgromadziły w internecie miliony wyznawczyń z całego świata.

Na dzikie porody często decydują się kobiety, które nabawiły się poważnych traum czy problemów ze zdrowiem psychicznym i fizycznym przy porodach szpitalnych. Dla wielu z nich wybór nowej metody nie skończył się szczęśliwym rozwiązaniem. FBS założyły sieć „szkół" kształcących położne, nazywane przez nie radykalnymi strażniczkami porodów. Kursantki były instruowane, by nie podpisywały żadnych umów, a także by nie wzywały pogotowia w razie komplikacji. Zdaniem mentorek resuscytacja noworodka to zaburzanie jego autonomicznej decyzji, czy żyć, czy nie. Jeśli zaś dziecko strzeli w kalendarz, to nic już nie pomoże, więc wzywanie karetki nie ma sensu. W przypadku nalotu służb miały udawać pomocne sąsiadki. Eksperci szacują, że od 2018 r. firma FBS wygenerowała około 13 mln dol. przychodu i całkiem sporo zgonów ciężarnych i dzieci. Plany likwidacji porodówek i wciskania rodzących na SOR-y minister zdrowia Jolanty Sobierańskiej-Grendy wespół z opieszałością w pracach nad lex szarlatan wydają się idealną zachętą dla nowego pseudomedycznego biznesu. Jak pokazuje przykład Oskara D., ryzyko prowadzenia takiego interesu w kraju nad Wisłą jest znikome.

IDALIA DUBICKA

Centralny Organ Zapładniający

Prezydent powołał ciało, które będzie badać, dlaczego majstrujemy mało małych Polaczątek

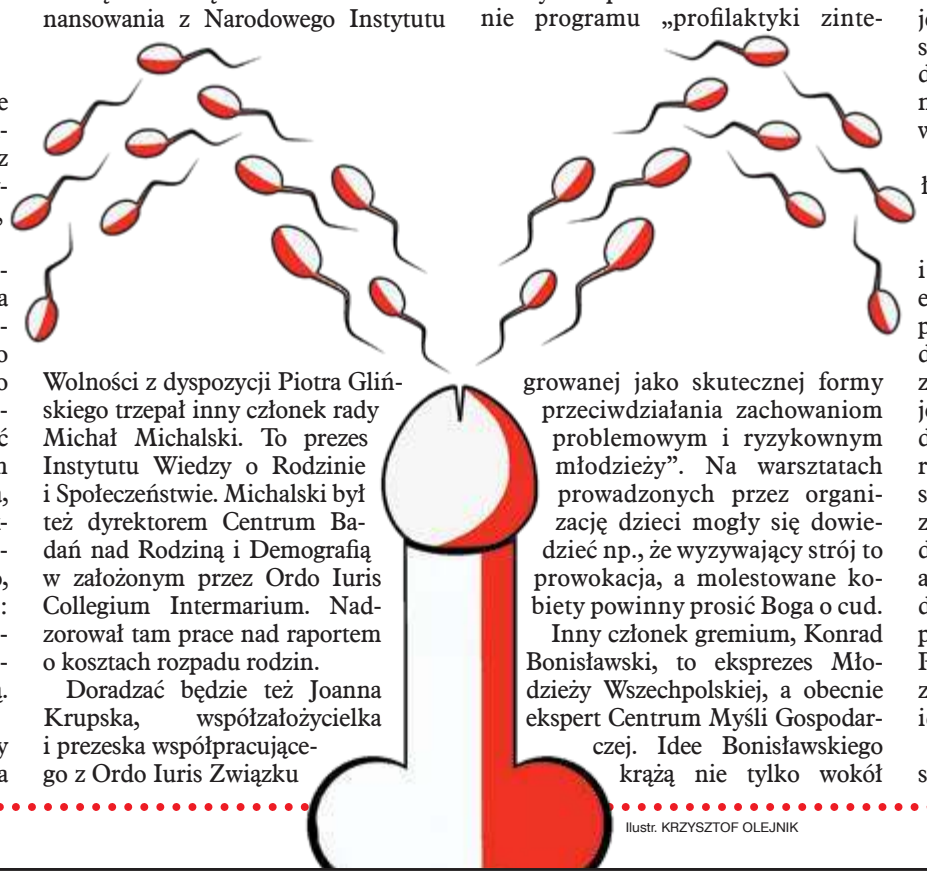
W komunikacie Kancelarii Prezydenta wskazano, że rozwiązanie kryzysu wymaga jednoczesnego zaangażowania wielu podmiotów: rządu, samorządów, systemu edukacji, ochrony zdrowia, organizacji pozarządowych czy oczywiście wspólnot religijnych. Na tę okoliczność do rady prezydenckiej powołano aż 24 specjalistów, w dodatku część z piekła rodem. Konkretnie z Ordo Iuris, Młodzieży Wszechpolskiej, PiS i środowiska obrońców zygot.

Statek miłości

Na karuzeli nazwisk RRiD figuruje dwóch demografów: prof. Piotr Szukalski z Uniwersytetu Łódzkiego oraz prof. Ewa Frątczak, emerytowana wykładowczyni SGH. Jest też socjolog, prof. Henryk Domański (znany z odbierania polskości prof. Barbarze Engelking), ekonomistka prof. Elżbieta Mączyńska i psycholog Karolina Appelt. Reszta zespołu odpowiedzialnego za poprawę narodowego rozpłodu to ekipa obwoźnego cyrku katoprawicy. Wśród nominatów można znaleźć m.in.: lidera Katolickiego Centrum Kultury w Gdyni Jarosława Szydłaka, córkę Antoniego Macierewicza Aleksandrę Wesołowską, stojącą na czele Fundacji Bank Mleka Kobiecego, i członków pisowskiej ekipy rządzącej: była ministrę rodziny, Elżbietę Rafalską, jej zastępcę Bartosza Marczuka, pisowską prezes ZUS Gertrudę Uścińską. Sami swoi, a to dopiero preludium.

Nawrocki zaprosił do współpracy także Marka Grabowskiego, prezesa skrajnie prawicowej Fundacji Mamy i Taty. W czasie rządów Zjednoczonej Prawicy organizacja była częstym beneficjentem państwowych dotacji. Na zamówienie ministra sprawiedliwości realizowała wielomilionowe kampanie medialne, które uświadamiały społeczeństwu, że małżeństwo chroni przed przestępczością, a małżonkowie są bardziej godni zaufania niż single. Za pieniądze z Funduszu Patriotycznego ludzie Grabowskiego zwalczali zaś Tęczowe Piątki w szkołach. Dofinansowania z Narodowego Instytutu Dużych Rodzin 3+. Pani prezes opiekę żłobkową uważa za szkodliwą dla psychospołecznego rozwoju dziecka. Przy okazji – aby katolickim wartościom stało się zadość – jest zagorzałą przeciwniczką Konwencji Antyprzemocowej.

W tym ostatnim popiera ją inny członek organu, Szymon Grzelak – dyrektor Fundacji Homo Homini im. Karola de Foucaulda, której odpryskiem jest Instytut Profilaktyki Zintegrowanej. Grzelak i jego instytut byli odpowiedzialni za stworzenie programu „profilaktyki zintegrowanej jako skutecznej formy przeciwdziałania zachowaniom problemowym i ryzykownym młodzieży". Na warsztatach prowadzonych przez organizację dzieci mogły się dowiedzieć np., że wyzywający strój to prowokacja, a molestowane kobiety powinny prosić Boga o cud.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Wolności z dyspozycji Piotra Glińskiego trzepał inny członek rady Michał Michalski. To prezes Instytutu Wiedzy o Rodzinie i Społeczeństwie. Michalski był też dyrektorem Centrum Badań nad Rodziną i Demografią w założonym przez Ordo Iuris Collegium Intermarium. Nadzorował tam prace nad raportem o kosztach rozpadu rodzin.

Doradzać będzie też Joanna Krupska, współzałożycielka i prezeska współpracującego z Ordo Iuris Związku

Inny członek gremium, Konrad Bonisławski, to eksprezes Młodzieży Wszechpolskiej, a obecnie ekspert Centrum Myśli Gospodarczej. Idee Bonisławskiego krążą nie tylko wokół ekonomii. Chętnie przestrzega przed destrukcyjnym wpływem liberalnej demokracji i tropi lewackie ideologie.

Idée fixe

Złośliwi powiedzą, że takie towarzystwo tylko siłą i gwałtem może zmusić kogoś do prokreacji. Na razie do zadań gremium będzie należało przygotowywanie dla prezydenta opinii dotyczących sytuacji polskich rodzin, opracowywanie założeń i projektów prezydenckich inicjatyw legislacyjnych z zakresu polityki prorodzinnej oraz formułowanie generalnych wniosków dotyczących wyżej wymienionych spraw.

Działalność Rady opiera się na społecznym zaangażowaniu jej członków. Nie oznacza to jednak, że nowa instytucja – na razie czysto doradcza i konsultacyjna – w przyszłości nie ewoluuje w coś więcej niż tylko „papierowy" organ przy pałacu prezydenckim. Wciągnięcie do współpracy zblatowanego z Ordo Iuris elementu jest nieprzypadkowe. Katoliccy fundamentaliści przez lata rozwinęli sieć rozmaitych think tanków, które do swoich struktur zassały akademików z krajowych uniwersytetów. Chociaż dorobek wszystkich tych „ośrodków analitycznych" i podległych im fundacji można potłuc o kant dupy, na pierwszy rzut oka sprawiają dobre PR-owo wrażenie. Gęsta sieć powiązań pozwala nieco ukryć głównego ideologa machiny.

Samo Ordo Iuris od ofensywy przeszło do filantropii. Prawnicy instytutu chętnie angażują się pro bono w spory sądowe o opiekę nad dziećmi, wytoczone przez państwo nie do końca wydolnym wychowawczo rodzicom. W ostatnim czasie prezes OI Jerzy Kwaśniewski uruchomił akcję „Mecenas dla Maluszka", w ramach której instytut będzie promował adopcję dzieci i udzielał profesjonalnej pomocy chętnym na nią rodzicom. Oczywiście za darmo. 90 proc. procesów adopcyjnych nie wymaga pomocy prawnika, ale zainteresowanych konsultacjami na pewno nie zabraknie.

Ruch Nawrockiego to nie tylko dyskretne ukorzenianie swojaków na projektowanych stołkach, ale kierunek kampanii wyborczej.

Nietrudno sobie wyobrazić, że rada będzie drenować pomysły NGO-sów i politycznych konkurentów, a Nawrocki ze swoim wetem torpedować rządowe inicjatywy – po czym wybierać z nich co lepsze kąski i przedstawiać jako swoje propozycje.

W dobie rosnącego bezrobocia i kosztów życia, zapaści w edukacji i z wojną za wschodnią granicą troskliwy ojciec narodu sprzeda się lepiej niż premier i jego opowieści o potędze gospodarczej kraju nad Wisłą. Jak nietrudno się domyślić, skutki tych przetasowań mogą być wyjątkowo smarkate.

LUCYNA MIKOŁAJCZAK

eprasa.pl 43829d5945

Stan wskazujący na dziecko

Mamy prawo, które karze picie syropu na kaszel odebraniem potomstwa



Rys. TOMASZ WIATER

Bydgoszcz, lipiec. Godzina 14.50. Zatrzymana na ulicy straż miejska słyszy dramatyczne wezwanie: „Dziewczynka! Sama! Boso!”. Kobieta niesie czterolatkę na rękach jak bohaterka filmu katastroficznego. Strażnicy reagują z całą mocą państwa polskiego. Wzywają policję, pogotowie, potem raport w radiu i komunikat do mediów. Brakuje tylko śmigłowca z kamerą termowizyjną i oddziału antyterrorystów.

Tragedia, że hej!

Dziewczynka? Zagubiona, ale zdrowa. Medycy stwierdzają: żadnych obrażeń, żadnego zagrożenia życia. Ale raport notuje słowo klucz: „błąkała się”. I to wystarczy.

Na miejsce podchodzi ojciec. Niepijany, niebełkoczący, niezataczający się. Ojciec, który – i tu jest sedno absurdu – ruszył szukać córki. Zamiast siedzieć na kanapie z puszką piwa, zrobił to, co każdy przyzwoity rodzic. Wyszedł na ulicę i zapytał, czy ktoś widział dziecko. I wtedy trafił w sidła prawa. Strażnicy poczuli woń alkoholu. Policjanci kazali dmuchać. Wynik: 0,13 mg/l, czyli około 0,26 promila. Jedno małe piwo, które w większości krajów Europy nie wzbudziłoby żadnego zainteresowania.

A w Polsce? Komunikat brzmiał niczym ostrzeżenie przed końcem świata: „Ojciec pod wpływem, dzieci same w domu”. Dodajmy: dzieci w wieku pięciu i siedmiu lat, które siedziały spokojnie w mieszkaniu. Nie otwierały gazu, nie paliły zasłon, nie biegały po balkonach. Po prostu czekały. Ale dla mediów to już „poważne uchybienia w sprawowaniu opieki”.

Dla porównania – w Poznaniu nauczyciel przyszedł na radę pedagogiczną z wynikiem 0,3 promila. Skandal? Owszem, ale zakończony naganą. Nikt nie odebrał mu dzieci. W Olsztynie kierowca tira miał 0,24 promila – sprawa w sądzie, ale żaden portal nie pisał o „narażaniu życia”. Tymczasem w Bydgoszczy ojciec po jednym piwie staje się wyrodnym rodzicem.

Policja w komunikacie mówi: „W domu znajdowała się jeszcze dwójka dzieci bez opieki dorosłego”. Brzmi dramatycznie, ale czy pięciolatek i siedmiolatek siedzący razem w mieszkaniu to już dramat? Gdyby trzymali tablet i grali w Minecrafta, to w XXI w. nazywa się to normalne popołudnie.

Alkomat rządzi

Gdy chodzi o alkohol, polskie prawo bywa matematyczne do bólu. Wystarczy spojrzeć na przepisy dotyczące ruchu drogowego. Art. 87 Kodeksu wykroczeń mówi wyraźnie, że kierowanie pojazdem w stanie po użyciu alkoholu, czyli z zawartością od 0,2 do 0,5 promila we krwi, jest wykroczeniem. Kierowca złapany na takim wyniku dostaje grzywnę, punkty karne i traci prawo jazdy. Art. 178a kodeksu karnego idzie dalej i precyzuje, że jeśli stężenie przekroczy 0,5 promila, mamy już do czynienia z przestępstwem, za które grozi kara do dwóch lat więzienia, zakaz prowadzenia pojazdów i świadczenie pieniężne na rzecz Funduszu Pomocy Pokrzywdzonym. Tutaj nikt nie zgaduje, nikt nie mówi „wydaje się, że pan jest pod wpływem”. Wystarczy alkomat i paragraf.

Tak samo w pracy. Nowelizacja kodeksu pracy z 2023 r. wprowadziła art. 22d, który mówi, że pracodawca nie ma prawa dopuścić pracownika do obowiązków, jeśli wynik badania alkomatem wskaże choćby 0,2 promila. To nie jest kwestia interpretacji – to jest matematyczny fakt. A art. 52 kodeksu pracy dodaje, że przyjście do pracy w stanie nietrzeźwości to ciężkie naruszenie obowiązków, które daje pracodawcy prawo do natychmiastowego zwolnienia dyscyplinarnego. Ustawa o wychowaniu w trzeźwości i przeciwdziałaniu alkoholizmowi (art. 17) dokłada swoje: kierownik zakładu pracy odpowiada za to, żeby pijany pracownik nie zasiadł za biurkiem ani nie wszedł na halę produkcyjną.

Identycznie działają przepisy branżowe. Maszynista kolejowy? Musi być trzeźwy do ostatniej setnej promila, bo w przeciwnym razie łamie przepisy o transporcie kolejowym. Pilot samolotu? W Polsce wymagane jest absolutne zero, choć w Niemczech dopuszcza się 0,2 promila – zresztą większość linii lotniczych i tak stosuje politykę zero tolerancji. Strażak czy żołnierz na służbie – tak samo, pełna trzeźwość.

A teraz porównajmy to z sytuacją rodziców. W kodeksie nie znajdziemy ani jednej liczby.

Nie istnieje paragraf, który mówiłby, że matka z 0,3 promila nie może przewijać dziecka, a ojciec z 0,5 promila nie może zabrać go na spacer. Tu nie ma granicy – jest tylko ocena.

Policjant może stwierdzić, że ojciec po jednym piwie jest nieodpowiedzialny. Ale równie dobrze może uznać, że ojciec po trzech piwach nadal jakoś się trzyma i zakwalifikować sprawę jako wykroczenie.

Na kogo wypadnie, na tego...

Przykładów pokazujących, jak polskie przepisy robią z rodziców przestępców, nie brakuje. W Zawierciu policja interweniowała u rodziców 12-dniowego niemowlęcia. Kobieta miała promil, jej partner dwa. Maluch spał w łóżeczku, ale policja uznała, że to „bezpośrednie zagrożenie życia”. Dziecko trafiło do szpitala, a rodzicom postawiono zarzuty z art. 160 kk, który przewiduje do pięciu lat więzienia. Zastanawiające jest to, że w tym przypadku promil był powodem do wyrwania dziecka z domu, podczas gdy w innych podobnych historiach trzy promile kończyły się mandatem.

W Elblągu patrol natknął się nad wodą na ojca z trzyletnim synem. Mężczyzna miał 1,7 promila alkoholu w organizmie. Czy dziecko było zaniedbane? Nie. Było czyste, ubrane, spokojne. Ale fakt, że ojciec pił wcześniej, wystarczył, by policja skierowała sprawę do sądu. Tym razem jednak zakwalifikowano to nie jako przestępstwo, ale wykroczenie z art. 106 kodeksu wykroczeń, który mówi, że „kto dopuszcza do przebywania dziecka w okolicznościach niebezpiecznych, podlega grzywnie albo naganie”. Kara mogła wynieść kilkaset złotych. Różnica? Interpretacja policji.

W Słupsku sąsiedzi wezwali policję, bo zobaczyli dziecko chodzące po wewnętrznym parapecie mieszkania. Policjanci przebadali rodziców – ojciec miał 3 promile, matka 1,5. Można by się spodziewać aktu oskarżenia i więzienia. Tymczasem sprawa zakończyła się… mandatem 100 zł. Dla jednych trzy promile to zarzut z art. 160 kk, dla innych – zwykłe wykroczenie.

W Dobrzeniu Wielkim wydarzyła się tragedia. Matka – trzeźwa. Synowie bawili się w ogrodzie. Siedmiolatek pilnował młodszego brata. Roczne dziecko utonęło w ogrodowej wannie z wodą. Prokuratura nie miała wątpliwości – oskarżono matkę o narażenie na niebezpieczeństwo i nieumyślne spowodowanie śmierci. Kobieta dostała wyrok roku w zawieszeniu. Morał? Nawet trzeźwość nie chroni rodzica przed paragrafem.

Jeszcze bardziej kuriozalne są przypadki porodów. W Nowym Sączu w 2023 r. urodziło się dziecko z 1,09 promila alkoholu we krwi. Matka usłyszała zarzut narażenia na niebezpieczeństwo. W Żurominie niemowlę miało 2,8 promila, więcej niż matka. W Elblągu kobieta rodziła pod wpływem narkotyków, co stwierdzili lekarze. W każdym z tych przypadków prokuratura interweniowała, choć przecież prawo nie zakazuje ciężarnej pić ani brać narkotyków przed porodem. Dopiero w chwili urodzenia, gdy staje się matką, zaczyna obowiązywać art. 160 kk. To prawny matrix: w jednym momencie picie jest legalne, w następnym – karalne.

Dodajmy do tego przykłady, które brzmią jak żarty, ale są prawdą. W Lipnie matka poszła na zakupy. Trójkę dzieci zabrała ze sobą, czwarte przywiązała paskiem do framugi, żeby nie uciekło. Policja i prokuratura uznały, że grozi jej do pięciu lat więzienia. Tymczasem w Słupsku inna matka zostawiła trzylatka samego w domu, a sama poszła na zakupy – dostała mandat.

W Pułtusku ojciec z trzema promilami został oskarżony o „rozpijanie małoletniego”, bo jego pięcioletni syn samodzielnie otworzył lodówkę, znalazł butelkę wódki i pociągnął kilka łyków. Gdyby ojciec zamiast pić, majsterkował, dziecko pewnie by nie znalazło flaszki. Ale że pił – dostał zarzuty.

Tak wygląda polski matrix. Rodzic nigdy nie wie, czy jego zachowanie będzie potraktowane jako przestępstwo, wykroczenie czy zwykła głupota. Art. 48 konstytucji mówi, że rodzice mają prawo do wychowania dzieci zgodnie z własnymi przekonaniami. Ale art. 160 kk i art. 106 kw czynią z tego prawa wydmuszkę – wystarczy „woń alkoholu”, wystarczy „okoliczność niebezpieczna”, by państwo weszło do domu i pozbawiło rodziców potomstwa.

TADEUSZ JASIŃSKI

Kryminał po polsku

Bo byłem więźniem, a przeczytaliście mnie

Więzienie na dobre zagościło w popkulturze. Zwieńczeniem fascynacji pierdlem jest produkcja Canal+ „Eksperyment: Odsiadka”, w której celebryci i influencerzy spotykają się pod celą z byłymi więźniami i strażnikami, pokazującymi im, jak wygląda życie za kratkami.

Inni siedzą naprawdę i też nie chcą pozostać anonimowi. Zapiski więzienne mają długą tradycję. Nie dziwota, jakoś tę nudę trzeba zabić. Dobrze byłoby też – gdy się już chce takie dzieło wydać – nie zabić nudą czytelnika.

Tak się składa że epizod więzienny miało dwóch prominentnych przedstawicieli Twojego Ruchu, w tym sam jego założyciel, Janusz Palikot. W trakcie czteromiesięcznego pobytu w areszcie napisał trzy książki, co stawia go w jednym szeregu z Remigiuszem Mrozem czy Józefem Ignacym Kraszewskim. Z racji medialności swojej sprawy i konszachtów z celebrytami ze swoim „Dziennikiem z więzienia” Palikot zagościł tu i ówdzie, łącznie z topowym obecnie Kanałem Zero.

Mniej szczęścia miał Roman Kotliński – były poseł Twojego Ruchu, ale też były ksiądz, autor bestsellerowego niegdyś „Byłem księdzem”, były redaktor naczelny antyklerykalnych „Faktów i Mitów”, były milioner . Teraz napisał „Byłem więźniem”.

Na „byłości” Kotliński dorobił się majątku, który w swojej książce widzi i opisuje, bo tęskni po nim. Jego tygodnik, podobnie jak „NIE”, był przez mainstream zazwyczaj ignorowany – ewentualnie cichcem zrzynany – toteż i sam naczelny miał i ma status pariasa w mediach głównego nurtu. A przesiedział sporo więcej niż ojciec założyciel Twojego Ruchu – i życiorys ma nie mniej obfity w zwroty akcji.

Kotliński siedział prawie sześć lat w areszcie śledczym, gdzie co jakiś czas dostawał z prokuratury pozdrowienia z nowymi zarzutami. Przyznał się do dwóch, jak je nazywa, „pierdół”. Sąd



Rys. WIDGET

odrzucił co prawda zarzut zlecenia zabójstwa, ale większość życzeń prokuratora przyklepał. Sam Kotliński twierdzi, że był więźniem politycznym, a w zamachu na niego maczała paluchy czarna, a nawet purpurowa ręka. Rzeczywiście, sześć lat aresztu to skurwysyństwo, co gromadnie zaczynają zauważać nawet pisowcy, gdyż sami mogą trafić za kraty – toteż w końcu widzą różnicę między aresztem i więzieniem. Faktem jest również, że Kotlińskiego aresztował bezpośredni podwładny Ziobry z Prokuratury Krajowej (ten sam, który próbował posadzić Niesiołowskiego) i że w sumie przesiedział siedem i pół roku, prawie całe rządy PiS. W Sądzie Najwyższym oczekuje na rozpatrzenie jego kasacja.

„Byłem więźniem” to opis dwudziestu lat życia autora. Nie jest to na szczęście całkowita autohagiografia. Kotliński kreśli obraz upadłego moralnie materialisty, wciąż głodnego kolejnych sukcesów, majątków i dup, który po drodze rozwalił swoje małżeństwo i rodzinę. Nazywa siebie hedonistą i kurwiarzem, by zostać w końcu „ruiną człowieka”. Skruszeni gangsterzy zawsze mają wzięcie.

Wcześniej wszakże był posłem. W klubie Palikota odpowiadał za sprawy światopoglądowe. W „Byłem więźniem” opisuje swoje konflikty z szefem klubu, a także historię i powody upadku drużyny Palikota – z 10 proc. poparcia do granicy błędu statystycznego. Pokazuje od kuchni poselskie nadużycia finansowe, oszustwa oraz nieróbstwo w sejmie i w okręgach wyborczych. Opowiada o nocnym życiu hotelu poselskiego. Z niektórymi rozlicza się osobiście, jak choćby z Krzysztofem Kwiatkowskim z KO, łódzkim ziomkiem w ławach poselskich.

„Byłem więźniem” to także sporo więziennego mięsa. W czasie jego pobytu wydarzało się wszystko, co może się wydarzyć w więzieniu, łącznie z zabójstwem jednego z aresztantów. Kotliński punktuje nadużycia, których przybywało, w miarę jak na stołku zarządcy więziennictwa zmieniali się

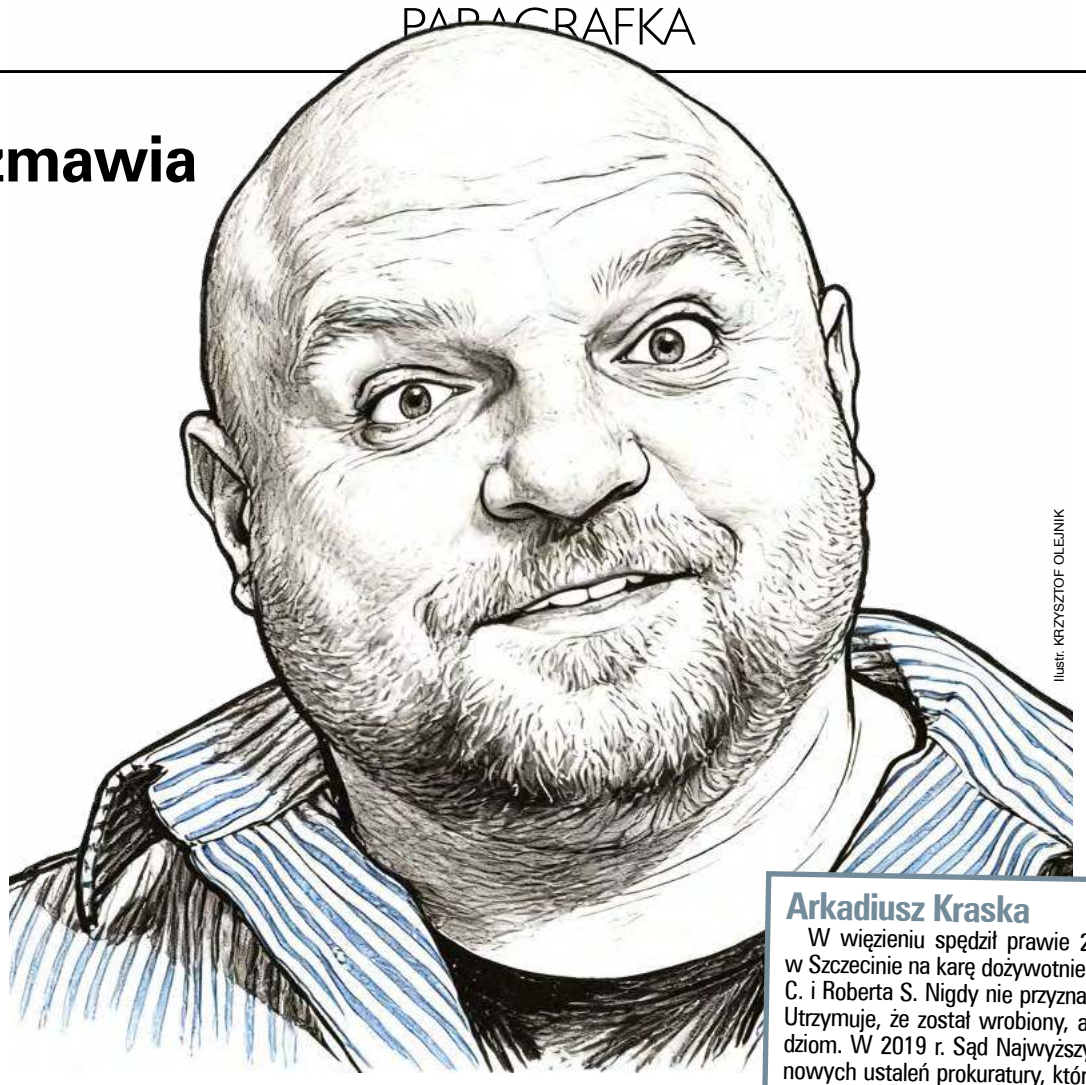
kolejni zastępcy Ziobry, którzy nic sobie nie robili choćby z unijnych standardów – od zaniżenia powierzchni mieszkalnej na jednego więźnia po bicie niepokornych w wygłuszonych pomieszczeniach czy bezprawne karmienie pracą osadzonych Funduszu Sprawiedliwości.

Jest wreszcie – to dla tych o mocnych nerwach – cud nawrócenia. Kotliński stwierdza: „Nie wierzę w Boga. Ja wiem, że On istnieje”. Bóg w wersji Kotlińskiego nie współpracuje z żadną religią, więc trochę się obawiamy, że w związku z tym ten były ksiądz – jeśli zostało mu jeszcze parcie na sukces – założy jakieś nowe wyznanie. Święta księga już jest.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

eprasa.pl 43829d5945

Państwo z kartonu, kraty ze stali



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Tygodnik „NIE” rozmawia z ARKADIUSZEM KRASKĄ

– Mało kto poznał życie więzienne tak dobrze jak pan. Niemalże 20 lat odsiedziane, z perspektywą na dożywocie. Czy i jak w tym czasie zmieniało się polskie więziennictwo?

– W czasie mojego pobytu zmieniło się wiele. Na początku odsiadki było prawdziwe bagno. Przez pierwsze lata siedziałem w „enkach”, czyli celach dla niebezpiecznych, gdzie był totalny hardkor. Traktowany byłem jak najgorszy zbrodniarz, a funkcjonariusze nie mieli ograniczeń w „umilaniu” mi tego czasu. Znacznie się poprawiło, gdy weszliśmy do Unii Europejskiej. Dało się odczuć wielkie zmiany, jeśli chodzi o prawa człowieka. Unia poprzez różne programy niejako wymuszała poprawę losu więźniów, także tych z dużymi wyrokami. Zapanowały niemalże zachodnie standardy, cywilizacja. Wcześniej to, co gdzie indziej było normalne, w Polsce było luksusem, albo wręcz niemożliwe, jak np. bardziej swobodne widzenia czy rozmowy internetowe przez kamerkę. Pojawiły zajęcia informatyczne, sala komputerowa, żeby człowiek z długim wyrokiem nie był całkiem odcięty od cywilizacji.

– Ale przyszedł w końcu Ziobro ze swoją filozofią „więzienie to nie sanatorium”.

– Wyszedłem w 2019 r. i wtedy tych radykalnych Ziobrowych zmian nie dało się odczuć. Pan Zbyszek nie zwariował jeszcze tak jak w drugiej kadencji PiS. Wówczas zaczęło się dziać bardzo źle: przemoc funkcjonariuszy wobec osadzonych wróciła do łask, podobnie jak ograniczenia korespondencji i widzeń – no po prostu ogromny krok wstecz ku reżimowym obyczajom. Zdaję sobie sprawę, że to może brzmieć śmiesznie: przecież nie siedzą tam aniołki, większość osadzonych to przestępcy odbywający słuszną karę… Ale niepozbawieni przecież praw obywatelskich. Oni kiedyś wrócą do społeczeństwa, a gnojenie człowieka i znęcanie się nad nim przez wiele lat nie wpływa na niego pozytywnie.

– Czy to w ogóle możliwe, aby więzienie kogoś poprawiło – czy resocjalizacja to mrzonka dla idealistów?

– Uważam, że resocjalizacja jest możliwa i istnieje nawet w polskich warunkach. Weźmy choćby pracę więźniów. Zanim zaczęło się to Ziobrowe prawo, że więzień ma pracować „za miskę ryżu” – czyli stworzenie warunków niemalże obozu pracy – ludzie sami bardzo chcieli pracować. Dawało to jakieś poczucie sensu, uczestnictwa w społeczeństwie, a jednocześnie gwarantowało odrobinę stabilności materialnej i zapewniało środki na start po wyjściu. Była to też namiastka życia jak na wolności: wstajesz, idziesz do pracy, robisz coś sensownego, wracasz. Według mnie to również rodzaj resocjalizacji – wyrwanie się z tej ponurej codzienności w celi. Niektórym ludziom wydaje się, że osadzeni to banda nierobów, dla których pierdzenie w stołek cały dzień to spełnienie marzeń i szczyt ambicji. To mylne wyobrażenie, choć oczywiście jest grupa więźniów, którzy cenią sobie życie obiboka. Czas w pierdlu upływa im na słodkim nicnierobieniu, choć mogliby go lepiej spożytkować, właśnie pracując czy rozwijając się, tak żeby po wyjściu mieć jakiś kapitał. Istnieje mnóstwo programów, które pomagają zdobyć lub podwyższyć wykształcenie, różne kursy itd., więc jak ktoś chce, to rzeczywiście może wyjść lepszym i mądrzejszym człowiekiem.

– Były minister sprawiedliwości miał inną wizję.

– Ziobro z Wosiem i resztą patałachów chcieli z więzień zrobić obozy pracy i poniekąd im się udało. Gdy zaczęli to wprowadzać to morale spadło i z więzienia zaczęło wychodzić coraz więcej wkurzonych frustratów,

którzy oczywiście bardziej skłonni są wrócić na drogę przestępstwa niż ci, którzy spędzili ten czas w przyjaźniejszych warunkach.

– Ziobro może sam wpadnie teraz we własne sidła.

– Niech zbiera, co zasiał.

– Wracając do zwykłych ludzi. Wychodzi taki z puszki i…

– Trafia do zupełnie nieznanej sobie rzeczywistości, zwłaszcza po dłuższej odsiadce. Wiem sam po sobie, że ludziom po wyrokach nie jest łatwo, zwłaszcza gdy nie mają wsparcia w najbliższym otoczeniu. Mnie samemu bardzo trudno było znaleźć pracę, bo nasz ukochany wymiar sprawiedliwości dalej mnie kopie i wciąż nie jestem niewinnym w sensie prawnym człowiekiem. Pracodawcy kręcą nosem, niektórzy może i by przyjęli, ale obawiają, się jak to zostanie przyjęte przez innych pracowników, czy nie będzie buntu, obaw przed skazańcem itd.

– Z jednej strony ludzie chcą widzieć kryminalistów w pracy, najlepiej ciężkiej, żeby „nie musieli tyrać na tych nierobów”, a z drugiej pracować z nimi nie chcą…

– Rzeczywiście, to jest paradoks. W deklaracjach każdy jest za tym, żeby ci ludzie pracowali, ale gdy mają być kolegami z pracy, to perspektywa się zmienia. Bierze się to oczywiście ze stereotypów na temat więźniów. Zgoda: sami na nie zapracowali, ale też ten profil przeciętnego osadzonego się zmienia.

– Wokół więzień i więźniów narosło wiele mitów, często podsycanych przez media i popkulturę.

– Prawda, tych mitów i stereotypów jest masa. Ostatnio pani prowadząca ze mną wywiad dla jednej z telewizji stwierdziła, że w więzieniu dobrze karmią i każdy może sobie wybrać dietę. To jest wierutne kłamstwo. Dietę zmienić może więźniowi tylko lekarz pod kątem schorzeń, np. cukrzycy. Jedzenie może też być dostosowane do religii osadzonego. A tak to wszyscy dostają ten sam syf. Oczywiście jak się spojrzy na „menu” więzienne, to codzienne posiłki wydają się sycące i apetyczne. Np. mielony z ziemniakami i buraczki na papierze wyglądają świetnie. Ale zapewniam pana, że gdyby ktoś panu w restauracji albo w gościach zaserwował takie danie jak więźniom, to więcej by pan tego miejsca nie odwiedził. To jest naprawdę niesmaczne jedzenie. Nie jest więc tak jak w „Kilerze”, gdzie Wąski przynosi Siarze frykasy na tacy.

– Jednocześnie mamy, zwłaszcza w sieci, swego rodzaju gloryfikację gangsterskiego i więziennego stylu życia. Grypsera jest w powszechnym obiegu, na popularnych galach walczą przestępcy, gangsterzy firmują takie imprezy.

– Tutaj państwo powinno wkroczyć bardzo mocno, bo promowanie patologii wśród młodzieży ma opłakane skutki. Stoją za tym ludzie z wielkimi pieniędzmi, szemraną przeszłością i teraźniejszością. Promowanie przemocy i drogi przestępstwa jako czegoś fajnego i pożądanego nie może się dobrze skończyć. Poza tym ci „topowi” mafiozi to nie są ludzie tak charakterni i godni podziwu, jak to się próbuje przedstawiać i za jakich oni sami się mają. Zasady i honor są większości tych ludzi obce.

– Młodzi zachłyśnięci gangsterką często w końcu trafiają tam, gdzie to się zawsze kończy. Okazuje się, że codzienność więzienna nie jest taka kolorowa jak w filmie.

– To prawda, dwugodzinny film to nie to samo co 24 godziny w celi przez kilka lat.

– Ale część wychodzi, wraca, wychodzi, wraca – i tak w kółko. Chyba im się podoba.

– Fakt, sporo osób robi z tego sposób życia. Wychodzą na wolność i sobie nie radzą, wracają do tego, co znają. Popełniają jakieś pospolite przestępstwo, wracają za kratki. Błędne koło.

– Nie ma jakichś programów, które pomogłyby takim ludziom wrócić na właściwe tory?

– Są, ale moim zdaniem niewystarczające. Istnieją za to fajne inicjatywy oddolne i pozarządowe. W Zabrzu były więzień stworzył ośrodek, w którym tacy ludzie mają rok na „ogarnięcie się” w nowej rzeczywistości, bez rzucania od razu na głęboką wodę. Bo jak więźniowi da się w łapę pieniądze i pa pa, to on z dużym prawdopodobieństwem za tę kasę kupi flaszkę, potem kogoś pobije, coś ukradnie i witamy z powrotem. Większość z nich nie zna normalnego życia: wychowała ich ulica, czyli narkotyki, alkohol, bójki. Sam zajmuję się pomocą postpenitencjarną. Pracuję teraz – choć pewnie waszym Czytelnikom ta nazwa może się różnie kojarzyć – w placówce Caritas, w Centrum Integracji Społecznej. Są tam różni ludzie, którzy szukają pomocy, nie tylko więźniowie, ale też uzależnieni itd. Naszym zadaniem jest właśnie takie miękkie wprowadzanie ich do społeczeństwa, z korzyścią dla obu stron.

– Pisowcy straszą, że te centra to zakamuflowane obozy dla imigrantów wpuszczanych masowo do Polski.

– Oni wiele mówią dla celów swojej propagandy, ale nie chcę się tu wdawać w polityczną wojenkę. Gdyby to gadanie i straszenie zamienili na solidną pracę, to wszystkim żyłoby się lepiej.

– I co pan robi w tym Caritasie?

– Służę trochę jako taki żywy przykład, że można wyjść z naprawdę wielkiej opresji i traumy i nie popadać w patologię, ale cieszyć się życiem. Oprócz tego działam też na innych frontach. Zgłasza się do mnie mnóstwo ludzi, którzy mają podobne do moich problemy, ale mniej doświadczenia i determinacji. Jeżdżę na ich sprawy, założyłem stowarzyszenie „Siła jest w nas” i kancelarię „Vires in Nobis”, do których może zwrócić się każdy przeczołgany przez sądy. Część tych, którzy się do mnie zgłaszają, jest od znanego waszym Czytelnikom Piotra Ikonowicza, który się sprawami karnymi raczej nie zajmuje. Byłem nawet na paru zorganizowanych przez Piotrka manifestacjach w słusznych sprawach, choć do lewicy mi dość daleko.

– Mało panu jeszcze łażenia po sądach?

– Oczywiście wielu przedstawicieli wymiaru sprawiedliwości ma mi za złe, że nagłaśniam te patologie, i twierdzi, że sam sobie szkodzę, bo przecież moja sprawa ciągle jest w toku. Sugerują, że gdybym był bardziej potulny, to miałbym już wszystko za sobą. To jest chore, ale mam to gdzieś i robię swoje. Gdybym był potulny w więzieniu i pokornie przyjmował kolejne ciosy, to pewnie bym dalej siedział.

– Co konkretnie pan i pana stowarzyszenie robi?

– Zajmuje się głównie sprawami karnymi. Tzn. zajmują się prawnicy, ja jestem tego „twarzą”. Miałem ostatnio rozprawę odszkodowawczą człowieka skazanego za pedofilię. Trwało to cztery lata – został uniewinniony, oczyszczony ze wszystkich zarzutów. Gość był z kobietą, która miała dziecko ze swoim poprzednim mężem. Ten mąż – funkcjonariusz policji, zastępca komendanta – tak nastawił dziewczynkę przeciwko nowemu partnerowi jej matki, że ta oskarżyła go o pedofilię. Chłop siedział niewinnie, a wiadomo, że oskarżonym o pedofilię łatwo w więzieniu nie jest. Ale skończyło się dobrze, na ile to w tym przypadku możliwe, a panem policjantem zajmuje się prokuratura. Pedofilia jest oczywiście ogromną zbrodnią, ale bezpodstawne oskarżenie o nią – w dodatku przy wykorzystaniu do tego dziecka – jest również obrzydliwe.

– Śledzi pan zapewne kolejne ekipy rządzące i ich politykę w zakresie wymiaru sprawiedliwości. Co idzie nie tak i jak to naprawić, żeby takich jak pan czy Komenda nie było więcej?

– Trochę tracę już wiarę w systemową naprawę, bo choć każdy przychodzi ze szlachetnymi hasłami i niezłymi nieraz pomysłami, to w praktyce wychodzi jak zawsze. Każda zapowiedź odpolitycznienia sądów kończy się jeszcze większym upolitycznieniem. Może jak politycy rzeczywiście trochę posiedzą, to ruszą też temat więziennictwa? Adamowi Bodnarowi czy Marii Ejchart los więźniów bardzo leżał na sercu, dopóki nie usiedli na stołkach. Ktokolwiek rządzi, w wymiarze sprawiedliwości jest ciągle bałagan – swój swojego chroni, a zwykły człowiek nie jest w stanie sam się przeciwstawić tej machinie. Bezkarność sędziów i brak faktycznej odpowiedzialności za błędy to rak, który toczy ten kraj i niszczy życie wielu niewinnym ludziom. Przewlekłość postępowań sprawia, że nawet jak ktoś jest niewinny, to na długie lata zostaje wyłączony z życia, a w tym czasie sypie mu się rodzina, praca, biznes, wychodzi z tego pokiereszowany. Popełniono już mnóstwo błędów i zamiast się na nich uczyć, politycy ciągle popełniają nowe.

– Często pan podkreśla, że w pańskiej sprawie wiele pomogli dziennikarze. Ostatnimi czasy rzadko słyszymy komplementy.

– Rzeczywiście, gdyby nie dziennikarze, to pewnie bym do dziś w tej celi siedział albo już bym nie żył. Znaleźli się odważni i dociekliwi ludzie, którzy przekonani byli, że z moją sprawą jest coś ewidentnie nie tak, i drążyli, aż wydrążyli. Presja mediów oczywiście ma sens, ale wydaje mi się że teraz tych dziennikarzy z misją jest coraz mniej.

– Panuje presja lajków, wyświetleń i reklam, miejsca na misję pozostaje niewiele. Łatwiej zrobić klikający się materiał o celebrytach niż coś bardziej wymagającego.

– Ja nie jestem z tych, którzy idą na łatwiznę i chciałbym zachować dobre zdanie o dziennikarzach, ale niektórzy intensywnie pracują, żeby popsuć wam opinię jako środowisku.

Rozmawiał
ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

Arkadiusz Kraska

W więzieniu spędził prawie 20 lat. W 2001 r. został skazany przez Sąd Okręgowy w Szczecinie na karę dożywotniego pozbawienia wolności za podwójne zabójstwo Marka C. i Roberta S. Nigdy nie przyznał się do winy i cały czas walczył o wyjście na wolność. Utrzymuje, że został wrobiony, a wyjaśnienie sprawy nie jest na rękę wpływowym ludziom. W 2019 r. Sąd Najwyższy wznowił postępowanie w jego sprawie na podstawie nowych ustaleń prokuratury, która stwierdziła, że mogą istnieć poważne wątpliwości co do jego udziału w zabójstwie. Kraska nadal jest jednak podejrzanym w sprawie, wciąż oczekuje na ponowny proces. Często bywa porównywany do Tomasza Komendy. – Tomek Komenda miał prościej, bo dostał rentę od premiera Morawieckiego. Ja takiej renty nie dostałem. Starałem się o nią, ale premier stwierdził, że moja sytuacja prawna nie jest jeszcze wyjaśniona. Tyle że to przecież nie z mojej winy – mówił w Radiu Zet. Kraska po wyjściu z więzienia zaczął działać na rzecz innych skrzywdzonych przez polski wymiar sprawiedliwości, m.in. poprzez stowarzyszenie „W Nas Siła”.

eprasa.pl 43829d5945

Zakaźne z natury

Oprócz leczenia polskie szpitale pełnią funkcję wylęgarni wszystkiego najgorszego.


Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

W Polsce jest niecałe 1150 szpitali, z których jedna piąta ma więcej niż 70 lat. Kilkanaście zaś powstało w czasach zaborów. W związku z czym Ministerstwo Zdrowia to resort, którego zadaniem stała się opieka nad zabytkami.

Zaraźliwy wnuczek

Tymczasem eksperci od zdrowia mówią, że jak jakiś szpital dobiega czterdziestki, to trzeba go wyburzyć. I to z zachowaniem zabezpieczeń takich jak w przypadku wojny biologicznej. A to dlatego, że nie tylko w rurach i tynku, ale nawet w szpitalnych cegłach żyją bakcyle, których współczesna medycyna nie umie zabić. Mutowały w ścianach przez dziesięciolecia i dlatego gruz z takiej placówki medycznej należy wywieźć i albo zalać czymś, co zabije każdy rodzaj życia, albo pochować w sarkofagu takim jak ten w Czarnobylu.

Co setna osoba umierająca w szpitalu opuszcza ten padół, bo złapała zakażenie wewnątrzszpitalne, którego nie dało się wyleczyć. Od 5 do 10 proc. pacjentów w szpitalu zaczyna chorować na coś, na co wcześniej nie chorowało. Polskie szacunki mówią, że nawet 800 tys. osób rocznie łapie jakąś szpitalną chorobę.

Największym zagrożeniem dla chorych – ale tylko zdaniem najstarszych lekarzy i pielęgniarek, pamiętających komunę – są stada odwiedzających. Nawała trwa przez niemal całą dobę.

Wokół łóżek chorych pojawia się rodzina do trzeciego stopnia pokrewieństwa, znajomi z pracy, kochankowie i kochanki, nawet przyjaciele. Kaszlą, kichają, roznoszą gronkowce oraz rotawirusy zarówno na dłoniach, jak i butach czy ubraniu. I zarażają.

Dla młodych wiekiem medyków taki stan to norma, bo innego nie pamiętają. I ani myślą z tym walczyć. Pielęgniarki i salowe tym bardziej. Jeszcze 40 lat temu nikt postronny nie miał prawa wejść na oddział, chyba że był to dzień odwiedzin. W związku z tym, jak choremu coś trzeba było podać, posprzątać czy wyprowadzić do toalety, to pielęgniarka musiała się ruszyć i to zrobić. A teraz nie musi, bo od tego jest rodzina chorego.

Od odwiedzających nikt z personelu nie wymaga już niczego. Kiedyś próbowano wszystkim wciskać foliowe okrycia na buty. Hulało to przez parę lat, aż okazało się, że nikt nie jest głupi i odwiedzając matkę czy babcię dwa razy dziennie, nie będzie wyskakiwał z kasy na nowe ochraniacze. No to nosił stare i zakładał je przed wejściem. A potem z dłońmi, na których było wszystko to, co na podłodze szpitalnej, pakował się na salę chorych. Jak w paru szpitalach wybuchły zarazy, to ministerstwo zakazało stosowania kondonów na buty.

Ale nikt nie wpadł na to, żeby przed wejściem na salę ciocia, brat, czy szwagier chorego pofatygowali się umyć łapy.

Każdy nawiedzający chorego zazwyczaj ma przy sobie torbę, którą najpierw stawia na podłodze, a potem, gdy wygrzebuje z niej to, co przyniósł, na pościeli chorego. Ale nie tylko to. Z podłogą szpitalną, zdaniem badaczy, ma styk mnóstwo przedmiotów. Od ubrań i ładowarek przez szpitalne ciśnieniomierze, baseny, kołdry i poduszki po ręczniki. Pobrano zatem wacikiem próbki z dłoni osób, które czegoś z podłogi dotykały, i wyszło, że jedna piąta miała na nich lekoopornego gronkowca, a co 20. enterokoki, których nie chcą zabijać nawet najmocniejsze antybiotyki. Oczywiście po przebadaniu podłóg wyniki okazały się jeszcze ciekawsze. Nawet w co drugiej izolatce grasował oporny gronkowiec złocisty, nie wspominając o kilku innych nader niemiłych bakcylach.

W jednym z warszawskich szpitali pielęgniarki chciały, żeby szpitalną podłogę panie sprzątające myły jednorazowymi mopami. Wysłały zatem do badań na posiew mopa, który wrócił właśnie z pralni. Jak dyrektor szpitala zobaczył, co w nim żyło, to podpisał zgodę na jednorazówki w trymiga.

Niestety nawet w tym szpitalu nikt nie badał mikrobiologicznie pościeli przychodzącej z pralni.

Siostro, bakterię proszę!

Kolejnym elementem rozsiewającym zarazki w większości szpitali są oczywiście pielęgniarki. Bo jak któraś ma pod opieką 20 albo więcej chorych, których musi dotknąć, to przecież trudno oczekiwać, żeby za każdym takim kontaktem biegła do umywalki i dezynfekowała łapy czy zmieniała jednorazowe rękawiczki albo fartuch. Obowiązujące przepisy higieniczne są bowiem do zrealizowania przez szpitalne byty idealne, takie, gdzie pielęgniarka zajmuje się góra pięcioma pacjentami.

Co rozsiewa pacjent, też nie wiadomo. Może równie dobrze mieć HIV, jak i żółtaczkę, prątkującą gruźlicę czy innego zaraźliwego mutanta. Szpitale bardziej niż rzadko badają chorych pod tym kątem. Chyba że zaraza szybko rozsieje się przynajmniej na innych chorych z sali. I dzięki temu polskie szpitale mogą się poszczycić liczbą badań mikrobiologicznych równą połowie tego, co się robi w Unii Europejskiej.

I corocznym wzrostem zakażeń sepsą też. Dzięki niej do nieba co roku wędruje kilkadziesiąt tysięcy z nas.

Największą szansę na zainfekowanie pacjent ma się jednak tuż przed zakwalifikowaniem do położenia w szpitalu. Przecież wcześniej musi przez przynajmniej pięć godzin pobyć w towarzystwie dziesiątek osób na Szpitalnym Oddziale Ratunkowym. Tych kilka godzin jest normą, bo takie procedury ktoś wymyślił i szpitale je chętnie realizują. Więc zdrowi i chorzy, pacjenci i osoby im towarzyszące, policjanci i poranieni sprawcy czy ofiary, a nawet sanitariusze z pogotowia mają czas powymieniać się wzajemnie florą bakteryjną czy wirusową. No i potem przemycić ją na oddział w szpitalu.

Konieczność opiekowania się wieloma chorymi przez jedną pielęgniarkę wynika po pierwsze z tego, że tej profesji jest deficyt. A po drugie dlatego, że jak już ma się ją na etacie, to wypadałoby, żeby miała co robić. A mając 20 pacjentów pod opieką siostry na oddziałach i tam mają czas na przeglądanie internetu.

W 2018 r. NIK pokusiła się o zbadanie zawartości mikrobiologicznej szpitalnych kominów wentylacyjnych. I wyszły jej wszystkie formy życia, z którymi walczy medycyna. Ale na tym nie koniec. Bo to, że izba przyczepiła się do niemyjącego rąk personelu medycznego, nie zaskakuje. W przeciwieństwie do znalezienia w ciepłej wodzie ze szpitalnych kranów zatrzęsienia bakterii.

Głodowa kroplówka

Co trzeci pacjent może przypłacić pobyt w szpitalu śmiercią nie z powodu swojej choroby czy zakażenia, ale z głodu. Gdyby kogoś zastanowiło, dlaczego tylko co trzeci, a nie wszyscy, skoro każdy dostaje to samo, to odpowiedzią są odwiedzający. Te niezagrożone dwie trzecie są przez nich dokarmiane. Co i tak niewiele daje, bo z badań wynika, że 30 proc. opuszczających szpitale wykazuje stan niedożywienia. U 11 proc. chorych niedożywienie szpitalne rozwija się już w trakcie pobytu w placówce. Ten stan nie zmienia się od wielu, wielu lat. I to mimo przepisów dotyczących norm żywieniowych w szpitalach.

Może dlatego, że lekarze i pielęgniarki uznają, że pacjent podpięty do kroplówki to pacjent żywiony. Przez tydzień albo dłużej do żył chorego wlewa się zatem wodę z solą fizjologiczną i glukozę. Gdyż – widać – na studiach pielęgniarskich nie uczą, że żeby żyć, człowiek musi na dobę dostarczyć organizmowi 60 g białka, 65 g tłuszczu i 2000 kcal. A w kroplówce białka i tłuszczu nie ma.

Skala zjawiska spowodowała, że za posiłki chorych wzięło się państwo. NFZ wprowadził program, według którego szpitale dostają osobną kasę za żywienie pod warunkiem spełniania norm i bieżącego raportowania łącznie z wysyłaniem menu i zdjęć do NFZ. A na dodatek Ministerstwo Zdrowia właśnie przedstawiło projekty rozporządzenia w sprawie standardu żywienia szpitalnego. Ale ponieważ, jak napisano, „po kontrolach poznacie ich", na pytanie, co z tego wyszło, odpowie pewnie za kilka lat NIK. Bo pacjenci rewolucji jakoś nie dostrzegli.

ADRIAN SIECZKOWSKI

Upiorny sen Donalda

O „rynku", który nie wyleczy


Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

Bajki dla myślących

Rządowy sen o wciśnięciu ochrony zdrowia w ramy wolnego rynku jest jak horrendalna próba wepchnięcia bijącego serca w tabelkę Excela – każdy widzi, że to brutalna głupota. To trochę jak w Ameryce: rząd chce mierzyć twoje zdrowie prymitywnie skrojonym wykresem opłacalności, choroby stają się czymś na kształt popytu na towar, jakim jest leczenie, a ludzkie życie – czyjąś rynkową okazją. Brzmi upiornie? Bo jest upiorne. A jednak właśnie w takim kierunku pchany jest system, który już dziś tonie w deficycie około 30 mld zł. rocznie – podczas gdy rząd wierzący nadal w „koniec historii" udaje, że problem rozwiążą „racjonalizacje wydatków". Czyli – po ludzku – cięcia, limity, odchudzanie i tak już wychudzonego NFZ.

Przyjrzyjmy się więc z bliska temu PO–PiS-owemu rynkowi Kaczora Donalda, który miałby nas zbawić.

Po pierwsze – zdrowie nie jest towarem. To jak miłość – kiedy wystawia się ją na sprzedaż, niektórzy mają z niej radochę, inni dochód, ale wszyscy tracą godność, a cierpi na tym sens i jakość. Nie traktujemy przecież wojska albo edukacji jak biznesu, dlaczego więc ktoś w ogóle śmie mówić, że zdrowie ma działać jak hotel albo warsztat samochodowy?

Po drugie – ochrona zdrowia nie jest grą rynkową, lecz zobowiązaniem publicznym. Konstytucyjnym. System, który ma zapewnić zdolność społeczeństwa do życia, pracy, obrony, nie może działać zgodnie z logiką „ile zarobię?". Państwo nie może udawać, że nie jest stroną w tej umowie. Obywatele nie są klientami – lecz współodpowiedzialnymi za siebie nawzajem. Kto tego nie rozumie, ten nie rozumie istoty wspólnego państwa.

Po trzecie – pacjent nie jest klientem, a lekarz nie jest sprzedawcą. Choroba nie pyta o preferencje zakupowe, przychodzi jak wyrok. Pacjent działa w przymusie, w ciemności informacyjnej, w zaufaniu, które jest kruchym dobrem społecznym. A przecież to lekarz, a nie pacjent, decyduje o badaniach, zabiegach, terapiach – to nie tak, jakbyś poszedł do sklepu i sam wybierał towar. Lekarz, inaczej niż sprzedawca czy producent, nie może udzielić ci gwarancji na swoją usługę – nie gwarantuje skuteczności. Czy w jakiejkolwiek innej branży ktoś kupuje towar, którego nie rozumie, nie może ocenić i który może zadziałać albo nie? Rynek w takich warunkach po prostu nie działa.

Po czwarte – logika zysku w ochronie zdrowia to przepis na nadużycia. Jeśli płacimy od procedury, dostaniemy więcej procedur – to silnik napędzający kasę branży. Jeśli np. sponsorzy leków oferują wyjazdy do ciepłych krajów dla lekarzy, lekarze zapiszą nam droższe leki zamiast tańszych. Jeśli liczy się marża, profilaktyka przegrywa, bo nie przynosi zysku natychmiast. To nie są złośliwe fantazje publicystów – to mechanika kapitalizmu. System zachęt, który nawet najlepszych ludzi wpycha w złe decyzje.

Po piąte – w medycynie nie działa rynek podaży i popytu. Brakuje specjalistów, bo nie da się ich wyszkolić w dwa lata. Nie da się, ot tak, zbudować nowego szpitala. Gdy popyt rośnie i liczba chorych rośnie, podaż medyczna stoi. A przecież pacjent nie może zmienić „dostawcy", o ile nie jest w stanie zapłacić prywatnie. Istnieje tylko jeden NFZ. I dlatego ceny, dostępność, kolejki – nie podlegają zwykłej rynkowej dynamice. Kto twierdzi inaczej, nie rozumie ani medycyny, ani ekonomii.

Po szóste – strategia neoliberalnej prywatyzacji rodzi się z głodzenia publicznego systemu. Najpierw tworzy się niedobór, potem mówi, że system nie działa, a potem – z triumfalnym uśmiechem – wpuszcza prywatnych graczy jako „ratunek". Tak wygląda scenariusz znany z wielu krajów. Tak wygląda i u nas.

Przywracanie limitów na operacje kolana czy zaćmy rezonanse, tomografie? To właśnie jest ten etap: najpierw dławić, potem narzekać, potem sprzedawać i ciułać kasę.

Po siódme – słabe zdrowie publiczne to słabe państwo i ekonomiczny absurd. Schorowane społeczeństwo i brak dostatecznej profilaktyki (wczesne wykrywanie chorób, pomoc psychologiczna, leczenie uzależnień itd.) to niższa produktywność, większe koszty społeczne, a także mniejsza, panie Tusk, zdolność obronna. Armia potrzebuje zdrowych ludzi, gospodarka potrzebuje zdrowych ludzi, wspólnota potrzebuje zdrowych ludzi. System ochrony zdrowia nie jest więc kosztem. Jest infrastrukturą strategiczną.

Po ósme – zdrowie jest dobrem wspólnotowym. Epidemiologia uczy nas, że choroba jednego jest problemem wszystkich. Ludzie żyją razem – jak w wierszu Tuwima (pamiętacie?): „Murarz domy buduje, krawiec szyje ubrania, ale gdzieżby co uszył, gdyby nie miał mieszkania"? A więc logika Tuskowego snu: „ja dbam o siebie, ty dbaj o siebie i będzie jak w niebie" jest zwyczajnie o kant dupy potłuc. W zdrowiu to nie działa. Nigdy.

To była proza, teraz czas na bajkę:

Wyobraź sobie Polskę, w której rząd nie boi się słów: „zwiększamy finansowanie, bo tak trzeba" – a skądinąd (z teorii MMT) wiemy, że można. Państwo, w którym składka zdrowotna jest progresywna, jak w Danii czy Belgii, a NFZ nie musi zaczynać każdego roku od błagania o kroplówkę z budżetu. W której zamiast limitów mamy zdrowy rozsądek – wcześniejsza diagnostyka opłaca się bardziej niż późne leczenie. W której profilaktyka nie jest kosztem, ale dumą, jak w Finlandii. W której państwo rozumie, że zdrowie to wspólny wysiłek, a nie indywidualny rachunek.

Wyobraź sobie szpitale, które nie patrzą na pacjenta jak na koszt lub zysk jednostkowy, lecz jak na człowieka, którego zdrowie buduje siłę całej wspólnoty – jak choćby w siermiężnym PRL-u. Lekarzy, którzy pracują w systemie ocenianym nie liczbą odgórnie wycenianych procedur, lecz jakością leczenia – jak w Holandii. Przygotowaną kadrę, sensowne wynagrodzenia, stabilność, zaufanie.

To nie jest utopia. To jest Europa. To jest normalność, którą można osiągnąć, jeśli przestaniemy udawać, że zdrowie musi się „zbilansować", jakby było excelową tabelą. Bo zdrowie nie jest tabelą. Zdrowie jest życiem.

A pointa tej bajki...? Przestańmy wierzyć w rynek, a zaczynamy wierzyć w siebie nawzajem.

ANNA GRODZKA

eprasa.pl 43829d5945

Czemu służy polowanie na matki?

ZUS W CIĄŻY CIĘ OBCIĄŻY

W minionym tygodniu – jak doniosły media, same nie do końca wiedząc, co donoszą – odbyło się spotkanie. Gdzie? Nie wiadomo. Kiedy dokładnie? Również nie. Wiadomo jedynie, że spotkały się dwie postacie. Jedna z imieniem i nazwiskiem: zastępca rzecznika praw obywatelskich, Stanisław Trociuk. Druga – bezimienna, określona lakonicznie jako „wysoki urzędnik ZUS".

Dla porządku narracyjnego – i żeby nie mnożyć bytów – nazwijmy go po prostu Przydupasem. Nie personalnie. Funkcyjnie. Przydupasem prezesa ZUS Zbigniewa Derdziuka.

Spotkanie w cieniu tajemnicy

Miejsce rozmowy pozostaje nieznane. A szkoda, bo zdradziłoby, kto był petentem, a kto gospodarzem. Tak czy inaczej, pan Stanisław i pan Przydupas usiedli naprzeciwko siebie i rozmawiali na temat obu stronom doskonale znany, ale każdej nieco inaczej.

Gadali o matkach Polkach. O tym, że kobiety są systemowo i bezwzględnie poniżane przez funkcjonariuszy ZUS (czytaj: obejmowane czynnościami sprawdzającymi w ramach weryfikacji tytułu do ubezpieczeń społecznych). Dręczone kontrolami (czytaj: objęte wieloetapowym postępowaniem wyjaśniającym w przedmiocie prawidłowości zgłoszenia do ubezpieczenia oraz podstawy wymiaru składek). Oraz pozbawiane środków do życia (czytaj: objęte czasowym wstrzymaniem wypłaty świadczeń pieniężnych do momentu prawomocnego zakończenia postępowania) – i to dokładnie w momencie, w którym państwo powinno zapewnić młodym matkom maksymalną ochronę.

Pokuśmy się o historyczną, acz hipotetyczną rekonstrukcję tego dialogu między panami:

Przydupas: Proszę pana, ja naprawdę nie rozumiem tej histerii.

Trociuk: Czego pan nie rozumie? Kobiety rodzą dzieci i nie dostają pieniędzy na życie.

Przydupas: To uproszczenie. One nie „nie dostają". One są w trakcie procedury. Procedura to proces. Proces wymaga czasu. Czas uspokaja emocje.

Trociuk: One nie mają za co kupić jedzenia.

Przydupas: To zależy, jak zdefiniujemy jedzenie. Poza tym my nikogo nie głodzimy. My tylko wstrzymujemy racje do momentu wyjaśnienia, czy racje się należą.

Trociuk: Są wyroki sądów.

Przydupas: Oczywiście, że są. My je znamy. Leżą w segregatorze. W segregatorze jest porządek. A porządek jest fundamentem systemu.

Trociuk: Są kobiety w połogu.

Przydupas: Nie używałbym takich emocjonalnych słów. My mówimy: „osoby objęte ryzykiem ubezpieczeniowym". To brzmi znacznie spokojniej.

Trociuk: One płaciły składki.

Przydupas: Wszyscy coś płacą. To nie znaczy, że od razu trzeba coś dostawać. Proszę pamiętać, że system musi być ostrożny. Nadmierna empatia prowadzi do chaosu.

Trociuk: Dzieci zostają bez środków do życia.

Przydupas: Dzieci? Proszę pana, my nie prowadzimy ewidencji dzieci. My prowadzimy ewidencję wniosków. A wnioski, jak pan wie, bywają nieprecyzyjne.

Trociuk: To trwa od lat.

Przydupas: Trwa, bo działa. Gdyby nie działało, dawno byśmy to zmienili.

Trociuk: A jeżeli kobieta ma rację?

Przydupas: Wtedy po kilku latach dostanie pieniądze. Z odsetkami. System jest sprawiedliwy w długim okresie.

Trociuk: W długim okresie dziecko już nie jest niemowlęciem.

Przydupas: No widzi pan. System wychowuje do samodzielności.

Trociuk: Pan mówi o dramacie ludzkim.

Przydupas: Ja mówię o procedurze. Każdy z nas ma swoją wrażliwość zawodową.

Trociuk: Czy pan naprawdę uważa, że to jest w porządku?

Przydupas: Ja nie jestem od uważania. Ja jestem od stosowania. A stosujemy konsekwentnie. To bardzo ważne słowo: konsekwencja.

Zapewne obie strony odnotowały później w notatkach służbowych: „spotkanie uznano za konstruktywne".

Ubezpieczeniowa fikcja

Ale o co chodzi? A chodzi o sprawę w gruncie rzeczy banalnie istotną. System przeszedł otóż metamorfozę: z systemu ubezpieczeń w system antyubezpieczeń społecznych. Zamiast wspierać – represjonuje.

Schemat jest okrutny. Młode kobiety w wieku prokreacyjnym awansują, znajdują lepszą pracę albo – co szczególnie podejrzane – zakładają działalność gospodarczą. Zaczynają płacić wyższe składki na ZUS. I tu cud: ZUS przyjmuje te pieniądze bez zająknięcia. Wszystko jest w porządku. System działa.

Problem zaczyna się wtedy, gdy kobieta – zupełnie niespodziewanie – zachodzi w ciążę. A następnie rodzi.



Rys. TOMASZ WOŁOSZYN

W tym momencie jakiś przydupas w ZUS doznaje olśnienia. Nagle wszystko staje się podejrzane. Awans? Zbyt nagły. Pensja? Zawyżona. Działalność gospodarcza? Za ambitna. Składki? Owszem, legalne – ale bezczelnie wysokie.

ZUS odkrywa wówczas, że kobieta zatrudniła się „tylko po to, żeby dostać zasiłek". Że zadeklarowana składka w jednoosobowej działalności była „nieadekwatna do przychodów". Że motywacja była niewłaściwa.

Matka – bezbronna wobec systemu, świeżo po porodzie, z nową, jeszcze bardziej bezbronną istotą na rękach – dowiaduje się, że przelewu nie będzie. Zamiast pieniędzy dostaje pismo. Zamiast wsparcia – pouczenie o dopuszczalnej drodze sądowej. Zamiast ochrony państwa – informację, że „świadczenie się nie należy". Mamy dramat!

Sprawiedliwość po stronie Matki Polki

I co dzieje się dalej? Jeżeli kobieta decyduje się na obronę swoich praw, sprawa trafia na drogę sądową. W tym zakresie istnieje ugruntowana linia orzecznicza, zgodnie z którą „sama motywacja uzyskania świadczeń z ubezpieczenia społecznego nie stanowi obejścia prawa ani nadużycia systemu".

Sądy konsekwentnie wskazują, że „tak jak naturalne i społecznie akceptowalne jest zawieranie umowy o pracę w celu uzyskania środków do życia, tak samo naturalne jest podejmowanie lub kontynuowanie zatrudnienia w okresie ciąży z zamiarem zapewnienia sobie bezpieczeństwa finansowego na czas macierzyństwa. Okoliczność, iż zawarcie umowy lub zmiana sytuacji zawodowej zwiększa prawdopodobieństwo uzyskania świadczeń z ubezpieczenia społecznego, nie czyni takiego działania ani bezprawnym, ani pozornym".

Orzecznictwo podkreśla ponadto, że „nie jest moralnie ani prawnie naganne, aby kobieta spodziewająca się okresu zwiększonej zależności społecznej i finansowej podejmowała racjonalne działania zmierzające do zabezpieczenia swoich interesów poprzez zapewnienie świadczeń na możliwie najwyższym, zgodnym z prawem poziomie. Takie zachowanie należy kwalifikować jako racjonalne i zgodne z funkcją systemu ubezpieczeń społecznych, a nie jako działanie sprzeczne z prawem lub zasadami współżycia społecznego".

ZUS jak beton – nie do ruszenia

I ta linia orzecznicza obowiązuje od 17 lat. 17! I co? I nic. Kompletnie nic. Były interwencje rzecznika praw obywatelskich. Były pisma, apele, spotkania, „zaniepokojenia" i „wyrażenia troski". Było wzywanie przydupasów przed komisje sejmowe, gdzie z powagą tłumaczyli, że „sprawa jest złożona", „procedury wymagają czasu" i „nie można generalizować". Było wzywanie tych samych przydupasów przed dyrektorów ministerstw, gdzie z kolei zapewniali, że „wyciągnięto wnioski" i „trwają prace analityczne".

Były zalecenia Najwyższej Izby Kontroli. Była krytyka prasowa: wywiady, dramatyczne historie matek z dziećmi na rękach i kontami w stanie zero. Było wszystko, czego można oczekiwać w państwie, które udaje, że reaguje. Efekt? Żaden.

17 lat dowodów, wyroków i apeli nie zrobiło na ZUS-ie wrażenia większego niż literówka w formularzu.

Margines czy problem społeczny?

Czy mamy do czynienia z problemem społecznym, czy tylko z marginesem? Oczywiście – z marginesem. Jedna kobieta zdychająca z głodu w połogu to przecież żaden problem. Liczy się wyłącznie prawda statystyczna. ZUS, rzecz jasna, nie chwali się tym, ile zasiłków odebrał matkom. Co najwyżej można o tym wnioskować pośrednio – z wyroków sądowych, a że relacja liczby spraw wszczętych do liczby incydentów bywa w takich systemach zaskakująco stała, da się jednak coś oszacować. I wychodzi nam 5–6 tys. przypadków rocznie. Niewiele. Prawie nic. Statystyczny szmer. Przy 200–300 tys. kobiet w ciąży rocznie. Ale biorąc pod uwagę przewlekłość tej opresji, zaczyna się robić niezręcznie. Bo nagle okazuje się, że mówimy o 80–100 tys. represjonowanych. Margines wielkości średniego miasta.

Koszty bezduszności

I tu pojawia się pytanie zasadnicze: dlaczego to w ogóle się dzieje, bo mówiąc poważnie, to się ZUS-owi zwyczajnie nie opłaca: ani finansowo, ani systemowo, ani wizerunkowo. Skala 5–6 tys. przypadków rocznie: nie ratuje budżetu, nie stabilizuje systemu, nie ma znaczenia makroekonomicznego.

Z drugiej strony: 5–6 tys. odmów zasiłku rocznie. ZUS: ok. 42 tys. pracowników. Jednej sprawy dotyka realistycznie: 7–9 osób . Każda „wątpliwa" matka uruchamia wieloosobowy aparat śledczy od inspektora przez przełożonych i prawników po reprezentację przed sądem. To 35–54 tys. „zaangażowań osobowych". Ktoś powinien policzyć i spytać: czy taka odmowa ma w ogóle sens ekonomiczny? Zatem skoro nie chodzi o pieniądze, więc chodzi o coś innego.

Krew i kości za biurkiem

Prawo prawem – ale każda decyzja odmowna ma podpis. Ktoś inicjuje, ktoś prowadzi, ktoś zatwierdza. To ciąg świadomych czynności podejmowanych przez konkretnych ludzi. „System" bywa wygodnym eufemizmem i wytłumaczeniem. W rzeczywistości jednak w ZUS nie pracuje „system", lecz ludzie z krwi i kości.

Ludzie, którzy codziennie decydują, czy kobieta w połogu dostanie pieniądze na życie, czy decyzję z odmową. Ludzie, którzy wiedzą – bo wiedzieć muszą – że po drugiej stronie nie ma „wniosku", lecz matka i dziecko. I mimo tej wiedzy procedują dalej. To jest powtarzalne, konsekwentne i utrwalone. A skoro tak, to musi mieć swoje źródła. Skąd ta bezduszność, bezwzględność i arogancja? Skąd to poczucie całkowitej bezkarności?

Męskie świnie w ZUS?

I w tym miejscu pojawia się argument, że za tym mechanizmem stoją po prostu męskie, szowinistyczne świnie – by zacytować dosadną argumentację jednej z organizacji prokobiecej. Argument brutalny, ale na mocnej podstawie prawnej.

W wyroku Europejskiego Trybunału Praw Człowieka z 4 lutego 2021 r. w sprawie Jurčić przeciwko Chorwacji jednoznacznie wskazano, że decyzje pozbawiające kobietę świadczeń wyłącznie z powodu ciąży stanowią nierówne traktowanie ze względu na płeć. Trybunał stwierdził:

„Decyzja odmawiająca prawa do świadczeń z zakresu zabezpieczenia społecznego i uznająca zatrudnienie za fikcyjne ze względu na stan ciąży mogła zapaść jedynie w stosunku do kobiet. Bezsprzecznie więc stanowi przypadek odmiennego traktowania ze względu na płeć (art. 14 Konwencji o ochronie praw człowieka i podstawowych wolności)"…

Innymi słowy: mężczyzna nigdy nie znalazłby się w analogicznej sytuacji wyłącznie z powodu swojego stanu biologicznego. Nie może zajść w ciążę, nie może urodzić dziecka, nie może więc zostać uznany za „podejrzanego" tylko dlatego, że jego ciało zrealizowało jedną ze swoich biologicznych funkcji. Takie podejście wobec kobiet jest zatem z definicji dyskryminujące.

Kobiety przeciwko matkom

A teraz pojawia się problem, który wielu osobom może się nie spodobać, bo burzy wygodną narrację. Otóż 75–85 proc. zatrudnionych w ZUS to kobiety. Kierownictwa inspektoratów – około 209 jednostek – są niemal całkowicie sfeminizowane, a także w oddziałach kobiety stanowią wyraźną większość kadry. Fakty są uparte. Nie dają się zagadać.

Jeżeli więc ktoś chce tłumaczyć praktyki ZUS „męskim szowinizmem", to musi się na chwilę zatrzymać. Bo to nie pasuje do danych. Tu nie mamy do czynienia z grupą mężczyzn pastwiących się nad kobietami. Mamy do czynienia z czymś znacznie bardziej niepokojącym.

To nie jest szowinizm. To jest przemoc instytucjonalna wykonywana przez kobiety wobec kobiet – w ramach hierarchii, procedur i kultury organizacyjnej, która skutecznie wyprała z kobiet elementarną empatię. Dlatego, że są urzędniczkami w systemie, który nagradza bezwzględność, a współczucie musiało zaniknąć. Dlaczego?

Instytucjonalna schizofrenia

Ponieważ nie ma publicznej odpowiedzi na fundamentalne pytanie: czyje interesy ZUS właściwie reprezentuje? Płatników składek? Świadczeniobiorców? Skarbu Państwa łatającego budżet? Aktualnie rządzącej większości politycznej? Ministerstwa pracy? Demokratycznie wybranego parlamentu? A może młodych matek i nowo narodzonych dzieci, których bezpieczeństwo miało być jednym z sensów istnienia systemu ubezpieczeń społecznych?

A może interes własny: stabilność aparatu, statystyki, wyniki finansowe. To jest kwestia ustrojowa. I w tym państwie istnieje tylko jedna osoba, która zna na nią pełną odpowiedź – prezes ZUS Zbigniew Derdziuk.

ROBERT JARUGA

eprasa.pl 43829d5945

Raport o zdrowiu psychicznym

Młody Polak łapie doła

jesień życia niekoniecznie bywa smutna, a kojarzenie młodości z beztroską, brakiem zmartwień i optymizmem jest nieraz złudne: „Wiele wskazuje na to, że to właśnie młodzi dorośli patrzą dziś w przyszłość z największym lękiem i dezorientacją”.

„Wszyscy jedziemy na tym samym wózku, od strachu uratuje nas tylko defekt mózgu” – ta stara punkowa piosenka dolnośląskiego zespołu Defekt Muzgó przypomniała mi się, gdy wgryzłam się w najnowszy raport, stworzony na podstawie Narodowego Testu Zdrowia Psychicznego (NTZP).

Badanie przeprowadzono na reprezentatywnej grupie internautów, a test na stronie Medonet.pl wypełniło prawie 30 tys. ludzi. W skrócie: może nie jest tragicznie, ale z pewnością dobrze też nie jest, zwłaszcza z młodymi dorosłymi. A przypadku osób niebinarnych stan zdrowia psychicznego nie sposób określić inaczej niż alarmujący.

Wątpliwy dobrostan psychiczny

Autorzy badania wprowadzili syntetyczny Indeks Dobrostanu Psychicznego (w skali od 0 do 100 proc.), który pokazuje, jaka jest nasza kondycja psychiczna, samopoczucie i sposoby radzenia sobie ze stresem, ale także jak nasze działania wpisują się w zalecenia ekspertów. Ogółem indeks wyniósł 48,3 proc., przy czym był najwyższy u mężczyzn, niższy u kobiet, a najniższy u osób, które zaznaczyły inną płeć – aż co piąta z nich ocenia swój dobrostan na nie więcej niż 25 proc.

Okazuje się, że ludzie młodzi czują się chujowo – jedynie 3 proc. osób w wieku 18–24 lat i 4 proc. w wieku 25–34 lat znalazło się w górnej ćwiartce wyników. Dla porównania wśród osób 65 plus aż 16 proc. ankietowanych czuje się stosunkowo dobrze (75–100 proc.). Najniższy poziom indeksu (0–25 proc.) odnotowano u 5 proc. osób 65 plus. Warto się kształcić – im wyższe mamy wykształcenie, tym statystycznie lepiej się czujemy.

Jak komentuje w raporcie psycholożka Karolina Świdrak, „prawie jedna piąta wszystkich respondentów zauważa pogorszenie swojego zdrowia psychicznego w ostatnich latach – co może być efektem presji społecznej, ekonomicznej czy technologicznej, szczególnie dotykającej młodsze pokolenia”.

Dodajmy, że przyszłość rysuje się w jeszcze ciemniejszych barwach, polska młodzież bowiem jest bardzo zalękniona. Wynika to z wielu oczywistych i niezmiennych czynników, takich jak przejęcie odpowiedzialności za siebie i innych, poczucie osamotnienia, dążenie do samodzielności czy bunt przeciw zewnętrznej kontroli. W ostatnich latach doszły lęki związane ze zdrowiem (pandemia) czy wojną na Ukrainie. Warto też pamiętać o wiszącymi nad małolatami niczym miecz Damoklesa zmianami klimatycznymi i strachu o pracę w epoce sztucznej inteligencji czy robotyzacji.

Bartosz Zalewski i Anna Dziubińska-Starska w tekście naukowym „Problemy emocjonalne młodych dorosłych – perspektywa psychoterapeutów” zwracają uwagę, że młodzi najbardziej martwią się budowaniem trwałych relacji: miłosnych, z rodziną i z przyjaciółmi. Na dalszym planie znajdują się bezpieczeństwo finansowe i satysfakcjonująca praca. Ich rodzice, dziadkowie, a także część rówieśników (że o mediach nie wspomnę) wywierają presję, aby nie czuli oni pewnych uczuć, np. złości, smutku czy zagubienia. A to uczucia trudne, lecz normalne (cokolwiek to znaczy) – jeśli ich odczuwanie jest tłamszone, pojawia się skłonność, aby regulować je inaczej: choćby alkoholem, narkotykami czy niebezpiecznymi zachowaniami.

Rządzących powinno zaalarmować, że aż 45 proc. osób w wieku 18–24 lat uważa swój stan zdrowia psychicznego za zły lub bardzo zły. Według psycholożki Świdrak „prawie jedna piąta wszystkich respondentów zauważa pogorszenie swojego zdrowia psychicznego w ostatnich latach – co może być efektem presji społecznej, ekonomicznej czy technologicznej, szczególnie dotykającej młodsze pokolenia”.



Zaburzeni i lękowi

NTZP badał również zaburzenia psychiczne i emocjonalne. A jest ich od groma: depresja, choroba afektywna dwubiegunowa, zaburzenia lękowe, zaburzenia osobowości, zaburzenia odżywiania, zaburzenia stresowe pourazowe, zaburzenia obsesyjno-kompulsywne, uzależnienia behawioralne i od substancji, zaburzenia adaptacyjne, zaburzenia rozwojowe i neurorozwojowe (ADHD, spektrum autyzmu), zaburzenia snu o podłożu psychicznym, schizofrenia i inne zaburzenia psychotyczne i zaburzenia neurokognitywne (otępienie)…

Pół biedy, gdy ktoś ma jeden problem psychiczny, ale często można mieć cały – platynowy, by się chciało ironicznie powiedzieć – pakiet chorób i zaburzeń, legitymując się naraz: depresją, lękami, uzależnieniem od alkoholu i bezsennością.

Co nie powinno dziwić w społeczeństwie patriarchalnym i heteronormatywnym, długotrwałe problemy psychiczne lub choroby psychiczne trwające nie krócej niż pół roku zgłosił co czwarty mężczyzna, 30 proc. kobiet i większość (57 proc.!) osób o innej płci. Weźmy taką depresję: zdiagnozowano ją u 23 proc. mężczyzn, 32 proc. kobiet i 45 proc. osób o innej płci.

Strach w katolickiej Polsce być kobietą lub osobą niebinarną, skoro u 22 proc. mężczyzn zdiagnozowano zaburzenia lękowe, w przypadku respondentów o innej płci było to 33 proc., wśród kobiet nieco więcej – 34 proc. Fobie dotykają zaś 7 proc. mężczyzn, 12 proc. kobiet i aż 29 proc. o innej płci.

Z ogólnego obrazu wyłamuje się poniekąd alkoholizm. Zdecydowanie częściej (13 proc.) dotyka on mężczyzn niż kobiety (3 proc.), a problem z piciem dotyczy też 11 proc. osób niebinarnych. Najwięcej łoją osoby z wykształceniem podstawowym i zawodowym.

Jak czytamy w raporcie, „częstym problemem jest obniżony nastrój. 40 proc. respondentów doświadcza tego problemu co najmniej kilka razy w miesiącu, a zaledwie 16 proc. deklaruje, że nigdy im on nie doskwiera. Najważniejszy i najbardziej wyraźny trend dotyczy wieku, gdzie obserwujemy znaczące obniżenie częstotliwości wraz z upływem lat. Najwyższy wskaźnik regularnie występującego obniżonego nastroju odnotowano w najmłodszej grupie, czyli 18–24 lata (65 proc.), natomiast najniższy w grupie 65 lat i więcej (19 proc.). Seniorzy stanowią jednocześnie największy odsetek osób, które nigdy nie doświadczają obniżonego nastroju (29 proc.)”.

Tradycyjnie najlepszy nastrój mają mężczyźni, sporo gorszy kobiety, a jednostki niemieszczące się w tym podziale – wręcz tragiczny (prawie 2/3 osób z tej grupy łapie doła co najmniej kilka razy w miesiącu).

Warto rzucić okiem na cały raport, wyłapując np. fakt, że połowa respondentów przyznała, że w ich pracy nie mówi się otwarcie o zdrowiu psychicznym, co według dr Anny Zimny-Zając „wskazuje na konieczność intensyfikacji działań na rzecz zdrowia psychicznego także w środowisku zawodowym”.

Innymi słowy: temat generalnie nie jest dobrze widziany. Można dostać etykietę „wariatki” czy „psychola”. Może i nikt nic nie powie, ale da odczuć. No i jak ktoś jest „jakiś dziwny”, to staje się pierwszy w kolejce do zwolnienia, a przynajmniej gnębienia i obmawiania.

Chcąc powiedzieć coś pozytywnego, podnoszącego na duchu, powiem przewrotnie: co prawda dziś stan zdrowia psychicznego jest gorszy, aniżeli był wczoraj, ale lepszy od tego, jaki będzie jutro.

Politycy widzą nasze bezpieczeństwo w czołgach, rakietach i łodziach podwodnych, skłócają ludzi i szczują ich na siebie nawzajem, więc nikt nie ma głowy, aby poświęcić dostateczną uwagę stanowi zdrowia obywateli, zwłaszcza zaś obywatelek i osób o innej płci. A jak nadejdą rządy PiS i dwóch Konfederacji (Mentzena i Brauna), wszak im się nie polepszy, ale raczej bardziej popieprzy…

ZUZ

Medycyna robi wszystko, żeby teorie spiskowe miały się jak najlepiej

Drogo i szczęśliwie

Normalny poziom trójglicerydów we krwi jeszcze niedawno wynosił 150 mg/dl. Tak się przez lata przyjęło, tak uczono lekarzy, tak diagnozowano pacjentów. Ale norma przestała być normalna. Wystarczyło kilka spotkań ekspertów, parę dokumentów z logotypem europejskiego towarzystwa i bach – 150 to już za dużo. Dziś mówi się, że dopiero poziom poniżej 100 mg/dl to wynik optymalny. Kto ma 110 – ten już nie w normie. Kto ma 130 – temu lekarz patrzy na wynik z miną, że trzeba się przyglądać. Częściej i intensywniej.

Impuls do leczenia

Zmiana ta nie przeszła bez echa. Cichy pomruk niezadowolenia wydali ci, którzy w nowej interpretacji dawnych wartości widzą coś więcej niż troskę o zdrowie pacjenta. Bo czy w świecie, w którym rynek leków lipidowych jest warty miliardy euro, nie opłaca się obniżać progu tego, co uznajemy za zdrowe?

Trójglicerydy to nie nowotwór. Nie bolą, nie wywołują kaszlu ani duszności. Ich podwyższony poziom nie objawia się gorączką czy drżeniem rąk. Są obecne we krwi każdego z nas, stanowią naturalną formę magazynowania energii. Z punktu widzenia biologii – wręcz fundament fizjologicznego przetrwania. Dopiero przy wartościach ekstremalnych mogą spowodować poważne kłopoty, jak ostre zapalenie trzustki, chorobę z pogranicza męczarni i niebezpieczeństwa. Ale takich przypadków, gdzie trójglicerydy przekraczają 500 czy 1000 jednostek, jest stosunkowo niewiele.

Lekarze mówią: „Nowe normy to efekt nowych danych. Widzimy, że nawet nieznaczne przekroczenia poziomu 150 zwiększają ryzyko zawału czy udaru”. Może tak. Ale czy na pewno zwiększają je na tyle, by trzeba było budzić alarm? W każdym przypadku? Statystyka ma to do siebie, że robi wrażenie. Gdy napiszemy, że ryzyko wzrasta o 20 proc., brzmi to poważnie. Ale jeśli bazowe ryzyko wynosiło jeden procent, to te dodatkowe 20 proc. daje zaledwie 1,2. Na papierze – poważna zmiana. W rzeczywistości? Mniej niż wahanie ciśnienia po wypiciu kawy.

To nie jest tekst antylekarski. To nie jest teza, że wszyscy kłamią, by nas leczyć. To próba spojrzenia na system, w którym wszystko musi się opłacać. Kto kupuje leki? Pacjenci. Kto kieruje pacjentów na badania? Lekarze. Kto zarabia na badaniach? Laboratoria. Kto produkuje leki? Koncerny. Kto ustala normy? Towarzystwa naukowe, często sponsorowane przez tych, którzy potem będą produkować tabletki.

Lekarze tłumaczą, że obniżenie normy nie oznacza automatycznego włączenia leczenia. „To ma być impuls do zmiany stylu życia” – słyszymy. Brzmi dobrze. Ale czy naprawdę ktoś wierzy, że pacjent, który przez lata słyszał, że 140 to dobrze, teraz na wieść, że to za dużo, rzuci cukier i zacznie biegać? Czy raczej pójdzie do lekarza po receptę, „bo przecież mam już za wysokie”?

Pojawi się też pytanie, które nie chce zniknąć: czy te wszystkie zmiany są wyłącznie wynikiem troski o pacjenta? Czy może – o system, w którym zdrowie to kapitał liczony nie w latach życia, ale zyskach z jego przedłużania?

Bo skoro przez dekady poziom 150 mg/dl nie budził żadnych kontrowersji, skoro świat jakoś się przy tym poziomie toczył, to dlaczego akurat teraz wszystko musi się zmienić? Dlaczego 110 to nagle niepokój, a 130 to prawie problem?

Nie mówmy, że nie warto było podnosić alarmu. Mówmy raczej, że warto wiedzieć, kto ten alarm uruchamia i w czyim interesie. Bo czasem zdrowie pacjenta rzeczywiście wymaga czujności. Ale czasem czujność lekarza, farmaceuty i urzędu zdrowia jest wprost proporcjonalna do niezdrowej potrzeby generowania pacjentów.

Piłeś? Wypij!

Nie tak dawno uczono, że jeśli ktoś nie czuje pragnienia, to nie musi pić. Organizm sam wie, ile potrzebuje. Woda miała być tym, czym zawsze była – neutralnym, tanim, wszechobecnym źródłem nawilżenia. Ale przyszła nowa wiedza. Taka, która każe wszystko przemyśleć od nowa. Teraz, zdaniem ekspertów, nie pijemy wcale za dużo. Wręcz przeciwnie. Pijemy zdecydowanie za mało.

Za mało dla kobiety, a co dopiero dla mężczyzny. Amerykańskie Towarzystwo Kardiologiczne mówi o 3,7 l dla panów i 2,7 l dla pań. Japońscy naukowcy – o jeszcze większych wartościach. Polskie normy, które kiedyś uchodziły za rozsądne, są już tylko lokalnym folklorem. Zaczęła się globalna licytacja na litry.

I tu zaczyna się historia o tym, kto na tym wszystkim zarabia. Bo skoro zwykła woda z kranu nie wystarcza, trzeba kupować tę z butelki. Albo z elektrolitami. Albo alkaliczną. Albo strukturyzowaną. A jeśli akurat jest lato, to do sklepu wchodzisz w koszulce, a wychodzisz z torbą napojów „specjalistycznych”. Do każdej potrzeby co innego: na zmęczenie, na koncentrację, na aktywność fizyczną. Wszystkie – trzy razy droższe niż zwykła woda.

Do gry wchodzą producenci suplementów, koncerny spożywcze, medyczni influencerzy. Blogerka zdrowotna pokazuje na Instagramie, jak pije napój z elektrolitami w egzotycznej scenerii. Lekarz sportowy rekomenduje wodę z dodatkiem sodu, potasu i witaminy C. Farmaceuta radzi „dobrze się nawadniać”, najlepiej preparatem z apteki. Wszyscy chcą dobrze. Sobie. I swoim wynikom sprzedaży.

Nie chodzi o to, że picie wody jest złe. Chodzi o to, że nawet ono zostało przekształcone w akt konsumpcji premium. Wcześniej wystarczyło odkręcić kran. Dziś lepiej, by miał aplikację mobilną, czujnik pH i influencerkę do reklamy.

Kiedyś człowiek nawadniał się instynktownie. Teraz – zgodnie z rozpiską. Pij z rana. Potem przed obiadem. Po kawie wypłucz organizm dodatkowymi 300 ml. Przed snem – ale nie za dużo, bo będziesz biegać do łazienki. Wszystko zaplanowane, wszystko w tabelkach.

A jeśli się nie stosujesz? To możesz mieć problemy. Od suchości skóry po zawroty głowy. Od zmęczenia po zaparcia. Człowiek od razu myśli – to pewnie odwodnienie. Czas kupić elektrolity. Albo wodę w specjalnej butelce, co ma filtr z gęstością przemysłowego sita.

Z naciskiem na ciśnienie

Pięć dekad temu uczono, że ciśnienie skurczowe ma być takie, jak wiek minus sto. Człowiek miał sześćdziesiątkę na karku? To i ciśnienie 160 nie budziło trwogi. Lekarz kiwał głową, mruczał: „No, wiekowe serce” i odsyłał pacjenta z poczuciem, że nie jest śmiertelnie chory. Ale to było kiedyś.

Europejskie Towarzystwo Kardiologiczne stworzyło nową kategorię: podwyższone ciśnienie. Czyli już nie tylko to, co przekracza 140, ale i to, co ledwo muska 130. Skurczowe 120–139, rozkurczowe 70–89 – i już jesteś na liście obserwacyjnej. „Profil ryzyka”, „pacjent predysponowany”, „warto rozważyć leczenie”.

Wystarczy spojrzeć na statystyki, by zrozumieć, jak szerokie kręgi zatacza ta nowa definicja. W kraju takim jak Polska, gdzie średnie ciśnienie wielu dorosłych oscyluje w granicach 130–135, nagle okazuje się, że większość z nas to pacjenci w fazie przedchorobowej.

Nie trzeba głęboko grzebać, by dostrzec ekonomiczne skutki tej zmiany. Leki na nadciśnienie to jeden z najbardziej stabilnych filarów farmaceutycznego rynku. Miliony tabletek dziennie. Miliardy rocznie. Każdy milimetr słupka rtęci w dół – to słupek zysków w górę. Każdy nowy pacjent z podwyższonym ciśnieniem to klient na dekady. Czasem już do końca.

Do tego cała otoczka techniczna: ciśnieniomierze z bluetooth, aplikacje do monitoringu, platformy analizujące trendy. Twoje ciśnienie już nie jest twoje. Jest cyfrowe, przetwarzane, archiwizowane. A każdy pik – może być sygnałem do konsultacji. „Zgłoś się do specjalisty” – podpowiada aplikacja.

A przecież kiedyś wystarczyło po prostu nie przesadzać z solą. Dziś nawet to staje się niepewne. „Zalecono suplementację potasu”. „Zwraca się uwagę na bezdech senny”. „Nowe terapie SGLT2 u pacjentów z niewydolnością serca”.

Oczywiście lekarze zapewniają, że celem nie jest nabijanie przez nikogo kasy. „Chodzi o prewencję powikłań: udarów, zawałów, niewydolności serca” – słyszymy. Ale skoro leczy się ludzi chwilę temu zdrowych, to trudno się dziwić, że niektórzy zadają pytanie, kto tak naprawdę na tym zyskuje?

TADEUSZ JASIŃSKI

eprasa.pl 43829d5945

Gniew kobiet



Rys. MARCIN CHUDZIK

Panująca nam koalicja nie boi się kobiecego gniewu. Niesłusznie.

W zeszłym roku, w niedzielę 7 kwietnia, kiedy cała Polska znów ruszyła do urn, by wybrać władze samorządowe, w Bartoszycach pewne małżeństwo postanowiło przeprowadzić własne referendum. On – wyborca zaangażowany, pewny swoich racji. Ona – też. Wspólny garnek, wspólny stół, wspólne emocje. A potem już tylko wrzask, garnek na kuchence i gnat, którym można było jeszcze przed chwilą obracać w bulionie.

Kość niezgody

Kiedy policjanci przyjechali na miejsce, mężczyzna krwawił z głowy, a kobieta, wciąż wściekła, siedziała w kuchni. Nie zaprzeczała – „Tak, uderzyłam go". „Niech się nauczy szacunku". Miała w sobie promile, on – również. Po wytrzeźwieniu pani dodała, że „niczego nie żałuje, bo on ją sprowokował".

„Powodem kłótni były wyniki wyborów" – napisali potem policjanci w komunikacie. Kobieta trafiła do aresztu. Mężczyzna – do szpitala, gdzie lekarze musieli założyć mu kilka szwów. Kość, narzędzie całego zamieszania, została zabezpieczona jako dowód. Nie wiadomo, czy była to kość wołowa, czy wieprzowa. Policjanci nie zdradzili gatunku, ale pewne jest, że w protokole figuruje jako narzędzie przestępstwa.

Zaczęło się od rozmowy. On kibicował jednej partii, ona – drugiej. On uważał, że „ci z góry" wszystko popsuli, ona – że wreszcie coś się zmienia. On mówił, że „ich" kandydat nie nadaje się nawet na sołtysa, ona twierdziła, że już dawno powinni go wywieźć na taczce.

W ruch poszły słowa, a wreszcie kuchenne utensylia. Gliniarze przyznawali, że to nie była ich pierwsza wizyta w tym domu. Kobieta była już karana za znęcanie się nad partnerem. Miała wyrok w zawiasach i zakaz zbliżania. Ale – jak to często bywa – oboje wrócili do siebie. Bo przecież „po alkoholu człowiek mówi różne rzeczy", a „tak naprawdę to ona dobra kobieta".

„Kłócili się o wszystko, o politykę, o pieniądze, o to, że on nie gotuje, a ona za dużo gada" – opowiadała mediom sąsiadka z parteru. „Ale żeby aż kością?"

Zaradna

W Glewcu przez lata niewiele się działo. Dlatego, gdy w sierpniowy wieczór przez wieś przejechała policyjna kolumna, a potem zaczęły krążyć plotki, że „radna dźgnęła męża nożem", nikt nie chciał wierzyć. A jednak.

W domu przy bocznej drodze doszło do awantury, której finałem była rana kłuta uda i trzymiesięczny areszt dla kobiety znanej wszystkim z lokalnych uroczystości i spotkań w starostwie.

Gliniarze ustalili, że to nie był incydent. Małżeństwo radnej i jej męża uchodziło za zgodne, choć sąsiedzi od dawna słyszeli, że w domu bywa głośno. Ona – energiczna, temperamentna, zaangażowana w sprawy gminy. On – spokojny, cichy, wycofany. Kiedyś wspólnie prowadzili gospodarstwo, teraz – jak mówili sąsiedzi – „ona rządziła wszystkim".

Tego wieczoru poszło o drobiazg. Kobieta miała pretensje o to, że mąż nie pomógł jej przy porządkach. Zaczęło się od słów, potem wyzwisk. Sąsiedzi, którzy mieszkają w sąsiednim domu, słyszeli podniesione głosy i huk przewracanego krzesła. W pewnym momencie kobieta miała krzyknąć: „Zaraz ci pokażę, kto tu rządzi!". Chwilę później sięgnęła po nóż kuchenny.

Mężczyzna próbował się bronić, ale ostrze trafiło w udo. Rana krwawiła obficie. Krew była na podłodze i na drzwiach kuchni. Facet trafił do szpitala, a lekarze poinformowali, że obrażenia nie zagrażają życiu.

Prokurator wnioskował o trzymiesięczny areszt, uzasadniając to ryzykiem matactwa i obawą, że kobieta może ponownie dopuścić się przemocy. Wszak ustalono, że od co najmniej pięciu lat mężczyzna był wyzywany, szarpany, czasem oblewany wodą i popychany. Kilka razy miał też słyszeć groźby pozbawienia życia. Sąd przychylił się do wniosku.

Kilka dni później mąż radnej wycofał zawiadomienie, tłumacząc, że „to rodzinna sprawa" i że „żona nie chciała źle".

Śledczy nie zamierzali odpuszczać. Prokuratura zdecydowała, że postępowanie będzie prowadzone niezależnie od stanowiska pokrzywdzonego. Bo jak ustalono, kobieta latami miała kontrolować męża, ograniczać jego kontakty z rodziną, a w ostatnich miesiącach również grozić, że „zrobi mu krzywdę, jeśli odejdzie".

Szef lokalnych struktur PiS, z którego listy radna startowała, ogłosił, że partia nie zamierza podejmować żadnych kroków, dopóki sąd nie wyda wyroku. Wicemarszałek województwa dodał, że dopóki kobiecie nie zostanie udowodniona wina, nie ma podstaw do jej zawieszenia.

Radna pełniła wiec swoją funkcję, choć przebywała w areszcie. Mąż mieszkał sam, bez kontaktu z żoną. Jak mówi jeden z jego znajomych, „nie chce już niczego tłumaczyć, nie chce mówić o niej źle, ale też nie chce z nią żyć".

Sprawa małżeńska

Była sobota, 16 sierpnia. Około godz. 21.40 dyżurny policji w Ostrowii Mazowieckiej odebrał telefon – kobiecy głos drżał, był urywany, jakby z głębi gardła. „On nie żyje… on się nie rusza". Kiedy funkcjonariusze weszli do domu, zobaczyli na podłodze 31-letniego mężczyznę z raną w klatce piersiowej. Krwawił obficie, leżał na plecach, a obok siedziała kobieta z nożem w ręku. Waliło gorzałą. Mundurowi rozpoczęli reanimację, ale po kilku minutach przybyły lekarz stwierdził zgon.

Rzecz działa się na oczach dzieci – siedmioletniego chłopca i rocznej dziewczynki. To właśnie syn, przerażony i zapłakany, wybiegł z domu i pobiegł do ciotki mieszkającej kilka domów dalej. Powiedział tylko: „Tata leży, mama krzyczy, wszędzie jest krew".

Badanie pani z nożem wykazało niewiele, ledwie ponad promil. Zabezpieczono dwudziestocentymetrowy nóż kuchenny z niezaschniętą krwią. Na ścianach kuchni i na drzwiach widać było ślady walki.

W tym domu nigdy nie było spokojnie. Policja pojawiała się tam wielokrotnie. Awantury, krzyki, tłuczone szkło. Rodzina miała założoną Niebieską Kartę. Mąż, Adrian, pracował w firmie brukarskiej. Był silny, pogodny – przynajmniej dopóki nie sięgnął po butelkę. Wtedy, jak mówią sąsiedzi, „wchodził w niego diabeł". Potrafił wpaść do domu z wrzaskiem, raz nawet z odpaloną piłą motorową. Wtedy to 30-letnia Sylwia, jego żona, dzwoniła po policję. Po interwencji na chwilę był spokój, a potem znowu zaczynało się to samo.

Tamtego wieczoru małżeństwo miało gości. Pili wódkę, później goście poszli. Nikt nie wie dokładnie, o co zaczęła się kłótnia – może o drobiazg, może o zdrady, może o pieniądze. Wiadomo zaś, że mąż pchnął żonę, a ta chwyciła za nóż. Cios był mocny, precyzyjny. Ostrze przebiło serce.

Po wszystkim Sylwia zadzwoniła na policję. Gdy przyjechali funkcjonariusze, siedziała przy ciele męża i płakała. „Nie chciałam… on krzyczał, ja się broniłam" – mówiła. Kobieta siedzi. Dzieci zostały przekazane rodzinie.

Pogrzeb odbył się kilka dni później. Sąsiedzi przybyli tłumnie. Ci, którzy przez lata słyszeli krzyki zza ściany i nic nie zrobili, bo – jak mówią – „to ich sprawa, małżeńska".

Dziesięć lat milczenia

W gminie Hańsk, tam gdzie pola łączą się z lasem, a ciszę zakłóca najwyżej szczeknięcie psa albo traktor sąsiada, przez 10 lat toczyła się domowa wojna, o której nikt nie mówił. Bo i po co? Mąż nie bił, żona nie piła, dzieci dawno dorosłe. A jednak 69-letnia kobieta została aresztowana. Powód? Podczas jednej z awantur uderzyła swojego męża łopatką ogrodniczą. Nie był to jednak pierwszy raz. Policja ustaliła, że kobieta przez około 10 lat znęcała się nad mężem – psychicznie i fizycznie.

Dom, w którym doszło do zdarzenia, nie wyróżnia się niczym szczególnym. Nadgryziony czasem płot, zardzewiała pompa, kilka krzaków agrestu. Sąsiedzi jak zwykle mówili, że to ludzie „raczej spokojni, do kościoła chodzili, nie pili, nie awanturowali się". Jednak według mundurowych to nie była jednorazowa eksplozja złości. To był schemat, powtarzany przez lata. Upokarzanie, groźby, przemoc, krzyk. Wyzwiska, czasem przedmioty rzucane z wściekłością. I mąż – ofiara – który nigdy niczego nie zgłosił. – „Nie była założona Niebieska Karta, nie było wcześniejszych interwencji" – potwierdza policja. 10 lat cichej przemocy.

Dlaczego milczał? Bo w małych miejscowościach bita żona budzi współczucie, ale bity mąż – śmiech. Bo jak to tak – chłop, który dał się żonie?

Gdy mąż znów coś powiedział nie po jej myśli, wzięła łopatę i uderzyła. Nie raz. Uderzenia szły w plecy, w ramię, w głowę. Skończyło się ranami, które wymagały interwencji medycznej. Mąż po raz pierwszy zgłosił sprawę. Policja przyjechała, spisała, obejrzała, zapytała. Kobietę zatrzymano.

Sąd rozstrzygnie, czy jej czyn to znęcanie się, czy spowodowanie uszczerbku na zdrowiu. Obie kwalifikacje przewidują karę do pięciu lat więzienia. Jeśli udowodnione zostanie, że przemoc trwała dekadę – może być więcej.

Aż strach

Krakowskie Podgórze, sobotni wieczór, okolice ul. Limanowskiego. Ona – lat pięćdziesiąt kilka, drobna, zadbana, z tych, które zawsze mówią „dzień dobry" sąsiadom. On – były mąż, kilka lat starszy, po rozwodzie wciąż mieszkający w tej samej dzielnicy. Ich małżeństwo skończyło się dawno, ale nie do końca.

W którąś sobotę znów się spotkali. Kiedy było po wszystkim, ona wyszła z mieszkania. Na korytarzu zapaliła papierosa. Siedziała podobno długo. Dopiero następnego dnia poszła na policję. „Przyszła sama, była pod wpływem alkoholu, mówiła cicho, ale rzeczowo" – mówią policjanci. Mówiła, że „nie chciała go zabić". Że „chciała tylko, żeby wreszcie przestał". Nie wiadomo, co dokładnie miał przestać – wracać, kłamać, oskarżać, pić. Może wszystko naraz.

Gliniarze pojechali i potwierdzili, facet nie żył. Śmierć była gwałtowna, użyto narzędzi kuchennych. „Z wyjątkowym okrucieństwem" – te słowa znalazły się w komunikacie rzecznika, a potem zniknęły pod lawiną komentarzy w internecie.

Na klatce schodowej kamienicy przez wiele tygodni było czuć środki czystości. Mieszkanie zaplombowano, na drzwiach zawisła kartka z pieczątką „Prokuratura Rejonowa Kraków-Podgórze". Sąsiedzi mówili, że „tam cisza aż strach".

Wespół w zespół

Było już po południu, może wczesny wieczór. W kuchni stały puste butelki, w telewizorze leciał serial, ktoś śmiał się z dowcipu, ktoś inny dolewał wódki do szklanki. W domu przy jednej z częstochowskich ulic zebrało się czworo dorosłych. Małżeństwo po pięćdziesiątce i dwóch ich znajomych. Biesiada miała być jak każda inna – parę kieliszków, trochę muzyki, trochę wspomnień z dawnych lat.

Wystarczyły trzy zdania, jedno spojrzenie, zbyt głośny śmiech i nagle kobieta rzuciła się na męża. Pomagali jej dwaj uczestnicy biesiady. Facet nie miał szans. Próbowano go potem ratować, wzywano karetkę, ale 57-latek zmarł.

„Ona zawsze była porywcza" – mówiła sąsiadka. „Czasem go przeklinała na całą ulicę, czasem widziałam go z siniakiem. Ale on nigdy się nie skarżył. Mówił tylko, że tak już mają".

Śledztwo dowiodło, że kobieta wraz z dwoma znajomymi uderzała mężczyznę wielokrotnie. W chwili zatrzymania nie potrafili wytłumaczyć, co dokładnie się stało. Każde z nich miało inną wersję wydarzeń. Jedno się zgadzało – awantura wybuchła nagle i wymknęła się spod kontroli.

Sekcja zwłok potwierdziła, że mężczyzna zmarł w wyniku obrażeń odniesionych podczas pobicia. Śledczy napisali o „rażącej przemocy fizycznej". Kiedy przesłuchiwano żonę zabitego, była spokojna. Nie przyznała się do winy. Mówiła, że „niczego nie chciała". Że „to się stało samo". Że „on ją prowokował".

TOMASZ BOROWIECKI

eprasa.pl 43829d5945



Biskup przed sądem nieostatecznym

Pies do Jeża

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Jeśli kryzys polskiego Kościoła kat. jest gdzieś najmniej zauważalny, to w diecezji tarnowskiej. Naukę w seminarium rozpoczęło tam w tym roku 19 kleryków i tendencja jest wzrostowa, bo w ubiegłym roku było ich zaledwie dziewięciu. W maju wyświęcono 13 nowych księży, co na tle innych diecezji w Polsce jest liczbą szczęśliwą, bo na przykład w takim Wrocławiu klechów przybyło okrągłe zero. Tarnów zawsze był zagłębiem „powołań” – duchowni z tej diecezji trafiali na eksport, bo jak produkowano ich po kilkudziesięciu, a bywało i że ponad setkę rocznie, to nie było gdzie upchać. Upychano więc po Afrykach i innych kontynentach. Ale i ta pobożna diecezja ma swoje problemy.

Fioletowy pasiak

Jej szef bepe Andrzej Jeż może trafić nawet na trzy lata do puchy. Brzmi to w polskich warunkach jak fantastyka, ale już sam fakt procesu katolickiego hierarchy, i to jeszcze w Małopolsce, robi wrażenie.

Polscy biskupi przed świeckimi sądami stają niezmiernie rzadko, a już w charakterze oskarżonego to bodaj nigdy w III RP. Tymczasem tarnowska prokuratura się nie bała i zarzuciła Jeżowi tuszowanie pedofilii podwładnych.

Machina ruszyła: 10 grudnia odbyło się posiedzenie organizacyjne, na którym wyznaczono sześć kolejnych terminów rozpraw, z których pierwszą na 18 lutego 2026 r. Proces zaczął się z ośmiomiesięcznym poślizgiem, bo wcześniej pechowo rozchorowała się sędzia referentka. Co się odwlecze, to nie uciecze.

Zarzuty są ubiegłoroczne, ale wciąż aktualne. „Biskupowi zarzucono, że w okresie od 13 lipca 2017 r. do dnia 16 sierpnia 2020 r. będąc zwierzchnikiem i zarządcą Diecezji Tarnowskiej, pomimo posiadania wiarygodnej wiadomości o dokonaniu przez podległego mu księdza Stanisława P. czynów polegających na doprowadzeniu małoletnich poniżej lat 15 do poddania się innym czynnościom seksualnym nie zawiadomił o tym niezwłocznie organów ścigania” – informowała Onet Prokuratura Okręgowa w Tarnowie. Tak samo zdaniem śledczych biskup zachowywał się w sprawie ks. Tomasza K., co także ma być zbadane i osądzone.

Bez przedawnienia

Ks. Stanisław P. miałby na sumieniu, gdyby je miał, 95 osób. Tylu skrzywdzonych naliczyła prokuratura, zaznaczając, że wyliczenie może być niepełne. Ale biret mu z głowy nie spadnie, bo sprawa się przedawniła. Zadbali o to kolejni biskupi tarnowscy – najpierw Wiktor Skworc, a potem Jeż. „Śledczy dotarli do co najmniej 95 osób pokrzywdzonych przez ks. P. Śledczy ustalili, że aż w 77 przypadkach dochodziło do »doprowadzenia do innej czynności seksualnej z udziałem nieletniego«, w czterech przypadkach ksiądz dopuścił się »doprowadzenia do innej czynności seksualnej z wykorzystaniem zależności«, w jednym przypadku »doprowadził do innej czynności seksualnej oraz naruszenia nietykalności cielesnej«, w przypadku dwunastu kolejnych nieletnich pokrzywdzonych sprawca »doprowadził do ich naruszenia nietykalności«, a w jednym przypadku prokuratura na podstawie zeznań pokrzywdzonego ustaliła »usiłowanie do doprowadzenia do innej czynności«” – ustalił Onet. Tomasz K. ma „zaledwie” trzy ofiary na koncie. Bepe Jeż oczywiście nie przyznaje się do winy i zapewnia, że jest czysty jak łza.



Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Ale zdaniem śledczych odpowiedzialność biskupa się nie przedawniła. Prokuratura informuje że „w obu tych przypadkach delegat biskupa do spraw wykorzystywania małoletnich złożył zawiadomienia, ale zdaniem prokuratury nastąpiło to za późno, bo ze zwłoką prawie trzyletnią, a przepis nakłada obowiązek niezwłocznego informowania”. Przepis pochodzi z 2017 r., kiedy to znowelizowano kodeks karny tak, że do katalogu przestępstw, o których trzeba niezwłocznie zawiadamiać organy ścigania, dopisano przestępstwa seksualne. Biskupi twierdzili, że prawo nie działa wstecz, więc można im naskoczyć. Jednak w 2022 r. Sąd Najwyższy uznał, że „niepodzielenie się wiedzą z organami ścigania o przestępstwach pedofilskich jest przestępstwem bez względu na datę zdobycia takiej wiedzy”, co pozwoliło postawić Jeża przed sądem.

Ksiądz jak wuefista

Jak nie idzie, to nie idzie. Ponieważ księży w diecezji tarnowskiej mrowie, to i różnych gagatków trafia się więcej niż gdzie indziej. Bepe Jeż jest także obiektem zainteresowania prokuratury w sprawie ks. Mariana W. oskarżonego o molestowanie 22 ministrantów. Aktualnie księżulo przebywa na wczasach w pierdlu, gdzie ma odbębnić 12 lat w trybie terapeutycznym, a po wyjściu ma się nadal leczyć. I w tym przypadku kuria tarnowska ociągała się z zawiadomieniem. W sprawie księdza Mariana w 2013 r. przesłuchano w kurii seminarzystę, ale zgłoszenie do prokuratury poszło dopiero w 2018 r.

W tej sprawie tarnowska kuria podkreśla, że przestępca to już były ksiądz, co ma być podstawową przeszkodą do płacenie zadośćuczynień ofiarom. Łączne roszczenia byłych ministrantów opiewają na 12 mln zł, a to wizja dla biskupa równie lub bardziej przerażająca co odsiadka. Pełnomocnik diecezji Krzysztof Nocek w stanowisku opublikowanym na YouTubie stwierdził, że „tego typu procesy są wszczynane nie z uwagi na zasady prawa, ale z uwagi na antyklerykalną narrację medialną”. Później zaś, w tekście przesłanym mediom, rozszerzył tę myśl o specyficzną linię obrony: „Diecezja Tarnowska ma świadomość wyłomu orzeczniczego, który skutkował w przeszłości zasądzeniem zadośćuczynień od Kościoła Katolickiego. Należy uznać tę sytuację jako prawną dyskryminację Kościoła Katolickiego, który w gruncie rzeczy jest jedyną instytucją, której próbuje się przypisać odpowiedzialność za przestępstwa pospolite podległych im osób. Obrazowo można to przedstawić poprzez porównanie sytuacji dwóch przestępców: księdza katechety i nauczyciela wf, którzy dokonują czynów przestępczych, pracując w tej samej szkole, są skazywani karnie a następnie roszczenia cywilne kieruje się wyłącznie do Kościoła Katolickiego w sytuacji skazania księdza a nie do dyrekcji szkoły czy Skarbu Państwa w sytuacji skazania nauczyciela wf, albowiem w tym drugim przypadku wyklucza się odpowiedzialność cywilną pracodawcy”.

Gdy Kościół jest „ostoją polskości”, pokrzywdzoną przez reżimy, wówczas traktowany jest jako instytucja, której należą się podziękowania i reparacje. Gdy ksiądz popełnia przestępstwo, staje się nagle osobą prywatną. Oto wielka tajemnica wiary!

MATT KOBOSKO

Polskiemu duchowieństwu w serce zapadła szczególnie jedna przypowieść. Ta o mnożeniu talentów.

W Polsce interesy kościelne zaczynają się zwykle od modlitwy, potem jest bonifikata, a kończy się na akcie notarialnym i ciszy. Ale jeśli komuś się wydaje, że kościelna przedsiębiorczość wyczerpała się w Toruniu, to ostatnie lata – od Pomorza przez Toruń i Podkarpacie aż po Tatry – pokazały, że polska świątobliwa kreatywność jest nie tylko niewyczerpana, ale i zaraźliwa.

Gwiazda windykacji

Ćwierć wieku temu w Trójmieście krążyło zdanie, że „w Stella Maris można było załatwić wszystko”. Komu marzył się konsulting – proszę bardzo, komu doradztwo – jeszcze lepiej, a komu szybkie przerobienie pieniędzy w coś lżejszego, bardziej eterycznego, wręcz duchowego – również nie było problemu. Oficjalnie wydawnictwo archidiecezji gdańskiej, drukarnia buchająca kadzidłem i modlitewnikami. W rzeczywistości – pralnia.

Mechanizm był banalny. Z zaprzyjaźnionymi firmami podpisywano umowy na fikcyjne usługi. „Analiza rynku”, „strategia rozwoju”, „raport wykonawczy” – słowa piękne, esencjonalne, pachnące profesjonalizmem. Tyle że nikt niczego nie analizował, nikt niczego nie opracowywał, a jedyne, co płynęło, to przelewy. Od spółek do konsultantów, od konsultantów do Stella Maris, a ze Stella Maris dalej, już oczyszczone.

W latach 1997–2001 przez wydawnictwo miało przepłynąć ponad 67 mln zł. Najważniejsze było jednak to, że wydawnictwo jako kościelna jednostka nie płaciło CIT-u.

W procederze brały udział firmy konsultingowe prowadzone przez Janusza B. – byłego cenzora PRL. Ale wśród nazwisk pojawili się duchowni. A wśród nich – ksiądz Zbigniew B., były kapelan abepe Tadeusza Gocłowskiego. W tle majaczyła zaś jeszcze większa figura – abp Wojciech Gądecki. Wtedy jeszcze nie przewodniczący episkopatu, ale już postać znacząca, budująca swoją pozycję. Kościół twierdził później, że nic nie wiedział, że to jednostkowe nadużycia, że odpowiedzialność spada na tych, którzy podpisywali dokumenty. Ale trudno było udawać, że archidiecezja, która pobierała prowizje, nic nie wiedziała.

Proces trwał latami. Najpierw pięć lat śledztwa, potem sześć lat rozpraw, aż nadszedł dzień 29 września 2014 r., gdy sąd zaczął czytać wyrok. Padały kwoty, nazwiska, paragrafy. I wyroki – wysokie, choć niemal wszystkie w zawieszeniu, jakby sąd uznał, że trzeba ukarać, ale nie tak, żeby bolało.

Jednak wydarzenie najbardziej symboliczne nastąpiło ciut wcześniej, w 2012 r. Pierwszy raz w historii III RP komornik wszedł na konta archidiecezji. Ten moment był granicą.

Kościół – instytucja, która od lat korzystała z immunitetów i ulg – nagle zobaczył, że świat zewnętrzny wcale nie zamierza traktować jego rachunków jak tabernakulum.

Bo afera Stella Maris była przede wszystkim aktem oskarżenia przeciwko strukturze. Struktura ta – jak w przypadku zakonnic bijących dzieci albo proboszczów ścigających dotacje – potrafiła przez lata nie widzieć niczego złego. A potem nagle oznajmiała ze zdziwieniem, że „to incydenty”, „to nadużycia jednostek”, „to nie odzwierciedla misji Kościoła”. Tyle że 67 mln zł to nie incydent. To latami funkcjonujący system.

Gdy proces dobiegł końca, Kościół zapewniał o współpracy, skrusze i refleksji. Ale wciąż można było znaleźć księży, którzy kombinowali z dotacjami, proboszczów przerabiających remonty na złote interesy i kurialistów mówiących, że wszystko jest w normie.

WIEŚCI Z KRUCHTY

✚ Sąd skazał dwie byłe pracownice Domu Pomocy Społecznej w Jordanowie (Małopolska), prowadzonego przez zakonnice, za znęcanie się nad niepełnosprawnymi małoletnimi podopiecznymi. Prokuratura Rejonowa w Suchej Beskidzkiej ustaliła, że zakonnice i część personelu DPS-u miały m.in. wiązać podopiecznych do łóżek, bić oraz używać wobec nich wulgarnych słów, a także zamykać ich w klatkach. Siostra Bożena K. została uznana za winną znęcania się nad niepełnosprawnymi małoletnimi oraz naruszenia nietykalności cielesnej jednej z dziewcząt. Sąd przyklepał jej karę trzech lat i dwóch miesięcy pierdla oraz pięcioletni zakaz pracy z dziećmi. Bronisława G., była dyrektorka DPS, została skazana na cztery lata więzienia i pięcioletni zakaz pracy z małoletnimi. Sąd uznał ją za winną przemocy wobec podopiecznych oraz utrudnianie postępowania karnego. Na rzecz pokrzywdzonych zasądzono nawiązki w wysokości od 1,5 tys. do 5 tys. zł. Wyrok jest nieprawomocny.

✚ 10 grudnia Sąd Okręgowy w Gdańsku zadecydował o aresztowaniu na trzy miesiące 56-letniego księdza Waldemara P. Duchowny miał molestować nieletnich w różnych miastach i miejscowościach na Pomorzu. Klecha przez kilka lat wymieniał też intymną korespondencję z chłopcami oraz dorosłymi mężczyznami. Analiza dowodów pozwoliła ustalić cztery osoby pokrzywdzone. Śledczy szukają pozostałych ofiar księdza. Funkcjonariusze Centralnego Biura Zwalczania Cyberprzestępczości zatrzymali ks. Waldemara P. pod koniec listopada. Prokurator zarzucił klesze popełnienie czterech przestępstw przeciwko wolności seksualnej, polegających na seksualnym wykorzystaniu stosunku zależności i usiłowaniu doprowadzenia małoletnich i pełnoletnich pokrzywdzonych do poddania się innym czynnościom seksualnym.

✚ Prokuratura Okręgowa we Włocławku postawiła Janowi O., ojcu księdza Michała Olszewskiego z Fundacji Profeto i zamieszanego w aferę związaną z Funduszem Sprawiedliwości, trzy zarzuty: udziały w zorganizowanej grupie przestępczej, oszustwa VAT (wyłudzenie zwrotu podatku) i wystawiania fałszywych faktur. Z informacji przekazanych przez prokuraturę wynika, że Jan O. był członkiem kilkunastoosobowej grupy, która z oszustw podatkowych miała uczynić sobie stałe źródło dochodu. Oskarżony nie przyznaje się do winy. Co w rodzinie, to nie zginie…

✚ Na dziedzińcu kościoła pw. Najświętszej Rodziny przy zakopiańskich Krupówkach stanęła karuzela i miasteczko namiotowe. Całość znajduje się zaledwie 10 m od drzwi świątyni. Atrakcję ustawiła w tym miejscu prywatna firma, która wynajęła teren od miejscowego proboszcza ks. Bogusława Filipiaka. Teren parafii wchodzi w skład Parku Kulturowego Krupówek. Zakopiańska rada miasta kilka lat temu uchwaliła to prawo miejscowe, by ograniczyć dziką zabudowę deptaka oraz jego najbliższych okolic tymczasowymi instalacjami i budami handlowymi. W tym kontekście karuzela i namioty są nielegalne. Według proboszcza najemca zadbał o zgodę na postawienie lunaparku od wojewódzkiego konserwatora zabytków. Kłopot w tym, że nikomu nie udało się ustalić, czy to prawda. Ks. Filipiak jest znany ze smykałki do biznesu. Pobiera opłatę za wstęp na zabytkowy Cmentarz Zasłużonych na Pęksowym Brzyzku, a w sąsiedztwie kościoła – na parafialnej ziemi – cztery lata temu wybudował duży dom towarowy, który wydzierżawił zagranicznej sieci TKMaxx. Oto wielka tajemnica wiary: złoto i dolary.

✚ Janusz Szymik, molestowany i gwałcony przez kilka lat były ministrant z Międzybrodzia Bialskiego, pozwał kolejną diecezję. Przypomnijmy, że w styczniu Sąd Okręgowy w Bielsku-Białej zdecydował, że diecezja bielsko-żywiecka ma wypłacić Szymikowi 400 tys. zł odszkodowania wraz z odsetkami za niereagowanie przez 20 lat na seksualną krzywdę, jakiej doznał od proboszcza parafii ks. Jana W. Kolejny pozew został przesłany do Sądu Okręgowego w Krakowie. Były ministrant domaga się w nim 20 mln zł odszkodowania od archidiecezji krakowskiej, która – jak wyjaśnia Szymik – zgodnie z dyspozycją Sądu w Bielsku-Białej również odpowiada za gwałty ks. Jana W. na poszkodowanym. Abepe Marek Jędraszewski nie poczuwa się do odpowiedzialności i uważa, że roszczenia są całkowicie bezzasadne.



Rys. JANUARY

KLECHA

Wieści na pożytek pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.

eprasa.pl 43829d5945

Manna z ziemi, tej ziem


Rys. OBYWATEL JANEK

Największy odkupiciel

Zachodni skraj Torunia jest stolicą imperium dyrektora Rydzyka. Miejscem, które opisują rządowe raporty, kontrole, afery, sejmowe komisje, oskarżenia wysunięte na konferencjach prasowych, pytania zadawane prokuraturze, wnioski o śledztwa i zawiadomienia Najwyższej Izby Kontroli. Przez ponad trzy dekady państwo polskie wskazywało: tu brak rozliczenia, tam niejasne transfery, tu darowizny od staruszek, tam geotermia, która wciąż nie rusza, tu kwestia bez pozwolenia, tam dotacje, które skoczyły ponad 200 mln zł. A jednak za każdym razem finał był taki sam – dyrektor Rydzyk wychodził z tych burz czysty.

A zaczęło się w roku 1991. Skromna rozgłośnia z ambicją misyjną, trochę sprzętu, trochę entuzjazmu i marzenie, że radio stanie się tubą katolickiego głosu narodu. Koncesja nie wymagała opłat, sprawozdania finansowe nie były publikowane, źródła przychodów nie podlegały publicznemu wglądowi. Wszystko było „darem serc słuchaczy”.

Wokół rozgłośni zaczęły rosnąć fundacje, spółki, instytucje edukacyjne, podmioty medialne. Najważniejszy spośród nich – Fundacja Lux Veritatis. To ona jest oficjalnym właścicielem Telewizji Trwam, to ona prowadzi geotermię, to ona buduje Muzeum „Pamięć i Tożsamość”, to ona w sprawozdaniach wpisuje aktywa o wartości przekraczającej 180 mln zł.

Muzeum „Pamięć i Tożsamość” miało ruszyć w 2020 r., miało być wizytówką relacji państwa z Kościołem. Publicznych pieniędzy poszło na nie co najmniej 206 mln zł. A obecny rząd domaga się nawet 210 mln zł zwrotu wraz z odsetkami, twierdząc, że umowy zawarte przez poprzednie kierownictwo resortu kultury były wadliwe. Dyrektor Rydzyk mówi o tym inaczej. „To jest muzeum narodu polskiego, nie moje”.

Na terenie kompleksu stoi też amfiteatr, w którym politycy PiS występowali kiedyś częściej niż we własnej centrali. Obok – Akademia Kultury Społecznej i Medialnej, kuźnia kadr medialnych i politycznych, gdzie wychowano całe pokolenie młodych dziennikarzy o poglądach tak jednoznacznych jak okładki „Naszego Dziennika”. Uczelnia ma stały zysk, pozyskuje fundusze europejskie, prowadzi szkolenia dla sędziów i prokuratorów.

Kilka kroków dalej – geotermia toruńska. Start-up za 37 mln zł kapitału, z gigantycznymi gruntami, z dziesiątkami milionów dotacji unijnych, a przychodami liczonymi w dziesiątkach milionów.

Na poboczu stoją inne konstrukcje: spółka Bonum, niepozorna, a obracająca ponad 12 mln zł rocznie. Telekomunikacja „w naszej Rodzinie”, która powstała, zgasła, wróciła i wciąż działa, choć jej przychody można by pomylić ze sprzedażą jednego kiosku Ruchu. Fundacja Nasza Przyszłość z magazynami, książkami, sklepami i ponad 8 mln zł gotówki. No i „Nasz Dziennik”, od lat opisujący świat w czarno-białych barwach, ale finansowo trzymający się stabilnie, mimo spadającego rynku prasy.

Wszystko to otoczone plątaniną nieruchomości: ziemie przekazane przez seniorów, mieszkania zapisane fundacjom, działki kupione z bonifikatą sięgającą 60 proc., ośrodki wypoczynkowe w górach i nad morzem, grunty oddane w użytkowanie wieczyste przez wojewodę.

Jak echo wraca jednak historia zbiórki na ratowanie Stoczni Gdańskiej. Kwesty prowadzone w połowie lat 90., relacje o milionach dolarów spływających do Radia Maryja, brak formalnego pozwolenia, brak oficjalnego rozliczenia. Nigdy nie przedstawiono ksiąg, nigdy nie udowodniono nadużyć. Śledztwa wszczynano wielokrotnie i zawsze kończyły się tak samo – niczym.

„Ja mam czyste sumienie” – powtarza dyrektor Rydzyk. I przez 30 lat żaden sąd ani prokuratura nie zdołały wykazać, że jest inaczej.

Światłość z nieba

Choć Podkarpacie widziało niejedną kościelną inwestycję, to opowieść o tym, jak światło miało popłynąć do parafii z paneli słonecznych, a popłynęły pytania prokuratury, listy z CBA i protokoły przesłuchań, było mimo wszystko zaskoczeniem.

Zaczęło się gdzieś w połowie poprzedniej dekady. Były senator PiS Kazimierz Jaworski zapukał do kurii i przedstawił wizję: niech parafie zbudują farmy fotowoltaiczne. Niech staną się producentami energii, którą można sprzedawać i zarabiać. Kuria dała zielone światło i błogosławieństwo.

W krótkim czasie niemal 300 parafii utworzyło spółki. Jedne nazwano imieniem świętych, inne parafii, jeszcze inne po prostu parafialnymi spółkami celowymi. W rzeczywistości jednak, jak później opowiadali proboszczowie, większość nie wiedziała, czym właściwie są te twory, jak działają, jakie mają kompetencje ani jakie ryzyko biorą na siebie. Jeden nawet przyznał wprost: „Byliśmy słupami”.

W 2017 r. te setki spółek ruszyły do konkursu o unijne dotacje. Prawie 40 mln zł miało popłynąć do plebanii. Ale już wtedy urzędnicy podnieśli brwi. Najpierw w Rzeszowie, potem w Warszawie, w końcu w Brukseli.

Bo sieć spółek parafialnych była tworem niespotykanym. Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów uznał, że zgodnie z unijnymi przepisami należy traktować je jako jedno przedsiębiorstwo. A jeśli jedno, to limit dotacji wynosi 200 tys. euro. Wydawało się, że marzenie o prądzie z nieba padnie.

Interpretacja przepisów zmieniła się rok później. Nagle spółki były już niezależne. A w 2018 r. przyznano dotacje 56 z nich. Łącznie ponad 39 mln zł. A potem wszystko zaczęło się chwiać. Doszło do konfliktów z wykonawcami. Budowy stawały. Koszty rosły. Niektóre parafie bankrutowały. Ponad połowa zawartych umów została rozwiązana. Prąd nie popłynął.

Prokuratura w Lublinie w połowie 2021 r. wszczęła śledztwo. Na początku mówiono, że to rutynowe sprawdzenie. Że nie ma tu mowy o wielkiej aferze.

Lata mijały, a sprawa rosła. Śledczy zaczęli wzywać urzędników urzędu marszałkowskiego, ekspertów oceniających wnioski, pracowników, którzy przyjmowali dokumenty. Do sprawy włączyło się CBA. Postępowanie trwa piąty rok.

Klauzura deweloperska

W Zakopanem karmelitanki bose, które od 71 lat żyły w klauzurze, postanowiły wybić się na ekonomiczną niepodległość. Skonstatowały, że skoro księża i zakonnicy mogą, to czemu nie one. Wykoncypowały, że dotychczasowy klasztor miał zostać nadbudowany i rozbudowany tak, by zmienić się w pensjonat. Miały powstać trzy budynki wielopoziomowe z garażami podziemnymi. W mieście zaczęto mówić o karmelitankach per „siostry deweloperki”.

W styczniu 2024 r. zakonnice złożyły oficjalny wniosek o warunki zabudowy. Dla miasta oznaczało to wypowiedzenie wojny. Bo Zakopane od lat walczy z „betonozą”, ale najczęściej przegrywało z silniejszymi prawnie inwestorami, którym udawało się wykorzystać każdą lukę.

Zakopiański magistrat początkowo próbował grać na czas, tłumacząc, że w rejonie Kościelnej powstaje nowy miejscowy plan zagospodarowania przestrzennego. Plan, który przewiduje, że teren klasztoru będzie mógł pełnić jedynie funkcje sakralne.

Ale samorządowe kolegium odwoławcze nakazało urzędowi miejskiemu wydanie karmelitankom warunków zabudowy, argumentując, że nie można blokować inwestycji samym faktem „prac nad planem”.

Zamiast jednak WZ-kę wydać, miasto ogłosiło oficjalną decyzję odmowną. Uznało, że do działki sióstr nie prowadzi droga spełniająca normy dla ruchu, jaki generowałby pensjonat i trzy apartamentowce. To rozwiązanie tymczasowe, ale daje Zakopanemu czas, by uchwalić nowy plan i zakazać inwestycji raz na zawsze. Oczywiście siostry mogą decyzję zaskarżyć i zaskarżą. Mimo że ich powołaniem jest milczenie. Raz tylko, rok temu przerwały ciszę, pisząc: „Naszym powołaniem jest modlitwa za Kościół, kapłanów i świat, aby jak najwięcej ludzi przyjęło zbawienie”.

Nie chodzi tu o to, że duchowieństwo w Polsce nagle odkryło przedsiębiorczość. Rzecz w tym, że przez lata dano mu sygnał, że obowiązują je inne zasady. A im dłużej ta logika trwa, tym więcej księży wychodzi z założenia, że skoro Rydzykowi wolno, to im też wolno. I że ziemia obiecana nie musi już być metaforą – może być działką kupioną za promil ceny. Można na niej postawić kościół. Albo apartamentowiec czy uczelnię. Byle tylko dobrze się spinało biznesowo.

TOMASZ BOROWIECKI

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ *Kochani, weźmy pod uwagę, kto oraz jakimi środkami sprawuje rząd dusz w Polsce i módlmy się o światło Ducha Świętego dla wszystkich rodaków* (…). ***W sumie to ogromne tsunami niszczące wiarę w Pana Boga w naszej ojczyźnie, miłość do ojczyzny, niszczące naszą cywilizację.*** (…) ***Wspierając media liberalno-lewicowe, wspieramy niszczenie własnego ducha, własnej miłości do Pana Boga, do ojczyzny, niszczymy samych siebie i rodaków. Czy to nie jest również uczestniczenie w grzechu cudzym? Kochani, media liberalno-lewicowe to już nie jest Goliat po zęby uzbrojony, ale to jest Babilon. Izrael w swojej historii był w niewoli babilońskiej. My jesteśmy teraz w tej niewoli.*** *Nowy Babilon – media liberalno-lewicowe. I nawet sobie z tego nie zdajemy sprawy.*

o. Tadeusz Rydzyk, Radio Maryja, 12 grudnia

■ *Tusk próbuje zastraszyć Ojca Dyrektora Tadeusza Rydzyka prokuraturą.* ***Ale na walce z Kościołem połamie sobie wilcze zęby – jak każdy, kto wcześniej tego próbował. Ojciec Dyrektor to kapłan niezłomny, od lat tworzący dzieła służące Bogu i Polsce. A władza Tuska, podszyta strachem i kłamstwem, nie jest w stanie zagrozić sile autentycznej wiary. Przemoc wobec Kościoła zawsze rodzi tylko większą odporność i determinację.*** *Nie złamie tej wiary ani Ojca Dyrektora, ani wiernych, ani Kościoła.*

Zbigniew Ziobro, X, 11 grudnia

■ ***Radio Maryja podjęło się misji prorockiej w epoce cywilizacji śmierci, relatywizmu i nowej totalitarnej ideologii gender.*** *Dlaczego jesteśmy zwalczani kłamstwem, różnymi metodami, również administracyjnymi działaniami – wydawałoby się – aparatu sprawiedliwości w Polsce?* (…) ***Odzyskujmy Polaków w dużej mierze już zaczadzonych, zniszczonych duchowo, intelektualnie przez działania antykatolickie, antypolskie*** (…).

dalej Rydzyk

■ *Jeżeli chcemy budować trwałe konstrukcje, muszą one opierać się na silnym fundamencie.* ***Na skale mamy budować, na Chrystusie, na prawdzie. Alternatywą oczywiście jest lansowany przez świat relatywizm, który może w bardzo niebezpiecznych kierunkach prowadzić kształtowanie relacji, które nas łączą jako obywateli jednej ojczyzny. Budujmy więc uczciwie, na skale, na Chrystusie, na prawdzie.***

bp Arkadiusz Okroj, konferencja UMK, Toruń, 11 grudnia

■ ***Państwa nie mogą bez wielkiej winy postępować, jak gdyby Boga wcale nie było. Troskę o religię, jakby do nich należącą albo nieprzydatną, odrzucać.*** *Z różnorodnych religii wedle swego widzimisię wybierać.* ***Ale winny koniecznie ten sposób czczenia Boga przyjąć, którym Bóg okazał, że chce być czczony.***

Prof. Jacek Bartyzel, konferencja UMK, Toruń, 11 grudnia

■ ***Z Kościołem jeszcze nikt nie wygrał i mam nadzieję, że w tym wypadku rządzący też nie wygrają. Oni przyjęli sobie za cel opiłowywanie katolików,*** (…) ***ale nie możemy być obojętni.*** (…) ***Jesteśmy traktowani jako tzw. gorszy sort. To nas boli, ale nie możemy się tym zniechęcać.*** *Po wyjściu z prokuratury o. Tadeusz Rydzyk CSsR wspominał, abyśmy starali się na to wszystko odpowiedzieć dobrem. Ale żeby to zrobić, potrzeba wiedzy i argumentacji. Nigdy nie idźmy na rozmowę nieprzygotowani.*

Łukasz Mierzejewski, radny Sejmiku Województwa Mazowieckiego, Radio Maryja, 12 grudnia

■ ***Maryjo, Matko Kościoła i Niezawodnej Nadziei, pomóż nam przezwyciężać wszelki zamęt na drogach antyewangelizacji, uchroń dzieci i młodych od kłamliwych programów,*** *a rodzicom i nauczycielom wyproś ufność w moc Ducha Świętego na wszystkich drogach odpowiedzialności* (…).

abp Wacław Depo, Jasna Góra homilia, 8 grudnia

KLECHA



Rys. MIROSŁAW HAJNOS

eprasa.pl 43829d5945

Czego ci nie mówią o pieniądzach — Odcinek 7

Pełne zatrudnienie

Czy wydaje ci się możliwe, aby Polska – lub nawet cała Europa – stała się miejscem, w którym nikt nigdy nie będzie zmuszony do pozostawania bez pracy? Czy jest możliwe, aby nigdy nie było problemu ze znalezieniem pomocy dla osoby starszej lub niepełnosprawnej? Czy stanie się tak, że niezbędne służby publiczne i NGO-sy nie będą cierpiały na notoryczny brak kadr? Czy możliwa jest gospodarka bardziej ekonomicznie żywa i efektywna? Zastanówmy się nad tym razem.



Rys. TOMASZ WIATER

Komu służy bezrobocie

Przez dekady przyjmowaliśmy bezkrytycznie opowieść, że „naturalna stopa bezrobocia", czyli przynajmniej kilka procent ludzi bez pracy, jest czymś w rodzaju prawa grawitacji i że wręcz należy oczekiwać od państwa, że ten poziom bezrobocia utrzyma. Ekonomiści zatruwali nam mózgi, twierdząc, że bezrobocie jest konieczne, aby uniknąć wzrostu cen. Jednak nowoczesne podejście do tego tematu, zgodne zresztą ze zdrową logiką, dowodzi, że to mit i ściema.

Każde bezrobocie jest przecież niepełnym wykorzystaniem potencjału gospodarki – a zatem marnotrawstwem. Jeśli komuś służy, to tylko firmom, które dzięki bezrobociu mogą oferować pracownikom niższe, dumpingowe wynagrodzenia. Ortodoksyjni ekonomiści próbowali wbrew obserwowanym w gospodarce faktom wmawiać nam, że „kontrolowane bezrobocie" zapewni szybszy wzrost gospodarczy. Ale kiedy wzrostu nie było albo był słaby, nadal głosili postulat utrzymania „naturalnej stopy bezrobocia". Po co? Dla zasady?

A przecież bezrobocie to nie tylko problem ekonomiczny, to przede wszystkim problem społeczny. Wpływa na wzrost nierówności, degraduje ludzi społecznie, powoduje narastający w nich gniew i poczucie utraty kontroli nad własnym życiem. Czy to nie dość argumentów za tym, aby zapomnieć o bezrobociu? Bo przecież w państwie, które posiada własną suwerenną walutę, stuprocentowe zatrudnienie jest nie tylko możliwe – ale jest, o czym postaram się was przekonać, dla gospodarki zbawienne. Zagwarantujmy możliwość sensownej pracy wszystkim.

Na czym polega gwarancja zatrudnienia

Czy ta idea – jak próbują wmawiać nam krytycy – jest kolejnym eksperymentem socjalnym? Nie. To makroekonomiczny stabilizator równowagi gospodarki, który nie tylko cywilizuje rynek pracy i nadaje realną treść bezpieczeństwu ekonomicznemu. W ujęciu nowoczesnej teorii monetarnej (MMT) (koncepcji pieniądza, na którą w tych felietonach się powołuję) to właśnie gwarancja pełnego zatrudnienia – a nie tzw. rynki – utrzymuje równowagę gospodarczą.

Jak to ma działać? Jak wiemy z poprzednich odcinków – państwo, które posiada własną suwerenną walutę, może ją emitować w dowolnej ilości. Teoretycznie dotyczy to także Polski i naszej złotówki oraz organizacji państw, jaką jest Unia Europejska. Nie można jednak „wpuszczać na rynek" dowolnej ilości pieniędzy. Granicą tej emisji jest sytuacja mogąca wywołać inflację: próg inflacji. Zatem czy państwo może ze swych środków bezpiecznie sfinansować pełne zatrudnienie – zatrudnić wszystkich chętnych? Odpowiedź nowoczesnej teorii monetarnej może zaskoczyć – jest pozytywna.

Gwarancja zatrudnienia (GZ), jako makroekonomiczny stabilizator równowagi gospodarki działa tak, że państwo, zatrudniając ludzi, „wlewa na rynek" emitowane w tym celu pieniądze, tworząc miejsca pracy w liczbie odpowiadającej aktualnemu popytowi na pracę – dla każdego chętnego. Gdy stan gospodarki powoduje, że biznes prywatny ogranicza zatrudnienie, ludzie poszukujący pracy znajdą ją w programie GZ. Płaca w ramach programu zatrudnienia ustalana jest na godziwym poziomie – ale nie tak aby konkurowała z płacą w sektorze prywatnym. Ilość pieniędzy krążących w gospodarce w tej sytuacji rośnie. To wyemitowane przez państwo „nowe pieniądze". Gdy sytuacja jest odwrotna i firmy poszukujące pracowników skłonne są płacić więcej niż państwo zatrudniające w ramach GZ, ludzie stopniowo przechodzą do biznesu, a ilość pieniędzy, jakie państwo wydaje na zatrudnienie, maleje. Ten mechanizm skutecznie stabilizuje gospodarkę, nie narażając jej na inflację.

W warunkach programu gwarancji zatrudnienia państwo nie tworzy fikcyjnych etatów ani „prac dla pracy", lecz organizuje zatrudnienie w obszarach, które są społecznie potrzebne, rynkowo zaniedbane, niskokosztowe kapitałowo czy proekologiczne. Może to być opieka nad seniorami i osobami z niepełnosprawnością, korepetycje i zajęcia dla dzieci, animacja lokalnej kultury i sportu, regeneracja środowiska naturalnego, wsparcie administracji lokalnej czy nawet edukacja lub wsparcie dla działań NGO. Zasadą GZ jest, że nie zastępuje prywatnych firm ani istniejących etatów. Muszą to być prace niekonkurencyjne wobec rynku, wykonywane lokalnie i użyteczne społecznie. W praktyce oznacza to, że GZ działa tam, gdzie rynek zawodzi, a nie tam, gdzie już istnieją stabilne miejsca pracy. Ma wypełniać „dziury" w podaży usług publicznych, które prywatnemu rynkowi się nie opłacają. W ramach GZ państwo może też inwestować w powstawanie spółdzielni społecznych.

„Bufor zatrudnienia" zamiast „buforu bezrobocia"

W tradycyjnym systemie stabilizatorem cen chroniącym gospodarkę przed inflacją ma być bezrobocie, bo ludzie w obawie o utratę pracy i dochodu godzą się na oferowaną niską płacę i nierzadko złe warunki zatrudnienia. W systemie GZ stabilizatorem cen staje się zatrudnienie: każdy, kto chce pracować, otrzymuje natychmiastową ofertę pracy za ustaloną, godziwą płacę. Ta płaca jest „kotwicą płacy nominalnej" – benchmarkiem, poniżej którego sektor prywatny nie może schodzić bez ryzyka utraty pracowników. Płaca GZ ustala dolną granicę wynagrodzeń. Sektor prywatny musi oferować nieco więcej niż program GZ, jeśli chce pozyskiwać pracowników. Dzięki temu GZ podnosi standard pracy i eliminuje wyzysk najniżej wynagradzanych; stabilizuje rynek pracy od dołu. Taki program działa w pełni automatycznie – antycyklicznie. To dla-

Życie W DOBROBYCIE

● Oficjalna propaganda stanowi, że polska gospodarka rośnie jak na drożdżach, a gdy tylko miliardy z KPO zaczną spływać szerokim strumieniem, to przemysł wystrzeli. Tymczasem PMI wciąż pokazuje czerwone światło. Najnowszy odczyt PMI wyniósł 49,1 punktu. Problem polega na tym, że PMI poniżej 50 punktów to wciąż recesja. Nie lekki dołek, nie chwilowe spowolnienie, tylko zwykła, szara recesja. Piąty miesiąc wzrostu wskaźnika nie oznacza ożywienia – oznacza jedynie, że toniemy wolniej. Przypomnijmy, że krach przyszedł w maju, kiedy PMI spadł z 50,2 punktu do 47,1 punktu, czyli z ożywienia przeszliśmy z powrotem do recesji w czasie krótszym, niż trwa konferencja prasowa o sukcesach rządu. Od lipca wskaźnik zaczął się wspinać – 47 z haczykiem, 48 z haczykiem, teraz 49,1 – ale wciąż nie wspiął się tam, gdzie zaczyna się wzrost. W listopadzie mieliśmy ósmy z rzędu spadek napływu nowych zamówień, co w praktyce oznacza, że przedsiębiorcy siedzą przy telefonie jak w latach 90., czekając, aż ktoś zadzwoni. Zatrudnienie dalej spada, bo firmy redukują koszty. Koszty produkcji natomiast rosną po raz pierwszy od miesięcy – drożeją drewno, miedź, celuloza i płody rolne. Z kolei eksport po raz pierwszy od marca ruszył w górę, ale to trochę tak, jakby przez pół roku nikt nie przyszedł do sklepu, a potem nagle wszedł jeden klient i kupił jabłko. Miliardów z KPO napędzających polski przemysł nie widać ani w zamówieniach, ani w produkcji, ani w zatrudnieniu. Na dokładkę obserwujemy coraz większy rozjazd między PMI a twardymi danymi GUS. PMI mówi: recesja. GUS mówi: wzrost produkcji sprzedanej przemysłu. PMI bada bowiem nowe zamówienia, zapasy, zatrudnienie i terminy dostaw. GUS liczy to, co fabryki faktycznie wypchnęły z hal, często kończąc wcześniejsze kontrakty, których nikt dziś nie odnawia. Czyli statystyka mówi: „dobrze, bo coś wyjechało", a realne życie mówi: „źle, bo nic nowego nie wjechało". Więc polska gospodarka rośnie głównie tam, gdzie ktoś dopisze wzrost ołówkiem do tabelki.

● Na dodatek ta sama gospodarka, która ponoć tak rośnie, ma równocześnie 23 proc. firm, które w zeszłym roku były – jak to się mówi – o włos od likwidacji. A 26 proc. już dziś boi się, że w 2026 r. powie „do widzenia" swoim pracownikom i klientom. Główne powody upadłościowych lęków są mało finezyjne. „Wzrost kosztów prowadzenia działalności – 32 proc., inflacja – 30 proc., spadek przychodów – 28 proc." – wyliczają przedsiębiorcy. W skrócie: koszty idą w górę, przychody w dół. Co gorsza, aż 84 proc. firm zgłasza trudności z płynnością finansową. A płynność to nie jest abstrakcja. To ten moment, w którym przedsiębiorca patrzy na konto i myśli: o rany, komu zapłacić, żeby nie było awantury. Zadłużenie firm na koniec września 2025 r. wyniosło 45,2 mld zł. W handlu 8,9 mld zł, w przemyśle 7,5 mld zł, w budownictwie 5,8 mld zł. Te trzy sektory razem mają 22,2 mld zł długu, czyli blisko połowę zaległości wszystkich firm w Polsce. Do tego dochodzi geopolityczna czkawka, bo PKB Niemiec w trzecim kwartale stanął w miejscu. A jak Niemcy stoją, to i nam nie idzie. 33 proc. polskich producentów, 30 proc. handlowców i 25 proc. budowlańców patrzy więc w przyszłość jak w ciemną studnię. W tym samym czasie rośnie też zjawisko finansowej „samopomocy" firm kosztem dostawców. Czyli „nie zapłacę faktury, bo sam czekam, aż inni zapłacą mnie". Efekt? Zatory płatnicze jak trzy dekady temu. I tu wracamy do radosnego ogłaszania wzrostu PKB o 3,8 proc. Ale PKB nie powie nam, że ludzie tracą pracę. Nie powie, że przedsiębiorcy w panice tną koszty, łączą firmy lub je sprzedają. A 35 proc. z nich w ostatnim roku już rozważało restrukturyzację, fuzję lub sprzedaż, 15 proc. zaś wprowadziło te zmiany w życie. PKB nie opowie, że 301 tys. firm ma zaległości finansowe. Nie opowie, że koszty rosną szybciej niż chęć klientów do wydawania pieniędzy. PKB nie przyzna też, że choć coś rośnie, to wcale nie musi być to dobrobyt.

● A choć rząd opowiada, że polska gospodarka kwitnie, to rynek pracy ma na ten temat własne zdanie. Eurostat policzył, że stopa bezrobocia w Polsce wyniosła w październiku 3,2 proc., czyli dokładnie tyle samo co miesiąc wcześniej, ale równocześnie o 0,4 pkt proc. więcej niż rok temu. W praktyce oznacza to wzrost liczby ludzi, którzy chcą pracować, ale nie mają gdzie. Przybyło ich „tylko" 4 tys. w miesiąc, ale w skali roku już 76 tys., co nawet przy rządowym optymizmie brzmi jak sygnał alarmowy. Oczywiście można się pocieszać, że dogoniliśmy Czechy i wspólnie z nimi zajmujemy drugie miejsce w Unii pod względem najniższego bezrobocia. Tylko że o ile jeszcze niedawno to my patrzyliśmy na Czechów z zazdrością, o tyle dziś patrzymy raczej z ulgą, że oni też mają problem. Malta nadal prowadzi, z 3,1 proc., czyli z przewagą tak mikroskopijną, że wystarczyłoby, żeby im się na wyspie spóźnił jeden prom z dostawami sezonowych pracowników i mielibyśmy remis. Najważniejsze jednak dzieje się tam, gdzie politycy wolą nie zaglądać, czyli w statystykach pokazujących sytuację młodych. To ci, których wykształceniem chwalimy się jak medalami olimpijskimi – magistrowie, inżynierowie, doktoranci, „najlepiej wyedukowane pokolenie w historii Polski", jak powtarzano przez lata. I właśnie wśród nich bezrobocie rośnie najszybciej. W ciągu roku przybyło w Polsce 23 tys. młodych bez pracy, co daje nam drugie miejsce w Europie. Stopa bezrobocia młodych w Polsce wzrosła w ciągu roku o 2 pkt proc., osiągając 12,6 proc. Czyli dopiero co wchodzące na rynek pracy pokolenie jest w czołówce statystycznego tąpnięcia, co nie wygląda najlepiej w kraju, który przekonywał, że mamy rynek pracownika, a młodzi mogą przebierać w ofertach jak w rękawiczkach. W Hiszpanii, Finlandii i Szwecji bezrobocie młodych przekracza 20 proc., a tamtejsi absolwenci, w tym doktorzy i inżynierowie, pracują jako kelnerzy, recepcjoniści albo rowerowi kurierzy. I nie dlatego, że lubią sport. Jeśli ktoś myśli, że w Polsce nas to nie czeka, to wystarczy spojrzeć na tempo zmian. Rynek pracy coraz trudniej wchłania młodych, a jednocześnie coraz więcej sektorów tnie zatrudnienie z powodu stagnacji w Europie, amerykańskich ceł i unijnych regulacji podnoszących koszty energii. Więc jeśli PKB rośnie, a bezrobocie młodych jeszcze szybciej, to jest to wzrost bardzo osobliwy.

● A przecież opowiadano, że oto nadeszła złota epoka pracownika, który może przebierać w ofertach jak w orzechach na targu, a pracodawcy muszą się wręcz wdzięczyć, obiecując owo słynne „work-life balance" i „prywatną opiekę medyczną". Tymczasem „końcówka bieżącego roku to czas gry na przeczekanie – firmy wstrzymują rekrutacje, a pracownicy unikają ryzyka" – mówią eksperci, którzy jeszcze niedawno grzmieli o rynku talentów. Teraz zaś zapewniają, że nadchodzący rok „nie będzie należał ani do pracownika, ani do pracodawcy", co jest eleganckim sposobem powiedzenia, że niefajnie będzie. Rynek wyhamował tak bardzo, że rotacja spadła do 16–19 proc., czyli najniżej od lat. Pracownicy czują to doskonale. Aż 45 proc. w ogóle nie szuka nowej pracy, a drugie tyle jedynie się rozgląda, czyli kliknie w ogłoszenie, ale CV nie wyśle, bo boi się gorszej oferty. I trudno się dziwić, skoro tylko 34 proc. wierzy, że znalazłoby pracę równie dobrą jak obecna – najniżej w historii badania. 78 proc. firm nie planuje zmian w liczebności zespołów, czyli ani nie zwalniają, ani nie zatrudniają. Najlepszym dowodem na to, że mit rynku pracownika właśnie dokonał żywota, jest rekordowy czas poszukiwania pracy – 4,4 miesiąca, najdłużej, od kiedy ktokolwiek to mierzy. A to jeszcze średnia, która jak zwykle kłamie. Ludzie po pięćdziesiątce szukają pracy aż 7,2 miesiąca, mieszkańcy wsi – 5,6 miesiąca, a kobiety – 4,8 miesiąca. Eksperci teraz mówią, że liczyć się będzie „dopasowanie kompetencyjne", co znaczy, że firmy chcą pracownika, który zna trzy języki, 12 programów, ma pięć certyfikatów, 10 lat doświadczenia i wyraża zgodę na bezpłatne nadgodziny. Do tego dochodzi gasnąca presja

eprasa.pl 43829d5945

Taki program działa w pełni automatycznie – antycyklicznie. To dlatego GZ nie jest inflacyjne – wydatki państwa dostosowują się do cyklu gospodarczego, nie pompują popytu w sytuacji pełnego wykorzystania zasobów.

Dzięki temu, że GZ „wessie" bezrobocie, zanim pojawi się presja inflacyjna, państwo zwiększa podaż pracy i usług, tworząc realną wartość. Nie jest to zatem „pieniądz bez pokrycia": każdy zatrudniony wykonuje pracę potrzebną społecznie. Inflacja pojawia się wtedy, gdy popyt przewyższa realne moce wytwórcze – realne możliwości gospodarki – a GZ właśnie zwiększa te moce i możliwości.

GZ wzmacnia gospodarkę

Dlaczego? Podsumujmy.

1. Bo włącza do produkcji zasoby pracy, które w innym przypadku byłyby marnowane.

Bezrobocie nie jest neutralnym stanem. To koszt społeczny i ekonomiczny: spadek kompetencji, izolacja, choroby, przemoc domowa, ucieczka młodych za granicę. GZ zamienia te koszty w wartość – w usługi publiczne, działania ekologiczne, opiekę, rewitalizację.

2. Bo działa antycyklicznie.

W kryzysie (który jest naturalną i systemową cechą kapitalizmu) sektor GZ rośnie, pochłaniając bezrobocie i stabilizując popyt. W boomie – kurczy się, oddając pracowników sektorowi prywatnemu. To wbudowany mechanizm wygładzania cykli koniunkturalnych. Nie wynaleziono jeszcze innej metody, by to osiągnąć.

3. Bo ustala efektywne minimum płacowe.

Jeśli państwo płaci godziwą stawkę za pracę społecznie użyteczną, prywatny pracodawca musi zapłacić więcej, jeśli chce pozyskać pracownika. To wzmacnia pozycję negocjacyjną pracowników w całej gospodarce.

4. Bo jest neutralne inflacyjnie i umożliwia ożywienie gospodarki.

GZ tworzy podaż usług równolegle z popytem generowanym przez wynagrodzenia. Problemem współczesnego kapitalizmu, sterowanego przez twardogłowych ortodoksów, jest strach przed państwową kontrolą nad emisją pieniądza. Wolą bankierski pieniądz dłużny. Dlatego wymyślane są z sufitu sztywne limity i ograniczenia – jak choćby ustawowy procentowo określony limit „długu publicznego". Tymczasem praktyka gospodarcza udowadnia, że pieniędzy w gospodarce jest niemal stale zbyt mało i nie pojawiają się tam, gdzie są najbardziej potrzebne. GZ przyczynia się do rozwiązania tego problemu.

A co z demokracją?

Tworzone w warunkach MMT pełne zatrudnienie niesie za sobą konsekwencje daleko wykraczające poza ekonomię. Pomyślmy o tym, że przecież reforma w stylu MMT i gwarancja zatrudnienia stabilizowałyby demokrację i zmniejszały napięcia polityczne. Spójrzmy na to, co dzieje się na świecie i w naszym kraju – dominują dwa zwalczające się obozy. Ludzie podlegający wykluczeniu, odczuwający społeczną degradację, niesprawiedliwość i pauperyzację coraz bardziej oddalają się od akceptacji obecnego systemu. Występują przeciw umacniającym swą przewagę elitom.

Nie rozumiejąc systemowych przyczyn, szukają dla siebie nadziei – i znajdują ją w pustych obietnicach populistów, bajkach o narodowych wspólnotach i zakłamanej bohaterskiej historii albo w silnych przywódcach, którzy obiecują twardą ręką „przywrócić porządek".

Populizm, nacjonalizm i odrzucenie demokracji to przejaw bezradności i buntu znacznej części społeczeństw przeciw neoliberalnemu modelowi gospodarki.

Program GW łagodziłby napięcia społeczne i tworzył szansę na ekologiczny post-wzrost. Można byłoby zatrudniać więcej ludzi w sektorach społecznie pożytecznych, podnoszących jakość życia ogółu, zamiast wypychać część z nich na margines w imię maksymalizacji zysku. GW realnie umożliwia skrócenie tygodnia pracy. Gdy praca jest dzielona bardziej równomiernie, łatwiej skręcić w stronę czterodniowego tygodnia pracy bez kosztów społecznych. To tworzy wizję, która nie jest ani utopijna, ani kosztowna w sensie ekonomicznym. Jest natomiast radykalna w sensie politycznym: odwraca logikę systemu, który przez dekady cenił kapitał bardziej niż pracę.

To nie są argumenty ideologiczne. To mechanika gospodarki. Dlatego powiedzmy to jasno: praca – dobrze zorganizowana, gwarantowana, sensowna – może uczynić gospodarkę odporną, a społeczeństwo spójnym. Warto zbudować nowe źródło stabilności. I jeśli nie będzie nim pełne zatrudnienie, pozostanie nam tylko dryf w stronę coraz bardziej populistycznych protez i coraz słabszej demokracji.

Gwarancja zatrudnienia nie jest wydatkiem. Jest inwestycją w przyszłość, o której warto mówić.

Gwarancja zatrudnienia cywilizuje kapitalizm

Z punktu widzenia demokratycznej, zielonej socjalistki, za jaką się uważam, ani przywoływana tu nowoczesna teoria monetarna, ani wynikająca z niej gwarancja zatrudnienia nie okaże się panaceum na wszystkie paskudne grzechy neoliberalnie urządzonego świata. Nie powstrzyma systemowego niszczenia zasobów naszej planety, nie uczyni uczciwymi kupcami zachłannym miliarderów, nie zlikwiduje wyzysku ani nie powstrzyma wojen. Myślę, że przyznacie jednak, iż uczyniłaby gospodarkę kapitalistyczną bardziej racjonalną, efektywną i sprawiedliwszą – bardziej „dla ludzi". To możliwe jest także w Polsce – ale wyłącznie wtedy, jeśli emitować będziemy prawdziwie suwerenną walutę lub staniemy się częścią suwerennej monetarnie strefy euro. Warto o tym wiedzieć, a przecież każdemu wolno marzyć... Czyż nie?!

ANNA GRODZKA

płacowa. Najczęstsze podwyżki w mijającym roku to 5–10 proc., coraz częściej poniżej 5 proc., a pracownicy nawet przestali protestować. Tylko 53 proc. spodziewa się wzrostu pensji w 2026 r. – najniżej od lat. Nie trzeba być socjologiem, żeby zrozumieć, że ludzie pogodzili się z tym, że „dobrobyt" teraz oznacza nie wzrost pensji, ale to, że firma ich nie wyrzuca.

● Gdy jedni szykują fajerwerki, a inni postanowienia, państwo – jak co roku – przygotowuje dla nas prezenty, których nikt by nie chciał znaleźć pod choinką. Bo 1 stycznia dostaniemy to, co dostajemy zawsze: podwyżki. Najpierw, rzecz jasna, akcyza. Rząd postanowił, że alkohol i papierosy są najlepszym miejscem do szukania oszczędności w naszych kieszeniach. Dlatego od Nowego Roku akcyza na alkohol rośnie o 15 proc. Palacze też dostaną swoją porcję „szczęścia". Nowa akcyza na wyroby tytoniowe ma wynieść 414 zł za tysiąc sztuk, a to przełoży się na droższą o około 1,40 zł paczkę. Ktoś by pomyślał, że skoro rząd walczy o nasze zdrowie, to może zrobi coś w służbie zdrowia. Ale nie – zdrowiej mamy żyć od samego patrzenia na paragony. Żeby jednak nikomu nie było smutno, to opłata cukrowa też idzie w górę z 1,2 zł na 1,8 zł na litr napoju. Jednak prawdziwa zabawa z podwyżkami zacznie się dopiero wtedy, gdy odpalimy światło. Prąd nie drożeje, powie rząd. I to będzie prawda – cena kilowata rzeczywiście zostaje bez zmian. Za to rośnie cała masa opłat, których zwykły człowiek nie jest w stanie zapamiętać, a tym bardziej zrozumieć: mocowa, OZE, kogeneracyjna i cała reszta tej energetycznej rodziny. Efekt? Rachunek za dom, w którym zużywa się 3 MWh rocznie, skoczy o 422 zł. Po Nowym Roku urośnie również abonament RTV, bo choć władza opowiada, że abonament zlikwiduje, to tak naprawdę podnosi opłaty. Radio ma kosztować 9,50 zł miesięcznie, telewizja 30,20 zł. Rocznie wyjdzie nawet o 38,40 zł więcej.

Ale żeby tradycji stało się zadość, zakończmy optymistycznie. Zamiast myśleć o nowym roku z podwyżkami, cieszmy się starym, lepszym.

TTJ



Rys. JANUARY

SŁOWO CZERWONE

Nie dziedziczyć

Loteria genowa to najgorszy sposób wyłaniania liderów

Jak dorobkiewicze uzasadniają gromadzenie wielkich fortun? Chcą coś po sobie zostawić swym potomkom. Dziedzice fortun nie muszą się już wysilać i mogą spokojnie spędzać czas na wodowaniu pieniędzy zgromadzonych przez swych antenatów. To próżniacze życie niekoniecznie jest szczęśliwe. Jedyne, czego bogaczom zazdroszczę, to możliwości podróżowania. Ale jeśli jest to migracja z jednego luksusowego hotelu do drugiego – to czy to jest naprawdę podróż?

Dziedziczenie mieszkania po babci jest okej. Ale dziedziczenie po babci pięciogwiazdkowego hotelu powinno być obłożone takim podatkiem, aby nie bardzo się opłacało. W wyniku dziedziczenia wielkich fortun bez podatku 1 proc. najbogatszych Polaków zdążyło zagarnąć 30,2 proc. majątku narodowego.

W filmach gangsterskich, jeżeli się dobrze kończą, bohaterowie spotykają się na plaży w jakimś odległym raju, gdzie konsumują drinki w palemką. Zawsze zadaję sobie wtedy pytanie: po którym drinku z palemką człowiek zaczyna mieć dość konsumowania owoców swego przestępczego życia? Czekam, że to nie koniec, że jeszcze coś się wydarzy. Ale nie, zdobycie wielkiej kasy jest aktem ostatecznego spełnienia.

Bycie bogatym spadkobiercą pozwala nie cierpieć z powodu braku kasy. Ale taki synalek czy córunia nigdy nie odczuli żadnych braków. Nie zaznali głodu, więc nie mają apetytu. Brak przeszkód do pokonania czyni ich słabymi. Przez co zwykle nie mogą być z siebie dumni. Nawet jeśli dużo trenują i mają krzepkie ciało, to duch już taki twardy nie jest. I w duchu zazdroszczą rodzicom, wujkom czy innym szacownym zmarłym, po których odziedziczyli swoje miliony, tego, że mogli powiedzieć, że zaczynali od zera. I że oni to wszystko własnymi rękami stworzyli, nawet jeśli tak naprawdę do ich sukcesu przyłożyli ręce ciężko harujący pracownicy.

Oczywiście wśród spadkobierców wielkich fortun zdarzają się wyjątki – choćby takie jak wybitna tenisistka Jessica Pegula. Chciała osiągnąć coś, na co majątek ojca nie ma szczególnego wpływu. Osiągnęła sukces, w tym finansowy, który zawdzięcza sobie i swojej rakiecie tenisowej. Ale ona nie musi niczego dziedziczyć. I tak jest bogata.

Kiedyś zapytał mnie kumpel, co bym zmienił, gdybym mógł dokonać jednej ważnej reformy. Odpowiedziałem bez namysłu:

zniósłbym prawo dziedziczenia. Zatrzyma to rozwarstwienie majątkowe i pozwoli każdemu się wykazać. Każdemu zaczynać od zera. Bogacze oskarżają biedaków o lenistwo, choć to oni sami są największymi darmozjadami.

Nadmiar pieniędzy odbiera im chęć do działania, do wysiłku aż do zmęczenia i prawdziwego głodu, który pozwala czerpać radość i energię z posiłku, na który człowiek pracował uczciwie.

Odbierając wam prawo do korzystania z nie Waszej zasługi, daję Wam w zamian prawdziwe życie pełne sukcesów, ale i porażek. A kiedy Wam się nie uda, będziecie mogli zawsze przyjść na dobrą darmową zupę, która zamiast spadkiem jest dobrem wspólnym, dostępnym także dla tych, którzy okazali się niezdolni do pożytecznego wysiłku.

Dziedziczenie jest często postrzegane jako główny mechanizm, który utrwala nierówności majątkowe z pokolenia na pokolenie, niezależnie od talentu, pracy czy zasług spadkobierców.

Otóż to. Posiadanie dużego majątku może oznaczać dużą odpowiedzialność za jakąś firmę, zatrudnionych w niej ludzi. Jeśli dziedzic majątku okaże się mało zdolny, to wyrządza krzywdę nie tylko sobie, ale i ludziom, których los od niego/niej zależy. Tak było już w czasach dawno minionych. Jeśli Mieszko był gnuśny, to kraj schodził na psy.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Pieniądze dają władzę nad ludźmi. Dlatego ludzkość wciąż poszukuje jakiejś efektywnej formy wyłaniania przywódców. Jednym z najgorszych wydaje się zdanie się na loterię genową. Może się trafić geniusz, ale zwykle jednak spadkobierca jest co najwyżej miernotą. Dlatego w polityce nie ma już prawie sukcesji, a w biznesie owszem.

Im większe są nierówności majątkowe, tym mniej szans na demokratyczny, merytoryczny wybór przywódcy. Bushowie – ojciec i syn – oraz Trump to wystarczające dowody na tryumf i wielką władzę bogatych miernot.

Istnieje też pogląd, że gwarancja otrzymania znacznego majątku osłabia motywację spadkobierców do ciężkiej pracy, innowacji i rozwoju osobistego.

Argumentów za zniesieniem dziedziczenia jest bardzo wiele i wcale nie mają one charakteru wyłącznie moralnego czy ideologicznego. A jednak dyskusja nad tą kwestią toczy się na zupełnym marginesie polityki i nauki.

Dlaczego?

Bo dziedziczenie wciąż jest – i rządzą nami mało zdolne darmozjady, które jednak mają dość rozumu, żeby do takiej dyskusji nie dopuścić.

Dziedziczenie jest jednym z głównych czynników zwiększających nierówności majątkowe. Thomas Piketty proponuje, aby wprowadzić silnie progresywne (im większy spadek, tym większy podatek) podatki od spadków. Ale dokonania Piketty'ego w sferze badania nierówności na świecie są dość powszechnie ignorowane. Dlaczego? Bo rządzący nie wiedzą, jak na to zareagować. Ich świat się zawali, jeżeli przyznają, że w wyniku nierówności nasza cywilizacja zmierza ku zagładzie. Że jesteśmy coraz bliżej dyktatury wielkich pieniędzy nad ludzkością.

PIOTR IKONOWICZ

eprasa.pl 43829d5945

Gdy przegląda się internet, wychodzi, że największym problemem Polaków jest decyzja, czy wybrać się na Malediwy, czy na Zanzibar.

Dziewczynki z zapałkami



Rys. JANUARY

Dla wyznawców Balcerowicza i Mentzena bieda była w Polsce terminem zarezerwowanym dla tych, którzy z różnych powodów nie pracują. Tyle że dziś coraz częściej dotyka ludzi zatrudnionych – i to nie tylko na śmieciówkach czy pół etatu, ale pełnoetatowych pracowników produkcji, logistyki i sieci handlowych. Tam, gdzie władza mówi o „zielonej wyspie", „dynamicznym wzroście PKB" i „rosnących wynagrodzeniach", pracownicy mówią o łamanych kręgosłupach i wypłacie, która znika w trzy dni.

Powrót pieluchy

GUS donosi, że średnia pensja w sektorze przedsiębiorstw to prawie 9000 zł brutto. Rząd chwali się, że przeciętne wynagrodzenie w gospodarce narodowej zbliża się do magicznych 10 tys. zł. Problem w tym, że dla ogromnej części pracowników – zwłaszcza fizycznych – to kwoty równie realne, co sen o wygranej w totka. Na produkcji, na kasie, przy paleciaku albo przy taśmie – tam średnia płaca nie tylko nie dogania, ale coraz bardziej odstaje od rosnących kosztów życia.

„Ludzie biją się tu o nadgodziny, bo za zwykłą pensję nie są w stanie utrzymać rodziny. Nawet ci, co pracują po 10 lat, zarabiają nieco więcej niż najniższa krajowa" – mówi pracownica Valeo w Chrzanowie. To tam rozpoczął się strajk generalny, który obejmował kolejne zakłady tej motoryzacyjnej firmy. Ich postulaty: 1 tys. zł brutto podwyżki, dodatek stażowy, dopłaty do posiłków, przestrzeganie praw pracowniczych i warunków pracy godnych XXI w. Dziś normy dzienne są tam tak wyśrubowane, że ludzie padają z nóg. „Nie można nawet usiąść, a menedżerowie cały czas nas poganiają: szybciej, szybciej. Wszyscy zasuwają jak roboty" – mówi pracownica. Przerwa na toaletę? Tylko z pytaniem i tłumaczeniem. Premia? 430 zł brutto, z czego 200 zł, tylko jeśli nie zachorujesz. Problem w tym, że w tych warunkach to niewykonalne. Związkowcy donoszą o omdleniach, kontuzjach, chorobach kręgosłupa.

Na hali nie da się wytrzymać – zwłaszcza latem. Wysoka temperatura, brak wentylacji, przeciekający dach. „Związkowcy chodzą z termometrem po hali, by udowodnić, że jest gorąco. Ludzie mdleją przy maszynach" – mówią pracownicy, wymieniając kolejne zarzuty: kontrola wyjść do toalety, stałe presje, „kierownicze stoliki" obserwujące pracowników. Praca zmianowa, system czterobrygadowy, stałe nadgodziny – wszystko to składa się na obraz zakładu, w którym praca jest – ale pieniędzy z wypłaty nie wystarcza na sensowne życie.

Zarząd Valeo odpowiada, że wszystko jest zgodne z kodeksem pracy, a firma przestrzega praw pracowniczych. Zapewnia też, że była podwyżka. Problem w tym, że zatrudnieni – jak sami mówili – praktycznie jej nie odczuli. „Jak nie masz chorobowego i nie zrobisz błędu przy taśmie, to może dostaniesz premię. Ale to się nie zdarza" – mówią. „Traktują nas jak niewolników" – dodają.

Równolegle do buntu w fabryce toczy się inna wojna – w sieciach handlowych. W Kauflandzie związkowcy zapowiadają strajk ostrzegawczy, jeśli nie dostaną 1200 zł brutto podwyżki. Ale nie chodzi tylko o pieniądze. „Warunki zatrudnienia są tak złe, że nikt nie chce tu pracować. A ci, którzy zostali, pracują za trzech. Problemy z kręgosłupem, psychiatra, wypalenie zawodowe – to codzienność" – mówią pracownicy. Wspominają o przypadkach ludzi, którzy leczą się z depresji, nie mogą spać, nie mają siły wstać rano z łóżka. A mimo to przychodzą na kolejne zmiany, by nie stracić pracy.

Oficjalnie sieć deklaruje, że płace kasjerów sięgają 6000 zł brutto. W rzeczywistości jednak, po odliczeniu składek i podatków, realnie na rękę trafia ok. 4550 zł. Ci, którzy zarabiają 5100 brutto – dostają ok. 3900 zł netto. A w mniejszych miastach, jak Ostróda, praca na trzy czwarte etatu za 3825 zł brutto oznacza wypłatę rzędu 3000 zł netto.

Gradacja wykluczeń

Dramat pracujących ubogich w Polsce trwa w najlepsze. Statystyki GUS mogą opowiadać bajki o średniej krajowej przekraczającej 8000 zł, ale w realnym świecie liczby te mają się nijak do harówki na taśmie, za ladą i w systemie zmianowym. Nie uwzględniają samotnych matek z wypłatą 3000 zł, które ledwo wiążą koniec z końcem. Nie pokazują robotników z Valeo, którzy nie chorują tylko dlatego, że boją się stracić premię. I nie oddają wściekłości tysięcy ludzi, którzy nie chcą już milczeć.

Oficjalna narracja głosi, że Polska rośnie w siłę, a ludziom żyje się dostatniej. Tymczasem skrajne ubóstwo dotyka 5,2 proc. populacji, ale tylko połowa z nich ma szansę, by państwo w ogóle ich dostrzegło. Reszta nie łapie się nawet na pomoc społeczną. Żyją poniżej minimum egzystencji – bez prawa do zasiłku, do ulgi, do jakiejkolwiek realnej tarczy ochronnej. Około 975 tys. ludzi nie kwalifikuje się do systemowej pomocy, mimo że nie mają co włożyć do garnka.

Ale za to mają opowieści. O 800 plus, o „Aktywnym Rodzicu", o gospodarce na sterydach i godnej emeryturze. Te opowieści kupują ci, którzy nie mają pojęcia, że święta i urodziny to dla wielu luksus przekraczający możliwości. „Dzieci się nauczyły, że nie robimy sobie prezentów" – mówi mediom pani Justyna. Bo wyjście poza przetrwanie to ekstrawagancja, na którą nie ma miejsca w domowym budżecie. „My już od lat nie obchodzimy świąt ani urodzin. To też duży koszt, jesteśmy tylko we trójkę" – dodaje. To nie tylko kwestia finansów – to również wybór między wstydem a niemożnością.

Polska bieda się profesjonalizuje. Tworzy własne struktury, własne mapy – z zaznaczeniem regionów transportowego wykluczenia i stref „przymusowej motoryzacji". Bo kiedy na wsi nie ma autobusu, a najbliższy lekarz to podróż za 30 zł w jedną stronę, to bieda nie tylko zostaje, ale wręcz kwitnie. 38 proc. ludzi z terenów komunikacyjnie wykluczonych rezygnuje z pracy, 71 proc. ogranicza wizyty u lekarzy specjalistów, a 11 proc. nie leczy się w ogóle.

Wykluczenie komunikacyjne to życie w getcie bez krat, gdzie najprostsze codzienne sprawy wymagają logistyki godnej wyjazdu zagranicznego. Gdy nie można dojechać do lekarza, do pracy, do urzędu, do szkoły – nie ma mowy o równych szansach. Osoby z takich terenów często są zmuszone do zakupu starych, awaryjnych samochodów. I wtedy połowę miesięcznego budżetu pochłaniają paliwo, ubezpieczenie, naprawy. Wybór między obiadem a przeglądem technicznym to codzienność setek tysięcy rodzin.

Brak transportu to też samotność. Starsze osoby nie mogą pojechać do rodziny. Młodzi – do kina, na koncert, na randkę. Dla dzieci i młodzieży to podcięcie skrzydeł. Brak komunikacji to ograniczony wybór szkoły, brak zajęć dodatkowych, brak rówieśniczych relacji. Według badań w Polsce aż 2,5 mln osób dotyka ubóstwo transportowe, a 8 mln mieszka na terenach z ograniczonym dostępem do komunikacji.

A za progiem już czai się kolejne zło. ETS2, czyli nowa europejska opłata klimatyczna, podniesie ceny ogrzewania i transportu. Nawet przy inwestycjach w termomodernizację ubóstwo energetyczne wzrośnie – z 11 do 12,5 proc. i nie drgnie w dół. A to oznacza, że więcej ludzi wybierze ciepłą zupę zamiast ciepłego mieszkania. W 2023 r. skrajne ubóstwo żywnościowe dotyczyło już 12 proc. populacji. Wśród małżeństw z trojgiem dzieci – 70 proc. Wśród gospodarstw domowych żyjących ze świadczeń społecznych – 60 proc.

Mimo wsparcia socjalnego bezpieczeństwo żywnościowe wielu rodzin pozostaje iluzją. Blisko milion dzieci żyje w ubogich lub wykluczonych gospodarstwach domowych. Dzieci jedzą – rodzice nie.

Niegodne świadczenia

Bieda ma też twarz kobiety. Starszej, często samotnej. Reforma emerytalna, która miała zrównoważyć system, wypluła tysiące kobiet z emeryturą tak niską, że nie da się za nią przeżyć. Aż 64,7 proc. kobiet z prawem do świadczenia pobiera emerytury niższe od najniższej. Groszowe emerytury – te do 10 zł – pobiera pół tysiąca osób. W marcu wypłacono też dwie dwugroszowe emerytury. ZUS nie widzi w tym nic dziwnego.

Najniższa emerytura wynosi 1878,91 zł brutto, czyli niecałe 1500 zł na rękę. Tymczasem pół miliona osób pobiera emerytury niższe niż ta kwota. Przeciętna wysokość tych świadczeń to ok. 1200 zł.

Nie dziwi też, że ponad 3,1 mln osób pracuje za minimalne wynagrodzenie. Ta liczba podwoiła się w ciągu trzech lat. Liberałowie krzyczą, że to zbyt dużo, że płaca minimalna zagraża gospodarce. Ale nie dodają, że 3 mln pracujących nie mogą pozwolić sobie na chorobę, wakacje czy własne mieszkanie. Nie dostają więcej nie dlatego, że są leniwi, lecz dlatego, że rynek nie ceni pracy, tylko jej brak.

Renty? 1335 zł za częściową niezdolność do pracy. 1780 zł za całkowitą. W sam raz, żeby w pojedynkę przeżyć tydzień. Może dwa, jeśli ktoś odpuści leki. W Polsce rentę z tytułu niezdolności do pracy pobierają ponad 544 tys. osób.

Państwo odpowiada, że pomaga. Ale zasiłek rodzinny to 95 zł dla przedszkolaka. 124 zł dla ucznia. 135 zł dla studenta. Tyle samo od 2016 r. Bo przecież jest 800 plus. Bo przecież dzieci mają być aktywne, rodzice – zaradni, a biedni – wdzięczni.

Tymczasem najubożsi wstydzą się prosić. Bo bieda ma wymiar wstydu. Godności. To dlatego ludzie się zamykają, znikają z radarów, nie pokazują na ulicy. To nie jest wina tych, co nie zarabiają. To wina tych, co nie chcą widzieć. A widzieć trzeba. Bo jeśli ponad milion dzieci żyje w ubóstwie – to nie jest margines. To system. I to taki, który trzeba zdemontować, zanim zdążymy go jeszcze bardziej upudrować. Ale najpierw trzeba go zauważyć.

ADRIAN SIECZKOWSKI

Kolęda

Świąteczne rozmyślania o cenach

W społeczeństwie, które porzuciło „wartości", jedynymi powszechnie uznawanymi wartościami są ceny. Nie dobro. Nie prawda. Nie Bóg. Nie konstytucja. Ceny. To one dotyczą wszystkich – bez względu na poglądy polityczne, religijne czy seksualne.

Przy cenie wszyscy jesteśmy równi. Zauważyłem to podczas świątecznych zakupów. Dziecko stoi przed półką w Empiku i mówi: „Może kupimy mamie książkę?". „Dobrze – odpowiada ojciec – ale którą?". „Tę za trzydzieści pięć złotych". I w tym momencie wszystko staje się jasne: dla dziecka nie ma znaczenia, o czym jest książka, kto ją napisał ani jaki ma tytuł. Znaczenie ma wyłącznie cena. Treść przegrała z metką. Yhm – skoro tak, skoro ceny są jedynymi wartościami, które wszyscy uznają, to może zamiast opłatka powinniśmy łamać się paragonem!?

Teoretycy kapitalizmu powiedzą, że obecne ceny – w przeciwieństwie do tych z czasów PRL – są sprawiedliwe, bo kształtowane przez prawa popytu i podaży, przez słynną „niewidzialną rękę wolnego rynku". Niby prawda.

Przypomnijmy tylko, że w PRL ceny kształtowała Państwowa Komisja Cen. Oooo! Wtedy był porządek: ceny urzędowe, regulowane, maksymalne, minimalne, hurtowe, detaliczne, zbytu, normatywne, kalkulacyjne, umowne, preferencyjne, dotowane, skupu, rozliczeniowe i administracyjne. Cenologia stosowana była poważnym instrumentem praktyki społecznej – czyli po prostu narzędziem władzy. Stwarzało to wrażenie, że władza ma wpływ na ceny i że ponosi za nie odpowiedzialność.

Symbolem upadku tamtego myślenia była słynna scena, gdy robotnica zapytała Władysława Gomułkę na spotkaniu w zakładzie pracy, czy wie, ile kosztują pończochy. Towarzysz Gomułka w nylonach nie chodził, więc nie wiedział – co według anegdoty miało zapoczątkować jego upadek. Zresztą, gdyby wiedział, mógłby wiedzieć za wiele, co również źle by się dla niego skończyło. Tak czy inaczej – upadł. Dziś nikt nie pyta premiera o ceny czegokolwiek, bo powszechnie uważa się, że to nie jego sprawa. To oczywiście nieprawda.

Państwo ma potężny wpływ na ceny, choćby przez podatki. Problem w tym, że około 40 proc. Polaków nie wie, że w ogóle płaci podatki. A skoro nie wiedzą, to władza ma spokój.

Ale poważnie: państwo ustala niemal wszystko, z czego ceny się składają. VAT, akcyza, PIT, CIT, cła, dopłaty, ulgi, regulacje, opłaty parapodatkowe oraz kilkadziesiąt podatków pośrednich, które mają wpływ na to, ile kosztuje pietruszka. Wliczając w to podatek od deszczu i śniegu, czyli opłatę za odprowadzanie wód opadowych, która z grubsza sprowadza się do tego, że nawet pogoda jest pod fiskalnym nadzorem. Cena nie jest więc zjawiskiem naturalnym. Nie wyrasta jak marchewka, nie spada jak grad.

W takiej, wydawałoby się, naukowej i szczelnej praktyce należałoby sądzić, że wszystko znajduje się pod kontrolą: że premier śledzi słupki, minister finansów pilnuje proporcji, a nikt ani nie może, ani nie chce łupić konsumenta. Rynek jest przecież racjonalny, konkurencja czujna, a „niewidzialna ręka" sprawiedliwa i bezstronna.

eprasa.pl 43829d5945

Ideologia pożarła rozum

Jak solidaruchy zniszczyły naukę

Kiedy komuna dogorywała, solidaruchy patrzyły z zazdrością na Zachód, myśląc, że przecież Polak potrafi, więc można tak poukładać sprawy, aby u nas było podobnie. W nauce oznaczało to, że czas dać najlepszym premię za doskonałość (cokolwiek by ona oznaczała), a resztę utrzymywać na kroplówce, aby nie zdechła z głodu.

Najpierw drobna uwaga natury personalnej. Zrodzony przed laty system nauki w Polsce uważam za dysfunkcyjny, a chwilami idiotyczny, czemu nieraz dawałam publicznie wyraz. Ale nie mam wpływu na niego, więc – zgodnie z zasadą „każdy orze jak może" – jestem wykładowczynią z wysoko pozycjonowanej w tym chorym systemie politologii, a sama znajduję się zawsze w szpicy najlepiej ocenianych uczonych w instytucie. Nie krytykuję systemu z powodu osobistego nieudacznictwa, ale krytykuję za marnowanie mojej energii, czasu i zdolności twórczych.

Liczący 115 stron raport „Narodziny dyskursu doskonałości naukowej z ducha terapii szokowej" autorstwa Jakuba Krzeskiego, Olgi Łojewskiej i Krystiana Szadkowskiego to wiwisekcja sposobu, w jaki reformatorzy solidarnościowi rozłożyli na łopatki polską naukę, kierując się ideologią wolnorynkową i zasadą „zwycięzca bierze wszystko". Po lekturze raportu widać wyraźnie, jak działania sprzed dekad wpływają na żenujący poziom dzisiejszej nauki w Polsce.

Wszyscy jesteśmy doskonali

W 1991 r. stworzono opanowany przez antykomunistów Komitet Badań Naukowych (KBN), którego przewodniczący prof. Witold Karczewski zapewniał: „Zaryzykuję twierdzenie, że jeśli reformy zostaną zrealizowane mądrze, to dobrym uczonym będzie lepiej". Celem KBN-u było „wprowadzenie do nauki polskiej właściwie pojętej merytoryczności. Oznacza to wzmacnianie ludzi i zespołów najlepszych i stopniowe wycofywanie zespołów słabych".

Innymi słowy, spełniłoby się marzenie darwinisty społecznego z XIX w. Herberta Spencera o przetrwaniu najsilniejszych i – co jest drugą stroną medalu, o której trzeba pamiętać – zagładzie najsłabszych.

Solidaruchy wzięły na cel PAN, testując, czy da się w ogóle zniszczyć tę instytucję, a przynajmniej osłabić jej znaczenie, głodząc finansowo. Jak podkreśla dr Krzeski w rozmowie z „Gazetą Wyborczą": „Horyzont myślowy ówczesnych reformatorów zakładał udany koniec transformacji ustrojowej. Kiedy więc podejmowali bolesne decyzje, to w ich wyobrażeniu była to część trudnej, ale prostej drogi do normalizacji. Selektywna katastrofa złej nauki miała przysłużyć się dobrobytowi nauki dobrej. Z perspektywy czasu wiemy, że w nauce nigdy do normalizacji nie doszło. A to, co miało być wyjątkiem, stało się nową normą. Selektywna katastrofa stała się powszechną katastrofą, uderzając nawet w te instytucje, które miały ucieleśniać ducha reform".

Co ciekawe, choć członkowie KBN wywodzili się ze środowiska naukowego, to na jego czele stał polityk w randze ministra. Naukowcy zyskali ogromną autonomię w wypracowaniu kryteriów podziału środków. Ale nie mieli wpływu na to, że owych środków jest dramatycznie mało. A jak wiadomo, herbata nie staje się słodka od mieszania, lecz od cukru. I tu pojawia się kwestia dyskursu o doskonałości.

Skoro kasy jest niewiele, trzeba ją podzielić tak, aby dać co nieco wszystkim. A skoro przyjęło się zasadę, by nagradzać doskonałość i karać mierność, uzasadnia się to rzekomo w kategoriach merytorycznych. Jak wyjaśniał w mediach dr hab. Szadkowski: „Kiedy pieniędzy jest za mało, staramy się je rozsmarować, by przetrwać. Dla pozorów stawiamy pieczęć doskonałości. A potem zawsze pojawia się kolejny niezbywalny element tego powtarzalnego cyklu – dyskurs doskonałości naukowej mówi »basta«, tak nie może być. Musimy zaostrzyć kryteria, odciąć przynajmniej połowę. Tak zrobiono wtedy i pewnie tak zrobimy za chwilę, bo pieniędzy znowu jest za mało".

Trudno oprzeć się wrażeniu, że polscy politycy – najpierw solidaruchy, ale postkomuna trzymała się tego sposobu myślenia i działania jak pijany płotu – zakochali się w Harpagonie, głównym bohaterze „Skąpca" Moliera, podkreślającym, że biedni mogą robić pyszne obiady za malutkie pieniądze. I polscy naukowcy za coraz mniejsze pieniądze publikują coraz więcej, także w uznanych czasopismach i wydawnictwach.

I nic z tego nie wynika dla rodzimej gospodarki, a jeszcze mniej – dla społeczeństwa.

Punktoza to chujoza

Właśnie kończy się kolejny okres parametryzacji jednostek naukowych w ramach dyscyplin. Kraj opanowała punktoza, lista ministerialnych czasopism i wydawnictw decyduje, gdzie ludzie muszą publikować. Z kasy państwa płyną grube miliony do tzw. czasopism drapieżnych, czyli mających sporo punktów, w których szybko – za odpowiednią opłatą – wezmą każde gówno z pocałowaniem ręki.

Automatyzacja oceny polskiej nauki sięga połowy lat 90., gdy przewodniczącym KBN-u był Aleksander Łuczak z PSL. Wpadł on na typowo neoliberalny i technokratyczny pomysł: to nie państwo będzie decydować o priorytetach w nauce, finansowanie ma zależeć od urobku uczonych wyrażonego liczbowo. W skrócie: jak się czymś badacze zajmują, publikują i są cytowani, to znaczy, że to jest dobre i należy im się trochę kasy.

Prof. Tadeusz Klementewicz z UW w tekście opublikowanym parę lat temu na łamach czasopisma naukowego „Studia Krytyczne" przytacza słowa Alberta Einsteina: „Nie wszystko, co się liczy, daje się zmierzyć i nie wszystko, co daje się zmierzyć, się liczy".

Polscy uczeni stali się niewolnikami wielkich korporacji wydawniczych; promuje się wąskie specjalizacje, a nie szersze spojrzenie na świat, mogące – nie daj Boże! – podważyć istniejący system.

Jak podkreśla Klementewicz: „spychane są na margines te dyscypliny, które odpowiadają za kształcenie postaw krytycznych oraz rozwój politycznej świadomości obywateli; w sytuacji gdy zarazem postępuje degradacja dyplomów, wiedzy nieinstrumentalnej, niepodporządkowanej bezpośrednio potrzebom biznesu i kariery w korporacji. Potrzebom biznesu najlepiej służy ekonomizacja egzystencji właściciela siły roboczej, kiedy obejmuje większość sfer jego życia, z życiem rodzinnym, czasem wolnym włącznie. Ideałem jest tu człowiek – przedsiębiorca samego siebie, któremu dynamikę zapewnia egocentryzm, chciwość i konsumpcjonizm".

Prawda jest banalna: jeśli państwo skapituluje przed rynkiem i machnie ręką na badania i rozwój oraz szkolnictwo wyższe, w wyścigu technologicznym skazane zostanie na dostarczanie taniej i dość dobrze wykształconej siły roboczej. Jeśli państwo nie wyznaczy priorytetów, nie zdecyduje, co jest ważne dla społeczeństwa, jest skazane na los, który prawie dwa wieki temu wieszczył Polsce Słowacki: „Pawiem narodów byłaś i papugą; A teraz jesteś służebnicą cudzą".

ZUZ



Rys. JANUARY

o paragonie

Problem polega na tym, że ta wizja działa wyłącznie w podręcznikach. Intuicja – i codzienne doświadczenie – podpowiadają coś zupełnie innego. Z każdej strony ktoś nas podjada, a wzajemne relacje konfudują. Zdają się tracić jakikolwiek sens.



Rys. TOMASZ WIATER

Zacznijmy od żarcia. Ongiś stówka wystarczała, dziś zakupy w Biedronce potrafią powalić zdrowy rozsądek. Tygodniowy koszyk bywa droższy niż para butów, a jeszcze nie tak dawno to zakup adidasów był wyzwaniem dla portfela i wymagał planowania z wyprzedzeniem.

Dziś musimy się zastanawiać nad wkładem do rosołu i parówkami na śniadanie. Co więcej, ziemniaki, jabłka i biały ser są dotowane przez państwo lub Unię, a adidasy nie. Skąd Unia bierze pieniądze na dotacje? Między innymi od producentów adidasów, którzy w ten sposób dokładają się do drogiej kiełbasy. Gdyby producenci adidasów nie dotowali rzeźników, kiełbasa byłaby jeszcze droższa, a adidasy jeszcze tańsze. W skrajnych przypadkach ludzie zaczęliby jeść buty.

Kolejny paradoks, który już coś wyjaśnia, to pralka albo lodówka. Ongiś cena takiego dobra oznaczała wydatek wielomiesięczny, a czasem wręcz wieloletni. Sam pamiętam, jak brałem koleżeński kredyt na komputer do pracy. Dziś pralka automatyczna kosztuje 1200–2000 zł, lodówka 1500–3000 zł, a porządny poleasingowy laptop z drugiej ręki – o niebo lepszy niż ten drogi, nowy sprzed lat – kupuję za cenę trzech tankowań.

Ale spróbujcie teraz wezwać fachowca do wymiany węża w tej pralce albo do naprawy lodówki. W pierwszym przypadku zapłacicie tak, jakby ta uszczelka była ze złota, w drugim w najlepszym razie usłyszycie, że naprawa jest „nieopłacalna" i lepiej kupić nową. A jeśli tego nie usłyszycie, to i tak się o tym przekonacie, gdy fachowiec przedstawi rachunek.

I tu dochodzimy do sedna. Dobra użytkowe (meble, sprzęt, odzież) od 20 lat tanieją albo udają, że drożeją. Globalny produkt – obudowany regulacjami, certyfikatami i armią prawników – porusza się cenowo jak czołg na defiladzie: wolno, równo i pod kontrolą. Tymczasem praca lokalna zdrożała w sposób gwałtowny, chaotyczny i całkowicie niepowiązany z rzeczywistością. I właśnie tu łapiemy tę rękę, która sięga nam do portfela. Nie jest niewidzialna. Jest bardzo widzialna. Ma imię, nazwisko i NIP.

To ręce naszych sąsiadów, wujków, mechaników samochodowych, hydraulików z szyldem na płocie i fryzjerów, którym zaczęło się wydawać, że skoro wszystko drożeje, to oni też powinni – najlepiej do poziomu ministra.

Prawda jest brutalna: za drożyznę, obok Putina i czynników zewnętrznych, coraz częściej odpowiadają zwykli ludzie, którzy ceny swoich usług biorą z sufitu, z modlitwy albo z porannej rozmowy z żoną.

To nie minister finansów ustala, ile kosztuje strzyżenie, kastracja kota czy wymiana kranu. To robi pan Krzysiek z działalnością gospodarczą, który właśnie odkrył, że „rynek wytrzyma".

Chciwość nie zawsze nosi garnitur korporacji. Czasem ma robocze spodnie, paragon z terminala i spojrzenie mówiące: „jak nie teraz, to kiedy?". I to właśnie ta ręka – swojska, znajoma i bez rękawiczek – sięga dziś do portfela najgłębiej.

Dość tego narzekania! Ostatnio dowiedzieliśmy się, że Polska to już 20. gospodarka świata, „tygrys Europy". No tak. Świat zmienił się nie do poznania: kiedyś brakowało towarów, dziś brakuje czasu, żeby na nie zarobić. Dolar był 10 lat temu po cztery złote, dziś jest po trzy sześćdziesiąt. Zwykły elektryk zarabia jak Blake Carrington. Co więcej, nie trzeba już jeździć na zbiór szparagów do Szwaba, bo to się nie opłaca. Znajomy, który wrócił z Portugalii, mówi: „Polska to drogi i bogaty kraj". Dolar potaniał, a my zarabiamy w euro tyle co Iberyjczycy.

Zatem wreszcie dogoniliśmy Zachód, ale jakoś tego nie dostrzegamy. Nie rozumiem dlaczego. Może to wynik stresu pourazowego, kiedy trzeba zapłacić dentyście za ekstrakcję zęba mądrości. Ci są naprawdę bezlitośni.

ROBERT JARUGA

eprasa.pl 43829d5945

WIEŚCI GMINNE i INNE

W Tarnowskich Górach otwarto nowy sklep sieci Lidl w Parku Handlowym przy ul. Zagórskiej. Już przed godz. 6.00 ustawiła się długa kolejka, a po otwarciu doszło do chaosu i przepychanek, uwiecznionych na nagraniach krążących w sieci. Największym „hitem" okazały się mopy marki Vileda. Według lokalnych obserwatorów trudno uwierzyć, że akurat Tarnowskie Góry nagle poczuły pilną potrzebę masowego mopowania, dlatego całość zaczęto odczytywać jako zręczną, ukartowaną akcję reklamową. Podstęp się udał: „tarnowska bitwa o mopy" stała się facebookowym wiralem, a Vileda dostała reklamę, o jakiej marketerzy śnią po nocach.

Inspekcja Jakości Handlowej Artykułów Rolno-Spożywczych skontrolowała 109 lokali z kebabami w całej Polsce. Nieprawidłowości wykryto w 89, czyli w 81,7 proc. przypadków. Najczęściej chodziło o skład mięsa – kebaby „wołowe", „baranie" lub „jagnięce" okazywały się kurami. W blisko 75 proc. lokali brakowało rzetelnych informacji o składzie i alergenach. Inspekcja zapowiada dalsze kontrole i kary finansowe. Kto oszukuje? Rozumiemy, że dawne historyczne nieporozumienia potrafią ciągnąć się latami, ale od pewnego niefortunnego spotkania husarii z półksiężycem minęły już 342 lata! Wystarczy – dziś wystarczy po prostu uczciwie napisać, co jest w kebabie.

Zapaliła się turbina wiatrowa przy drodze wojewódzkiej nr 111, między Koniewem a Skoszewem (woj. zachodniopomorskie). Według relacji mieszkańców pożar poprzedził głośny huk. Na miejsce skierowano kilka zastępów straży pożarnej, które zabezpieczyły teren i – ze względu na wysokość oraz brak możliwości skutecznego gaszenia – ograniczyły działania do „kontrolowania wypalania konstrukcji". W trakcie pożaru do atmosfery emitowane były znaczne ilości toksycznych i rakotwórczych formaldehydów, fenoli, chlorowodorów, benzenów, toluenu, a także tlenki azotu oraz dwutlenek siarki. Tak w praktyce wygląda ta wasza „bezemisyjna" zielona energia.

W warszawskim zoo urodziło się pięć kangurów rudych, co faktycznie zdarza się rzadko. W stadzie są trzy samce, jedna samica oraz jedno młode o jeszcze nieustalonej płci. Trójka starszych już skacze po wybiegu, dwójka młodszych wciąż korzysta z matek w wersji „torba premium". Opiekunowie mówią o dużym sukcesie hodowlanym, choć – bądźmy uczciwi – udział człowieka w prokreacji kangurów jest raczej symboliczny. No chyba że tym razem było inaczej, ale wtedy akurat nie ma się czym chwalić.

Tatrzański Park Narodowy ogłosił, że od 1 grudnia do 15 maja zamyka trzy popularne szlaki: niebieski ze Świstówki Roztockiej do Morskiego Oka, zielony z Doliny Tomanowej na Chudą Przełączkę oraz fragment czerwonego na Giewont. Oficjalny powód? Troska o śpiące zimą niedźwiedzie, świstaki, nietoperze i jeże. Problem w tym, że cała ta fauna śpi jak zabita, nikomu nie wadzi i żadnych turystów nie zaczepia. Zamykanie szlaków właśnie teraz wygląda więc na kolejny góralski paradoks. Zdrowy rozsądek podpowiada coś dokładnie odwrotnego: Tatry należałoby zamykać od maja do grudnia, kiedy zwierzęta są obudzone, głodne i realnie rozważają człowieka jako przekąskę.

Policja w Łodzi ukarała 19-letniego kierowcę mandatem 50 zł i jednym punktem karnym za jazdę 51 km/h w obszarze zabudowanym. Pomiar wykonano ręcznym radarem TruCam II, a kierowca mandat przyjął – i tu popełnił największe wykroczenie. Zamiast grzecznie podpisywać papierek, wypada zapytać funkcjonariuszy o homologację urządzenia i dopuszczalny błąd pomiaru. To moment, w którym wielu policjantów nagle przypomina sobie, że mają jeszcze inne interwencje. Czasem jednak nie odpuszczą i – skoro nie prędkość – to zabraknie ci gaśnicy, trójkąta albo czegoś, co powinno być, ale nie ma. Kodeks drogowy zna wiele dróg. Wszystkie prowadzą do mandatu.

Funkcjonariusze Krajowej Administracji Skarbowej zatrzymali na drodze ekspresowej S3 ciężarówkę prowadzoną przez obywatela Ukrainy. Pod niebieską folią w naczepie znaleźli ponad 6 mln sztuk papierosów. Kierowca tłumaczył, że to „na własne potrzeby", ale KAS uznała, że musiałby palić do końca kilku kolejnych wcieleń. W efekcie bohater usłyszał zarzuty paserstwa akcyzowego, a prokuratura zastosowała dozór i poręczenie majątkowe 30 tys. zł. Kaucja została wpłacona.

W Szkole Podstawowej nr 5 w Siedlcach ewakuowano 537 uczniów i pracowników po tym, jak kilka osób źle się poczuło – najpewniej po rozpyleniu nieznanej substancji. Troje dzieci i jedna nauczycielka skarżyli się na dolegliwości, ale obyło się bez hospitalizacji. Na miejsce przyjechali strażacy, w tym chemiczno-ekologiczne specgrupy z Siedlec i Warszawy, czyli sytuacja została potraktowana poważnie. Co to było – nie wiadomo. Kto to zrobił – też oficjalnie nie wiadomo, choć wszyscy podejrzewają… no wiadomo kogo.

Wojsko Polskie podpisało umowę z Agencją Uzbrojenia i Grupą WB na dostawę 360 uderzeniowych dronów Warmate o wartości ok. 100 mln zł. Sprzęt ma trafić do armii do końca roku. Warmate to tzw. amunicja krążąca, czyli dron do bezpośredniego ataku. Do niszczenia lekkich pojazdów i zabijania znajdujących się w nich ludzi. Cieszymy się, oczywiście, że się cieszymy. Z tym drobnym zastrzeżeniem, że jeden Warmate kosztuje ok. 278 tys. zł, czyli mniej więcej tyle, ile nowy Mercedes klasy C w wersji podstawowej albo bardzo dobrze wyposażona klasa A. Różnica polega na tym, że Mercedes przynajmniej ma klimatyzację i radio, a Warmate – w gruncie rzeczy – jest nieco bardziej wyrafinowanym modelem motoszybowca sterowanym radiem, tyle że z głowicą bojową zamiast kamerki GoPro. I tu dochodzimy do zagadki handlowej świata zbrojeń: latarka – 10 dol. Ta sama latarka z napisem „US ARMY" – 110 dol. Ta nadwyżka to kwestia narracji, patriotyzmu i odpowiedniego logo.

Prokuratura Regionalna w Białymstoku skierowała do sądu akt oskarżenia w sprawie piramidy finansowej Galleri New Form, która obiecywała zyski z inwestycji w dzieła sztuki. Ponad 1700 inwestorów straciło łącznie ponad 500 mln zł, 3,6 mln euro i 44,5 tys. dolarów. Mechanizm był prosty: klienci „kupowali" czasowe prawa do obrazów, a galeria obiecywała odkup z wysokim zyskiem. Zyski te wypłacano jednak z wpłat nowych klientów. Oskarżono ponad 70 osób, a akt oskarżenia liczy 5,5 tys. stron. To oznacza, że sąd będzie go czytał non stop przez blisko 12 dni. Czy oskarżeni nie zapomną do tego czasu, o co są oskarżeni?



W miejscowości Ropa w woj. małopolskim doszło do zabójstwa 80-letniej kobiety. Według policji została ona nielegalnie zastrzelona z bliskiej odległości przez swojego 92-letniego brata, Tadeusza S., podczas kłótni, której świadkiem była jego córka. Sąsiedzi mówią o wieloletnich konfliktach o majątek. Sprawca użył też nielegalnej dubeltówki. W chwili zatrzymania był trzeźwy. Przebywa w areszcie i czeka na proces. Wyrok – niezależnie od jego wysokości – i tak będzie obowiązywał do końca życia, a być może nawet dzień dłużej.

W Maszewie (woj. zachodniopomorskie) zniknął obelisk upamiętniający wejście Armii Czerwonej w 1945 r. Na wniosek burmistrza IPN praktycznie zrealizował ustawę dekomunizacyjną. To nie tylko demontaż pomnika, ale i naplucie na groby 650 tys. radzieckich żołnierzy, którzy krwią zapłacili za wyzwolenie tych ziem spod hitlerowskiego jarzma, z którym Armia Krajowa nie dałaby sobie rady.

W Częstochowie atmosfera gęstnieje. Przed głosowaniem nad uchwałą o poszerzeniu granic miasta radny KO Marcin Korzeniec został zastraszony. W nocy ktoś rozsypał przed jego domem gwoździe i zagroził mu krzywdą, jeśli nie zagłosuje przeciwko uchwale. O co ta gra? O 400 hektarów gminy Poczesna, na których znajduje się strategiczne wysypisko śmieci w Sobuczynie. Częstochowa chce przejąć ten „skarb", a Poczesna broni się, jak może. Metody może mniej wyrafinowane niż w 1939 r., ale cel ten sam: powstrzymanie ekspansji za wszelką cenę.

Polska samorządność święci triumfy. Trzeci kwartał 2025 r. przyniósł rekordową nadwyżkę budżetową w wysokości 42,7 mld zł. To najlepszy wynik w historii na tym etapie roku. Dochody samorządów wzrosły o 14,2 proc. w porównaniu do 2024 r., osiągając 361,3 mld zł. Wydatki są pod kontrolą (318,6 mld), a zadłużenie utrzymuje się na bezpiecznym poziomie (107,99 mld). Mimo pierwotnych obaw o deficyt samorządy radzą sobie znakomicie.

Chełmża udowadnia, że pieniądze to nie wszystko. Mimo uznania za najmniej zamożne miasto w województwie kujawsko-pomorskim (ranking „Wspólnoty" ogólnopolskiego periodyku samorządowego analizującego finanse gmin) miasto może pochwalić się wysoką jakością życia. Ranking Algolytics i SW Research plasuje Chełmżę w czołówce regionu, co pokazuje, że nawet przy ograniczonych zasobach można stworzyć dobre warunki do zadowolenia.

RJ

PS Informacje czerpiemy z mediów lokalnych, które obiektywną prawdę traktują nie jako fakt, lecz jako jedną z dopuszczalnych wersji wydarzeń. Materiał ten może więc w pewnych szczegółach odbiegać od rzeczywistości, co jednak nie obciąża nas żadną odpowiedzialnością, ani cywilną, ani karną. Odpowiedzialność spoczywa wyłącznie na obiektywnej rzeczywistości, która – jak wiadomo – bywa wroga, chwiejna i często nieprzystająca do linii przekazu.

Strach się

A może warto znów zacząć czytać dzieciom Czerwonego Kapturka?

W Polsce są takie odcinki dróg, gdzie kierowca czuje się nie jak człowiek w cywilizowanym kraju Unii Europejskiej, lecz jak uczestnik słowiańskiego safari, na którym nie ma zwycięzców, a przegranymi bywają wszyscy – i ci za kierownicą, i ci z lasu. Jedyną władzą nad tym chaosem są zwierzęta, które wybierają moment wejścia na jezdnię. Człowiek może co najwyżej hamować, modlić się albo – jak przypomina policja – „zachować szczególną ostrożność". Państwo zaś, jak podkreślają funkcjonariusze w każdym możliwym komunikacie, „może tylko apelować".

Pogłowiem w zderzak

Według danych z monitoringu przyrodniczego liczebność łosi w Polsce wzrosła w XXI w. z poniżej 2 tys. osobników do niemal 40 tys. Jeleni w 2001 r. naliczono 92 tys., a w roku 2024 – już ok. 240 tys. Sarna jeszcze 20 lat temu liczona w 500 tys. sztuk dziś oscyluje wokół 830 tys. Rekordzista, dzik, pomiędzy rokiem 2001 a 2014 zwiększył populację trzykrotnie z nieco ponad 100 tys.

Gdy dodamy do tego nowe drogi przebiegające przez szlaki migracyjne zwierzaków, rosnącą zabudowę podmiejską i coraz mniejsze strefy buforowe między lasem a człowiekiem, otrzymamy mieszankę wybuchową.

Fauna wchodzi na jezdnię najczęściej po zmroku, kiedy wszystkim kierowcom wydaje się, że wiedzą, którędy wracają do domu. Złudzenie to potrafi rozwiać jedna sekunda i jeden cień na poboczu.

Ale w Celestynowie o godz. 11.27, niemal w południe, grupa kolarzy w aerodynamicznych kaskach jadących w zwartej formacji nagle zobaczyła przed sobą stado dzików. Wyszły nagle, tuż pod koła rowerów. Zderzenie było nieuniknione. Na miejscu zjawili się strażacy z Ochotniczej Straży Pożarnej w Celestynowie, zastępy z jednostki ratowniczo-gaśniczej Państwowej Straży Pożarnej w Otwocku, policja, ratownicy medyczni. Kolarze otrząsali się jeszcze długo. Jednego z nich ratownicy przebadali, ale do szpitala nie trafił. Zastanawiano się głośno, czy dziki wyszły całe, bo oddaliły się w popłochu, jakby nic się nie stało.

Kilka dni później w Lesznie pod Warszawą, na ul. Warszawskiej po zmroku jeleń postanowił przeciąć jezdnię w momencie, gdy nadjeżdżał autobus linii 719. Kierowca nie miał najmniejszych szans. Zwierzę zostało uderzone, a w sekundę później potrącił je jeszcze samochód osobowy jadący tuż za autobusem. Zginęło na miejscu. Kierowcy i pasażerowie mieli szczęście – obyło się bez ofiar wśród ludzi.

10 listopada był szczególnym dniem dla powiatu pułtuskiego. Najpierw w Brulinach o godz. 16.20 sarna wybiegła tuż przed Mazdę i zginęła na miejscu. Kilka godzin później w Cieńszy dzik postąpił tak samo wobec kierującej Kią. Kierowcom nic się nie stało. Zwierzęta padły. Policja w komunikacie napisała: „Zbliżając się do terenów leśnych, należy zwolnić i zachować czujność. Zwierzęta często poruszają się w grupach". Ktoś w komentarzu zapytał: „A co mogą zrobić więcej?". Policja nie odpowiedziała, bo i co miała odpowiedzieć.

Zabrodzie, listopad, nieco po godz. 17.00. Fiat Ducato jedzie od miejscowości Antonie w kierunku Ostrołęki. Na DK53 wychodzi łoś. Ogromne, półtonowe zwierzę zatrzymuje samochód jak pudełko zapałek. Siła uderzenia wyrzuca łosia pod koła jadącej z naprzeciwka Toyoty. W dwie sekundy na drodze leżą dwa rozbite auta i jedno martwe zwierzę. Ludzie żyją, choć jeden kierowca ledwo oddycha z emocji.

Kocudza Druga, 12 listopada, godz. 5.00. Samochód osobowy uderza w coś, co wyskakuje z prawej strony. Kierowca widzi jedynie błysk oczu i masę, która wpada pod koła. Auto koziołkuje i ląduje na drodze serwisowej. Gdy przyjeżdżają strażacy i policja, kierowca siedzi obok auta, blady, ale przytomny. „Zwierzę wbiegło, nie miałem szans" – powtarza. Nikt mu nie przeczy. O tej porze w lasach życie dopiero się budzi.

Państwo zwierzęco opiekuńcze

Ciecierzyn, 9 listopada, godz. 22.00. Ford jedzie w stronę Lubartowa. Przed dawnym fotoradarem łoś wchodzi prosto pod koła. Kierowca nie hamuje, nie dlatego, że nie chce, ale dlatego, że nie zdąża. Zwierzę przewraca się na asfalt, sekundę potem przejeżdża po nim Kia jadąca za Fordem. Oba samochody trafiają na lawety. Łosia nie da się uratować. Droga na dwie godziny zamienia się w wahadło.

Szczebra. Październik. Godzina 19.20. Volkswagen uderza w łosia z takim impetem, że maska składa się jak kartka papieru. Kierowcę zabierają do szpitala. Policjant komentuje, jak zwykle: „Teren leśny… ograniczenie widoczności… prosimy o rozwagę".

I tak dalej, dzień po dniu, tydzień po tygodniu. Sarna pod Nową Wroną, która sprawiła, że kobieta prowadząca Peugeota gwałtownie zahamowała, zjechała na pobocze i auto przewróciło się na bok. Dziki wybiegające na drogę S7 tuż przed motocyklistką, która nie mogła już uniknąć zderzenia. Jej ciało sunęło po asfalcie, motocykl przewrócony, jeden z dzików padł, drugi uciekł. Ona trafiła do szpitala.

Sokołów Podlaski, droga wojewódzka 627, sobota, godz. 23.25. 19-letni kierowca BMW uderza w łosia, który wbiega prosto pod maskę. Auto dachuje. On ginie. Trzy dziewczyny jadące z nim

Ojcosynowie nadchodzą

Wschodnie dynastie w budowie

Czy Krzysztof Truskolaski, 35-letni poseł i baron podlaski Koalicji Obywatelskiej, zastąpi swojego tatę Tadeusza na stołku prezydenta Białegostoku?

Wszystko to być może.

Tym bardziej że stary Truskolaski zapowiedział publicznie, że to jego ostatnia kadencja – po 19 latach rządów – i albo wystartuje w 2029 r. do sejmiku, albo osiądzie trwale na samej emeryturze. Na której zresztą i jest, czerpiąc pełną chochlą zarówno z ZUS-u, jak i z budżetu miasta Białystok.

Truskolaski młodszy zaczynał swoją błyskotliwą karierę polityczną dekadę temu, od startu do sejmu pod flagą Nowoczesnej. Drugi raz też mu się poszczęściło – Donald Tusk uznał, że młody dobrze rokuje, zwłaszcza mając wsparcie taty, który każde wybory wygrywa w cuglach. Rokowanie dotyczyło stanowiska barona śp. Platformy Obywatelskiej w Białymstoku, zajmowanego wcześniej przez wiele lat przez Roberta Tyszkiewicza – kumpla Schetyny, którego Kierownik, jak wiadomo, tradycyjnie nie cierpi.

Tak też się stało: Tyszkiewicz po raz pierwszy od lat nie dostał się do sejmu, a zaraz potem Krzysztof Truskolaski został szefem struktur PO na Podlasiu. W tajnym i demokratycznym głosowaniu, gdzie wygrał z Tyszkiewiczem głosami członków partii z kół powiatowych, które obrosły emerytami i rencistami.

Na pytanie o schedę po ojcu, zadane wprost przez białostockiego dziennikarza „Gazety Wyborczej", młody Truskolaski odpowiedział wymijająco, że przed nim póki co wybory do sejmu w 2027 r. Ale też i nie powiedział kategorycznie „nie".

Ta potencjalna ciągłość dynastyczna zaniepokoiła lokalne Razem, więc na profilu partii w mediach społecznościowych ukazała się ostra ocena pracy prezydenta Białegostoku – raczej średnio przystająca do rzeczywistości, co przyznają nawet krytycy Tadeusza Truskolaskiego.

Bo być może – jak twierdzą towarzysze od Zandberga – koszty życia w Białymstoku są za wysokie, płace za niskie, i do tego wyrywać zęby na NFZ nie wszystkim się udaje. Ale miasto jest ciągle zielone, dobrze skomunikowane, a pod względem bezpieczeństwa w wielu rankingach wyprzedza Warszawę czy Kraków.

eprasa.pl 43829d5945

nie bać


Ilustr. PAWEŁ FERENC

do szpitala trafiają w stanie ciężkim. Policja znów apeluje: „Zachowajcie ostrożność, zwierzęta często pojawiają się na drodze”.

W statystykach wygląda to tak, że w zeszłym roku w 175 wypadkach z udziałem zwierząt zginęło dziewięć osób, a blisko 200 zostało rannych. W tym roku – zanim jeszcze nadeszła połowa jesieni – odnotowano 72 wypadki. Pięć osób nie żyje, 87 rannych. Do tego 14 tys. kolizji drogowych spowodowanych najechaniem na zwierzę.

Polska rośnie w zwierzęta. Lasy żyją, przyroda buzuje, populacje idą w górę tak szybko, jakby brały udział w wyścigu statystycznym. I dobrze, bo las żywy jest lepszy od martwego. Gorzej dla kierowców, którzy – chcąc nie chcąc – stają się uczestnikami tej przyrodniczej eksplozji.

W starciu auta z półtonowym łosiem nie ma zwycięzców. W starciu z sarną często też – bo choć ciało sarny jest małe, to siła uderzenia ogromna.

Taki mamy klimat. I taką mamy przyrodę. Żywą, ruchliwą, nieprzewidywalną. A przy niej – kierowców, którzy przed każdą drogą przez las powinni szeptać do siebie: „Tylko żeby nic nie wybiegło…”. Bo gdy wybiegnie – to zawsze jest już za późno.

Wilk najlepszym przyjacielem

Jeszcze 35 lat temu w polskich lasach wilka można było zobaczyć na filmie. Drapieżnik, którego populacja w latach 80. liczyła w kraju nieco ponad 100 osobników, przemykał nocami, unikając człowieka. Dziś wilków jest w Polsce kilka tysięcy. Oficjalne szacunki wahają się między niespełna 3 a ponad 4 tys. sztuk, a są i takie głosy, że może ich być jeszcze więcej, bo wilk nie zwykł się meldować. Niedźwiedzi też przybyło. Tam, gdzie w latach powojennych widywano zaledwie 10 lub kilkanaście osobników, dziś żyje ich około 150, a 90 proc. całej populacji koncentruje się na Podkarpaciu.

Miłośnicy dzikiej zwierzyny zapewniają, że „wilki boją się ludzi, nic nam nie grozi”, a tu pojawiają się zdarzenia tak jednoznaczne, że nawet najbardziej zagorzali obrońcy wilczej niewinności zaczynają chrząkać niespokojnie.

Zacznijmy od Brudzędów, małej miejscowości pod Elblągiem. Zwyczajna wieś, pastwiska, niewysokie ogrodzenia, kilka owiec, pies stróżujący. Właściciel gospodarstwa, pan Dominik, mówił spokojnie do kamery: „Tak działa wilk. O, proszę. Przekłuta krtań. Załatwione”. W tle leżały martwe owce, zagryzione w biały dzień. Kilkanaście godzin później wilki wróciły. Zjadły kolejne kotne owce, psa porwały. W Różanach kilkaset metrów dalej kamera zarejestrowała samotnego wilka krążącego jak cień przy domach, jakby sprawdzał, które podwórko jest niezabezpieczone. Rolnicy rozkładali ręce: „Boję się o dzieci, nie tylko o zwierzęta. One już nie uciekają do lasu, tylko podchodzą pod płoty”.

Kiedy ci sami rolnicy wysyłali listy do ministerstwa z prośbą o choćby częściowe zniesienie ochrony gatunkowej, odpowiedź była krótka: „Ministerstwo nie prowadzi prac legislacyjnych w kierunku zmiany reżimu ochronnego wilka”. Po czym dodano, że odstrzał jest możliwy tylko w wyjątkowych sytuacjach, po wyczerpaniu wszystkich metod odstraszania. A ponieważ wilczy apetyt na owce i psy rzadko współgra z biurokratycznym tempem państwa, rolnicy robią to, co mogą. Pilnują nocami, trzymają kije i latarki, zakładają lampy, które migają jak miniaturowe latarnie morskie na pastwisku. A wilk wraca. Czasem w dzień. Bo widać nie czyta ekologicznych broszurek.

W Nowym Żmigrodzie, w okolicach wieży widokowej drapieżniki zabiły byka ważącego 400 kg. Pani Wioletta mówiła roztrzęsiona: „Pilnujemy nocami, a wilki przyszły w dzień. To jest masakra, co się dzieje”. Jej sąsiad dodawał: „Jest tu też ludzi dużo i spaceruje. Przy takim ataku mogłoby dojść do niespodziewanych konsekwencji”.

Kiedy pracownicy Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska przyjechali oszacować straty, odnotowali trzy zagryzione owce, cielaka, byka. Kilka sztuk wilków – prawdopodobnie jedna wataha – działała tak precyzyjnie, jakby od pokoleń zajmowała się tylko tym. Hodowcy nie chcą pieniędzy. Chcą gwarancji bezpieczeństwa i choćby redukcji watach. Wójt gminy Nowy Żmigród mówił, że złoży wniosek o redukcję wilka: „Te incydenty są coraz bliżej mieszkańców i turystów”.

Strachliwy jak drapieżnik

Prozwierzątkowy aktywista w mieście powie: „To są wyjątki. Wilki boją się ludzi”. A czy wilki w Smolniku bały się człowieka? Pracownik leśny szedł przez las, droga zwyczajna, drzewo tu, drzewo tam. Nagle zobaczył cztery drapieżniki. Trzy odeszły w krzaki, czwarty zaczął iść w jego stronę, szczerząc kły i jeżąc sierść. Mężczyzna uciekł na drzewo i z wysokości wzywał pomoc. Wilk stał pod nim, jakby pilnował, by nie schodził. Dopiero ciągnik przepłoszył zwierzę. Czy to wygląda jak „boi się ludzi”? Pewnie tak, jeśli człowiek jedzie traktorem.

W gminie Janów było podobnie, tylko jeszcze gorzej. Mężczyzna spacerował z psem 200 m od domu. Dwa wilki podbiegły. Jeden wbił mu zęby w udo, drugi szarpał ubranie. Żona mówiła później, że mąż wrócił o własnych siłach, ale z ranami, które trudno zapomnieć. Lekarz weterynarii komentował: „Atak wilka na człowieka to sytuacja niepokojąca, bo wilki coraz częściej zbliżają się do ludzkich siedzib”. Tymczasem miłośnicy przyrody nadal powtarzają bajki o strachliwych wilkach. Tylko jeśli drapieżnik jest zdesperowany, głodny, broni młodych albo przyzwyczaił się do człowieka, od którego od kilku wilczych pokoleń nic złego go nie spotkało, to będzie atakował.

Zwłaszcza że krowy czy owce same proszą się o bycie obiadem. Wilk nie musi łamać nóg, śmigając za nimi jak za sarnami po lesie. I dlatego w Chrząstowie w gminie Kamień Pomorski wilki zagryzły siedem krów. Jedno z bydląt walczyło o życie z przegryzionym brzuchem. Policja przyjechała, nie zrobiła nawet zdjęć. W weterynarii poprosili o numery kolczyków.

Niedźwiedzie na szczęście po kraju się nie rozłażą. I stąd w Bieszczadach 27-latek, który podszedł zbyt blisko niedźwiedzicy z młodymi, trafił do szpitala. Kilka dni później kolejny przypadek: 36-latek zbierający poroże został dotkliwie pogryziony, miał rany na nogach i rękach, bo zasłaniał głowę, żeby nie stracić życia. Ratownicy apelowali: „Ostrożność! Niedźwiedzie o tej porze są głodne i rozdrażnione”. Miłośnicy przyrody powiedzą: „To wyjątki”. Ale jeśli wyjątek powtarza się dwa razy na tydzień, to przestaje być wyjątkiem.

Gdzie w tym wszystkim jest państwo? Nigdzie. Nie ma możliwości wysłać patroli, które będą pilnowały, żeby żaden wilk czy niedźwiedź nie wszedł na podwórko. Nie wolno nawet w ich obecności strzelać, bo mogłoby to je – zdaniem ekologów – zestresować. Drapieżniki nie mają więc najmniejszego powodu, żeby bać się ludzi. Zakazy ich płoszenia zniwelowały przekazywany przez drapieżniki z pokolenia na pokolenie strach przed człowiekiem.

A więc kiedy kolejny raz zobaczysz znak: „Uwaga, dzikie zwierzęta!”, nie traktuj go jak dekoracji. To jest ostrzeżenie. Policja nie może nic więcej. Państwo nie może nic więcej. Zostajesz ty, twoja prędkość i twoja ostrożność. A jeśli miłośnicy zwierząt nadal będą ci mówić, że wilk ucieknie, a niedźwiedź nie zaatakuje, to wyślij ich na drzewo. Na którym może doczekają ratunkowego traktora.

TADEUSZ JASIŃSKI

Ciągną też tam tłumy młodzieży na studia wielokierunkowe, nie wstydząc się przysłowiowych słoików i wschodniego zaśpiewu w głosie. Bo prezydent Truskolaski dobrze ułożył sobie przez lata relacje z mniejszością prawosławną, która ma nawet swojego wicka przy wysokim urzędzie. To Marek Masalski, były wieloletni szef Eleosu, cerkiewnej struktury charytatywnej, wspierającej od lat bezdomnych i dzieci z dysfunkcyjnych rodzin.

Kogo ma więc razemkowa lewica do zaproponowania na funkcję prezydenta stolicy Podlasia, gdy Krzysztofowi Truskolaskiemu się zechce, a Tusk pobłogosławi? Nikogo.

A do tego po czarzastej stronie im w Białymstoku rośnie. Na początku października przewodniczącym Nowej Lewicy w województwie został 31-letni prawnik z Bielska Podlaskiego, Arkadiusz Waszkiewicz, z 70-procentowym poparciem delegatów.

Jako dwudziestoparolatek startował na burmistrza rodzinnego miasta. Przegrał wtedy z człowiekiem bliskim Platformie, ale dał się poznać publicznie jako młody wilczek, bezczelny i elokwentny. Czaru po latach nie stracił, obudował go tylko doświadczeniem. Ma ojca byłego milicjanta i szefa komendy powiatowej policji, a także, w przeszłości, radnego lewicy w radzie miasta Bielsk Podlaski. Umie więc w te gry.

JMP

Jungle In The Boat

Łódź sadzi palmy

Łódź chce być jak Singapur. Nie w płacach, nie w usługach publicznych, nie w jakości życia. W roślinach. Konkretnie: w tropikalnej dżungli pod dachem, za 380 mln zł. Miasto problemów rozwiązuje problem, którego nie ma, metodą, na którą go nie stać.

Łódź to miasto, które przez dekady uczyło się, jak przetrwać po upadku przemysłu, jak zszyć rozsypaną tkankę miejską i jak udawać, że „rewitalizacja” to coś więcej niż nowa kostka i mural. Dziś zrobiła krok dalej: postanowiła przeskoczyć kilka poziomów rozwoju i od razu wejść w etap kosmopolitycznego państwa-miasta. Tyle że nie w sensie społecznym czy gospodarczym, lecz botanicznym.

W centrum Polski ma powstać tropikalna dżungla. Prawdziwa. Egzotyczna. Z roślinami z Azji Południowo-Wschodniej. Spokojnie – wszystko będzie pod dachem. Pod ogromnym dachem. Z kontrolowaną temperaturą, wilgotnością i mikroklimatem, który trzeba będzie utrzymywać przez cały rok. Czyli nie dżungla, tylko gigantyczne terrarium. Taki miejski inkubator tropików, zasilany prądem, pieniędzmi i PR-em.

Urzędnicy mówią: Singapur. Miasto-ogród. Zieleń przyszłości. Brzmi pięknie. Tylko że Singapur swoją zieloną urbanistykę budował dekadami, równolegle z rozwojem transportu publicznego, mieszkalnictwa i usług. Łódź natomiast postanowiła wybrać skrót: ominąć codzienną zieleń, parki osiedlowe, drzewa przy ulicach i przejść od razu do wersji premium – tropiki pod szkłem.

Oczywiście, można powiedzieć: to atrakcja, magnes turystyczny, nowoczesna wizytówka miasta. Tylko że jej **koszt to ok. 380 mln zł. Za te pieniądze dałoby się zazielenić pół miasta w sposób zwyczajny, nudny i skuteczny: drzewa przy ulicach, cienie na placach, chłód latem, realna poprawa jakości życia. Ale to już nie robi „wow” na wizualizacji.**

Dżungla pod dachem robi. Jest spektakularna. Egzotyczna. Instagramowa. Idealna do prezentacji w PowerPoincie. Problem w tym, że to zieleń, która nie działa na miasto. Ona nie chłodzi ulic. Nie poprawia jakości powietrza w dzielnicach. Nie daje cienia seniorom czekającym na autobus. Jest zielenią zamkniętą – oglądaną, nieużywaną. Jak obraz w muzeum.

Zwolennicy projektu mówią: edukacja, prestiż, nowoczesność. Tylko że edukację już mamy w Orientarium. Prestiż trudno mierzyć palmą pod szkłem, gdy miasto nadal ma problem z podstawową infrastrukturą. A nowoczesność polegająca na utrzymywaniu sztucznej dżungli w kraju, który coraz głośniej mówi o kryzysie energetycznym i klimatycznym, brzmi raczej jak dowcip.

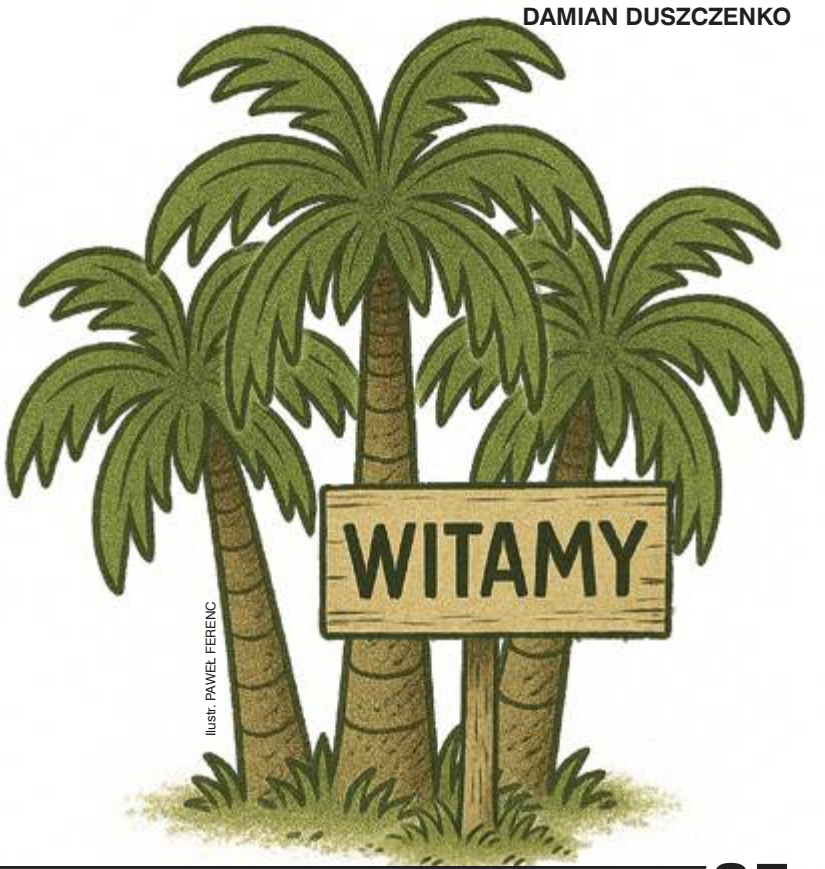
To nie jest zieleń przyszłości. To zieleń wystawowa. Zielony gadżet. Symbol myślenia, w którym miasto najpierw buduje kosztowną atrakcję, a dopiero potem zastanawia się, czy da się w nim żyć. Jakby ktoś uznał, że najlepszym lekarstwem na ból głowy jest złoty hełm – drogi, efektowny i zupełnie niepotrzebny.

Łódź ma realne problemy i realne potrzeby. Potrzebuje zieleni dostępnej, codziennej, rozlanej po całym mieście. Drzew, które rosną przy chodnikach, a nie pod kopułą. Parków, które są blisko ludzi, a nie atrakcji, do których trzeba kupić bilet.

I w tym sensie ta dżungla jest idealnym symbolem miejskiej polityki ostatnich lat: dużo wizji, dużo PR-u, mało zwykłego myślenia o codzienności. Bo łatwiej zbudować tropikalny raj pod dachem niż zadbać o to, by Łódź była po prostu zielona, chłodniejsza i bardziej znośna do życia.

Na koniec warto zapamiętać jedno: miasto to nie wystawa światowa. Nie musi imponować palmami. Wystarczy, że działa. A dżungla pod kloszem, choćby najpiękniejsza, nadal pozostaje tylko kosztowną dekoracją.

DAMIAN DUSZCZENKO



Ilustr. PAWEŁ FERENC

eprasa.pl 43829d5945

Między Marksem i Frankensteinem

I kto tu jest potworem?



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Reżyser Guillermo del Toro powinien dostać ekonomicznego Nobla za wydojenie chciwej korporacji streamingowej, którą skłonił do wyłożenia grubej kasy na „Frankensteina", rozmachem i pięknem obrazu nawiązującego do złotej epoki kina. Pozazdrościłam tym, którzy widzieli ten film w USA na dużym ekranie, a przynajmniej mają odbiorniki TV o przekątnej 100 cali lub projektory domowe w rozdzielczości 4K. Wtedy można rozkoszować oko produkcją Netflixa w luksusowych warunkach, lecz zasługuje ona na chwilę refleksji, niemającej nic wspólnego z jakością techniczną obrazu, która jest tylko (i aż!) narzędziem, a nie celem samym w sobie.

Co ważne, del Toro nie używał sztucznej inteligencji, a jego film to być może jeden z ostatnich hołdów kultury analogowej w cyfrowym świecie czata GPT.

Jego „Frankenstein" – na nowo opowiedziana historia, którą stworzyła Mary Wollstonecraft Shelley już ponad 200 lat temu – skłania do zadumy i zadawania poważnych pytań, na które trudno nam sensownie odpowiedzieć. Ale to nie powód, żebyśmy przestali je zadawać.

Najpierw jednak warto przyjrzeć się produkcji samej w sobie.

Biblia del Toro

Del Toro nieraz mówił, że książka „Frankenstein" to jego biblia. Każdy, kto zna jego twórczość, wie, że ma on słabość do potworów, które w sumie nie są szczególnie straszne; straszne jest natomiast nasze (ludzkie, a może odwrotnie – nieludzkie?) ich traktowanie. Wystarczy sięgnąć po „Kształt wody", zdobywcę Złotego Lwa w Wenecji w 2017 r., by przekonać się, że w dziedzinie wysmakowanego wizualnie fantasy reżyser ma osiągnięcia, które powodują, że za życia jest klasykiem gatunku.

Oczywiście nie ma sensu wgłębiać się w różnice między powieścią gotycką Shelley a tegorocznym filmem. Jest ich trochę, nie przywiązywałabym do nich jakiejś szczególnej wagi, lecz warto wyjaśnić, z czego przynajmniej w części wynikają.

Książka była skierowana do angielskich miłośników (a może nade wszystko – miłośniczek) powieści gotyckiej, wywodzących się z klasy średniej. Film ma przyciągnąć odbiorcę płacącego za abonament, oczekującego jakościowej rozrywki, bez znaczenia, czy mieszka w Londynie, Nairobi czy Szczecinie. Co ważniejsze: książka pisana w okresie wyłaniania się nowoczesności nie może być wprost przeniesiona do rzeczywistości późnego (chciało by się rzec, schyłkowego) kapitalizmu, gdy rozwój nauki zmienił nieomal wszystkie aspekty życia codziennego, wdzierając się w sfery najbardziej intymne (o czym wiem doskonale, bo męża poznałam na Tinderze), choć niektóre wielkie zdobycze nauki (np. zapłodnienie in vitro) kojarzą z szatańskimi wynalazkami. Nie jest wszak przypadkiem, że pełna nazwa oryginalnego wydania powieści brzmiała: „Frankenstein, czyli współczesny Prometeusz".

Na poziomie najbardziej banalnym del Toro pozostaje dość wierny kanonowi ukazującemu genialnego naukowca Wiktora Frankensteina (przejmujący Oscar Isaac, mający nareszcie szansę uwolnić się od zaszufladkowania w rolach lekko głupawych amantów) oraz istotę, którą tworzy, zszywając ją z części trupów, zmieniając materię martwą w ożywioną – i która się przeciwko niemu buntuje. Kiedy jednak wgryźć się nieco głębiej, obraz jest wielowątkowy, wielowymiarowy i poniekąd bardzo pouczający.

Monstrualni robole

Każdy, kto czytał uważnie pierwszy tom „Kapitału" Karola Marksa, zdaje sobie sprawę, że to dzieło jednoznacznie nawiązuje do romantycznych powieści gotyckich, włącznie z samym „Frankensteinem".

Wystarczy przytoczyć poniższy fragment: „A kapitał ma jedną tylko dążność życiową, dążność do pomnażania swej wartości, do tworzenia wartości dodatkowej, do tego, żeby poprzez swoją stałą część, środki produkcji, wchłonąć możliwie największą masę pracy dodatkowej. Kapitał jest pracą umarłą, która jak wampir ożywia się tylko wtedy, gdy wysysa żywą pracę, a tym więcej nabiera życia, im więcej jej wyssie".

Oczywiste jest, że owym potworem, stworzonym z ciał umarłych, jawić się może klasa robotnicza, proletariat, czyli ucieleśnienie masy roboli: stworzonych przez kapitalizm, uznanych za niemyślących, wyzutych z własności, zmuszonych sprzedawać siebie molochowi kapitału, poświęcać swój czas i siłę mięśni kapitalistycznym panom i władcom. Roboli, żyjących z pracy własnych rąk, biednych, obdartych, godnych pogardy.

Ale cechują się oni czymś jeszcze, może po stokroć ważniejszym: są potencjalnie rewolucyjni, mogą zniszczyć swoich twórców. Nie jest wszak przypadkiem, że w „Manifeście komunistycznym" czytamy, że kapitalistyczny postęp przemysłu „wytwarza własnych grabarzy". Strasznie w uszach kapitalistów musiała brzmieć zapowiedź ich końca z finału „Manifestu": „Niech drżą panujące klasy przed rewolucją komunistyczną. Proletariusze nie mają w niej nic do stracenia prócz swych kajdan. Do zdobycia mają cały świat. Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!".

Warto mieć świadomość, że pierwotny sens słowa „potwór" oznaczał coś lub kogoś, kto jest odporny na wszelkie bodźce zewnętrzne, jest całkowicie autonomiczny, niezależny, nie sposób nań wpłynąć ani prośbą, ani groźbą. Robotnicy jawili się jako potwory, gdyż wciąż nie chcieli się podporządkować kapitalistom i maszynom, które wyznaczały dosłownie nieludzki rytm ich pracy.

Pamiętajmy, że gdy powstawała powieść Shelley, żywa wśród klasy panującej i rodzącej się klasy średniej była pamięć o rewolucji francuskiej, a strach przed zrewoltowanymi masami ludowymi był dość powszechny. Co więcej, brutalność kapitalistów część co trzeźwiejszych myślicieli uznawała za samobójczą i podcinającą korzenie systemu.

Historycznie rzecz biorąc, kapitalizm rozerwał wszystkie więzy świata przednowoczesnego, świata okrutnego, zhierarchizowanego, lecz uznawanego za oczywisty. No i bliskiego, bo opartego o gospodarstwo domowe jako podstawową jednostkę nie tylko społeczną, lecz także gospodarczą. Okazało się, że podział pracy w sposób szokujący powiększył efektywność ekonomiczną, lecz w jego wyniku robotnik, wykonujący wciąż tę samą czynność, stawał się półzwierzęciem, półmaszyną. Trzeba zatem stać nad nim z kijem, który skądinąd stanowił narzędzie „nauczania" stwora przez jego „ojca", Wiktora Frankensteina. Wszyscy, którzy w korporacjach muszą się rozliczać z każdej minuty swojej pracy, doskonale wiedzą, o czym mówię…

To nas z kolei prowadzi do kwestii alienacji, która jest ważnym wątkiem także w filmowym „Frankensteinie".

Ten obcy

Stwór Wiktora Frankensteina jest potwornie osamotniony. Porzucony przez ojca, który posunął się do tego, że próbował go zgładzić, bo nie spełniał on jego wygórowanych (a może zwyczajnie chorych) ambicji. Monstrum miało poczucie, że jest inne od wszystkich, że nie ma korzeni innych niż zamysł konstruktora i ciała trupów, z których go zszyto. Potwór był nieśmiertelny i obdarzony nadludzką siłą – jego moc była jego przekleństwem. Napotkani ludzie traktowali go jako zwierzynę łowną, raz po raz próbując uśmiercić, choć sam stwór niczego tak nie pragnął jak unicestwienia, które ukróciłoby jego – nomen omen – potworne męki.

„Frankensteina" powinni obejrzeć wszyscy „odmieńcy", przez swój wygląd czy zachowanie budzący niechęć, a niekiedy nietajoną wrogość. Dla wielu „inny" to zawsze będzie znaczyć: gorszy, pośmiewisko, monstrum wręcz.

Ciekawym wątkiem filmu – tu niestety odstającym in minus od książki – jest postać Elżbiety, pięknej, mądrej i dobrej kobiety. Kobiety, która reprezentuje naturę od zawsze (w odróżnieniu od męskiej techniki), z czym ściśle wiąże się dawanie życia kolejnym ludziom, w tym mężczyznom, którzy często w imię podboju wywołują wojny, mielące żyjące ciała w martwą materię, składające się z kości, ścięgien i stawów mięso. Ciekawe byłoby pokazanie dziejów stwora z perspektywy Elżbiety.

Zyski z zabijania

Skoro w filmie del Toro eksperyment Wiktora finansowany jest z kasy, jaką jego sponsor zarobił na wojnie – nie wiemy dokładnie jakiej, ale wiemy, że to świetny biznes – to trzeba pamiętać, że właśnie postęp w dziedzinie unicestwiania innych ludzi oraz przyrody (ożywionej i nieożywionej) czy dzieł rąk ludzkich jest motorem napędowym machiny gospodarczej. Wiele wynalazków, włącznie z internetem, powstało na potrzeby kompleksu wojskowo-przemysłowego, trafiając potem do cywilów. Ich wygoda jest skutkiem ubocznym żądzy władzy, posiadania i mordu na masową skalę.

Dziś nie jest inaczej. I tak egzoszkielety, wzmacniające siłę ludzkich mięśni, tworzy się, aby tworzyć superżołnierzy – istne maszyny do zabijania rodem z filmów science fiction – a nie pomagać niepełnosprawnym z chorobami narządu ruchu.

Oczywiście świetny – dorównujący najlepszym ekranizacjom, włącznie z kultowym „Frankensteinem" z Borisem Karloffem z 1931 r., a niekiedy przewyższający je – film del Toro wymyka się prostym interpretacjom, jest bogaty w znaczenia. Ten obraz zostaje na długo w pamięci, a jego zakończenie (którego nie zdradzę; w każdym razie inne niż w książce) wlewa odrobinę nadziei, że nawet najbardziej potworna historia nie musi być koniec końców przygnębiająca.

KATARZYNA KOENIG

eprasa.pl 43829d5945

Hau hau

Język spuszczony z łańcucha



Rys. TOMASZ WOŁOSZYN

Prezydent Nawrocki zawetować raczył ustawę łańcuchową, odbierając tym samym wolność naszym braciom mniejszym i najlepszym przyjaciołom człowieka. Największą pianę na pysku rasowego boksera wywołał zapis ustawy przyznający podwórkowym Burkom prawo do „lokalu" większego niż zagrabiona przez niego kawalerka. Nie pierwszy to dowód, że polityka **schodzi na psy** – a zatem, wraz z polityką, łagodnie zjedźmy na poziom psiej budy.

Zastanowić by się należało, dlaczego człowiek, najwierniejszy przyjaciel psa (???), tak bez zastanowienia psy na psach bezmyślnie wiesza. Samo powiedzenie **wieszać na kimś psy**, jest spadkiem po średniowiecznej karze śmierci przez powieszenie. Skazańca można było dodatkowo pohańbić, wieszając wokół niego psy. Same psy nie były jednak skazane prawomocnym wyrokiem niezawisłego sądu.

Żeby nie było na Polaków, że tylko obszczekujemy psy: Niemcy mówią **Hunde, die bellen, beißen nicht** – co dosłowne znaczy „pies, który dużo szczeka, nie gryzie" – po polsku tę skłonność do czczych przechwałek i pustych gestów przypisujemy zaś **krowie, która dużo ryczy i mało mleka daje**. Łączy nas za to inne nieuzasadnione użycie psiego autorytetu: **Da liegt der Hund begraben** znaczy dokładnie tyle, co nasze **tu jest pies pogrzebany** – i nikt nie zastanawia się, czemu nie pogrzebano tam szczura lub innej żaby, żeby tego sekretu pilnowała.

Przysłowia i powiedzenia, jak każde komunały, mają swoje pierwotne źródło w historii i kulturze. W polskiej kulturze psy jednak zawsze traktowano **po psiemu**. Większość przysłów i powiedzeń stawia psy w naprawdę złym świetle, a tylko kilka z nich podkreśla ich walory takie jak wierność i przywiązanie. Żaden szanujący się bandyta nie powie na policjanta inaczej niż **pies** i żaden gangster z **psiarnią** zwąchiwał się nie będzie. Takie to właśnie **pieskie życie** jest. A dlaczego pieskie? Bo powszechnie uważane za najgorsze z możliwych. Z tym się też wiąże **pogoda pod psem**, która jest tak paskudna, że **psa by na dwór nie wygonił**. To kolejne kłamstwo, bo niektóre psy w chlapę, a nawet trzaskający mróz przy budzie wartę trzymać muszą, choć **zimno jak w psiarni**. A jak już jesteśmy przy kłamstwach: czy ktoś z Państwa widział bądź słyszał psa, który bezczelnie mija się z prawdą? To przecież domena polityków, więc dlaczego mówi się o nich, że każdy **łże jak pies**? Ostatnio mówi się jednak częściej, że polityka, który nie kłamie, poznaje się po tym, że ma zamknięte usta.

O tych nielicznych politykach, którzy nie okazywali **psiej wierności** Kościołowi prymas Józef Glemp powiedział swego czasu, że **psy szczekają, karawana idzie dalej**. I dorzucił pieszczotliwie, że Kościół nie będzie zważał na **szczekające podwórkowe kundelki**. Szczekajmy zatem dalej.

Zapewne nikt nie wymyśliłby powiedzenia **zdać się psu na budę**, gdyby nie fakt, że na psie domostwo przeznaczano zupełnie nieprzydatne i bezwartościowe odpady – bo przecież psu nic porządnego się nie należy. Dziś dotyczy to również działań i pomysłów prowadzących donikąd.

Za takie traktowanie postanowił się zemścić na nas **pies ogrodnika**. Powiedzenie to pochodzi ze starożytnej bajki Ezopa, w której pies, sam nie jedząc siana, broni go i nie pozwala koniom z niego korzystać. Tu też psa ukazuje się jako wzorcowego egoistę i zazdrośnika. U nas często dodaje się komentarz **sam nie zje i drugiemu nie da**, co chyba jest kalką z rymowanego ukraińskiego powiedzenia **сам не гам і другому не дам**.

Skoro nam nie wolno jeść agrestu i papierówek, których pilnuje pies ogrodnika, wymyśliliśmy za karę, że **nie dla psa kiełbasa** – czyli jakiś lepszy towar, tylko dla wybranych. Całkiem jak szampan, który jest ulubionym napojem narodu, spijany ustami jego najlepszych przedstawicieli. Osobiście znam jednak psy, które byle jakiej kiełbasy nie ruszą, a szampana i owszem, wychłepcą.

Ale po co psu frykasy dawać? **Bitemu psu tylko kij pokazać** – powiedział ponoć Fredro. Nie tylko psu – zastraszonemu człowiekowi też! Wystarczy mu tylko pogrozić, by uzyskać oczekiwane zachowanie. Tym bardziej że **jak się chce psa uderzyć, to kij się zawsze znajdzie**. W polityce to są tak zwane haki, które wszyscy na wszystkich zbierają. Oni muszą jednak mieć na uwadze inną przypowieść: **kto ze psy lega, ten z pchłami wstaje**. Co wcale nie oznacza tyle samo, co „jak sobie pościelisz, tak się wyśpisz"; raczej przestrzega przed nierozważnym doborem znajomych.

Staropolska katolicka społeczność, której wszystko kojarzyło się religijnie, zanim nauczyła się rzeczy zbędne nazywać „piątym kołem u wozu" i „dziurą w moście" umyśliła sobie zaangażować do tego zupełnie ateistycznego psa. Wymyślono bezsensowny slogan **potrzebny jak pies w kościele**…

Bzdurne powiedzenia o psach można mnożyć w nieskończoność. Pomińmy zatem wszelkie **psiakości, psiejuchy** i **psiekrwie** – ale zróbmy jednak malutką literacką kwerendę.

Adam Mickiewicz w wierszu „Pies i wilk" obdarzył psa naturą niewolniczą, pisząc: **„Lepszy w wolności kąsek lada jaki, niźli w niewoli przysmaki"**… Dziś większość polskich psów – choć w niewoli – żyje zdecydowanie lepiej niż 35 tys. bezdomnych kloszardów na polskich ulicach. Reszcie wystarczy zdjąć łańcuchy, panie prezydencie!

Panu prezydentowi dedykuję też, bez żadnego komentarza, słowa Aleksandra Fredry: **Pies poczciwszy od człowieka, nim ukąsi – pierwej szczeka**.

Psa wyżej od człowieka postawił też Julian Tuwim w dedykowanym narodowej prawicy utworze zatytułowanym pogodnie „Na pewnego endeka, co na mnie szczeka": **Próżnoś repliki się spodziewał. Nie dam ci prztyczka ani klapsa. Nie powiem nawet pies cię jebał, bo to mezalians byłby dla psa…**

Przed nami wigilia. Doradzam zatem serdecznie pofatygować się w wigilijną noc do legowiska, kojca czy budy Waszego pupila i posłuchać, co Wasze ukochane zwierzątka mówią ludzkim głosem o obywatelskim prezydencie. Gwarantuję, że uszy, choć to Boże Narodzenie, spuchną Wam jak wielkanocne jaja.

A poza tym Wesołych Świąt, Szanowni Państwo, serdecznie życzę.

TADEUSZ GAWLIK
gawlik.tadeusz@o2.pl

W Wigilię myślę o Tomku

Bardzo osobiste wspomnienie o nieznajomym

Mimo ogólnej radosnej wrzawy, która zawsze charakteryzuje moje święta, każda moja Wigilia ma pewien segment smutnej zadumy. Każda Wigilia, do końca świata, będzie dla mnie rocznicą odejścia człowieka, którego nie miałam okazji poznać.

Pozwólcie, że spróbuję opowiedzieć Wam o Tomaszu Beksińskim. O tym, jak pięknie żył, i o tym, jak jego życie odmieniło moje – mimo że nasze współistnienie na tym globie trwało ledwie parę miesięcy.

Tak się przyjęło w dyskursie o Tomku, że najwięcej mówi się o tym, jak odszedł, czemu odszedł i o ogólnym jego romansie ze śmiercią. Jego samobójstwo – a wcześniej wielokrotne próby jego dokonania – wydaje się dla szerokiej publiczności najbardziej interesującym aspektem jego osoby; a prawda jest taka, że jest najmniej istotne. Pragnąc więc jakoś zgrabnie zakończyć ten temat – z perspektywy osoby, która o mały włos losu Tomka nie podzieliła – powiem Państwu jedną rzecz.

Dla jednostek wybitnie wrażliwych, do których Tomek się niewątpliwie zaliczał, ten świat jest wyjątkowo skurwiały, a przede wszystkim: niezrozumiały. A niezgoda na jego kształt, w połączeniu z poczuciem bezsilności, jest naprawdę wybuchową mieszanką.

Takie osoby nazywa się płatkami śniegu, naiwniakami, histerykami. I stąd też prawdopodobnie wynikło tyle zakłamań i nieporozumień wokół postaci Tomka. Ze wspomnień ludzi, którzy go kochali, z jego twórczości radiowej i dziennikarskiej, nijak nie wyłania mi się obraz osoby, która żyć nie chce. W przeciwieństwie – nawiasem mówiąc – do tego, co chcieli nam pokazać twórcy filmu „Ostatnia rodzina".

Filmowy wizerunek Tomka nie zasługuje na omówienie – ale dla tych, którzy znają go tylko z tej nieszczęsnej produkcji, przytaczam fragment wstępu do książki Wiesława Weissa „Tomek Beksiński: Portret prawdziwy": „Tomek nie wyrzucał telewizorów przez okno, nie rozwalał szafek kuchennych, nie rozbijał butelek o ściany. Tomek nie bił nikogo pejczem i sam nie był przez nikogo bity pejczem. Tomek nie był żałosnym samotnikiem skazanym tylko na rodziców i przypadkowe panny, których nie był w stanie zadowolić. Tomek nie był kabotynem i kretynem, który po śmierci babci powiedziałby: No to zostało nas troje, jak w Genesis!".

Od siebie dorzucę jedynie krótkie „pierdolcie się" w kierunku Jana Matuszyńskiego, Roberta Bolesto i Dawida Ogrodnika.

Tomka Beksińskiego „poznałam" jako nastolatka zaczytana w miesięczniku „Tylko Rock", gdzie pisywał felietony pod pogodnym tytułem „Opowieści z Krypty" i zasłuchana w muzyce, którą mógłby puszczać w aucie czyjś rozwiedziony stary. Im więcej go słuchałam i czytałam, tym więcej widziałam między nami podobieństw; wieloma rzeczami Tomek mnie zaraził. Najpierw czytałam jego archiwalne artykuły, bo sama od około 15. roku życia namiętnie zalewałam przestrzeń internetową swoimi ekspertyzami na temat muzyki rockowej (mam nadzieję, że sczezły one gdzieś w odmętach internetu). Potem trafiłam na jego audycje, które ktoś wstawia – regularnie zresztą – na mixclouda i wówczas już przepadłam. Usłyszałam, jak Tomek recytuje dzieła mojego – wówczas i dziś – ukochanego pisarza i poety Edgara Allana Poe (poemat „Kruk" wymienił zresztą w długiej wyliczance rzeczy, dla których warto było żyć, umieszczonej w jego ostatnich „Opowieściach z Krypty").

W domu oraz samochodzie moich rodziców królowały płyty (w Seicento zdążyły jeszcze kasety, ale autko nie mieściło mojego dwumetrowego taty, więc trzeba było je pożegnać). Jedyne radio, które udawało mi się gdzieś zasłyszeć, było już tym hałaśliwym, mainstreamowym i raczej mało uwrażliwionym medium, które znamy dziś – a tu nagle się okazuje, że z radiowych audycji można uczynić prawdziwy spektakl i sprawić, że słuchacz będzie czuć się podekscytowany podczas sekundy ciszy między zapowiedzią utworu a jego początkiem.

Marek Niedźwiedzki niezwykle trafnie określił go jako „demiurga anteny" – rzeczywiście, trudno odmówić Tomkowi pozaziemskich wręcz zdolności hipnotyzowania swoich słuchaczy. Wiele osób opisując jego audycje używa słowa „misterium" i doprawdy trudno o bardziej adekwatne określenie; ja z odsłuchów jego audycji uczyniłam celebrację.

Jak już mi Tomek naprawił koncepcję radia (i przy okazji uczynił ze mnie zagorzałą fankę mannowskiego radia Nowy Świat), nadeszła też miłość do kina. Okazało się, że mnie również bawi absurd montypythonowski i porusza absurd lynchowski. Ale przede wszystkim znalazłam kogoś, kto również się dziwi – jak Niemen – dlaczego świat ten został tak kretyńsko urządzony i również zastanawia się, „co by tu jeszcze spieprzyć". A to ważne nie czuć się osamotnionym w świecie, którego się nie rozumie.

Długo bałam się dotknąć książki Wiesława Weissa i jakichkolwiek innych publikacji na temat Tomka, ponieważ byłam przekonana, że w swojej twórczości powiedział mi na swój temat wystarczająco wiele. A po „Ostatniej rodzinie" nie chciałam przypadkiem usłyszeć, jak ktoś o moim drogim „przyjacielu" mówi źle, mimo dużej dozy zaufania, którą darzyłam zawsze red. Weissa. Dopiero otwierając ją, dowiedziałam się, że powstała niejako w akcie rehabilitacji postaci Tomka po „tym filmie" – i muszę przyznać, że jest to wspaniała opowieść o człowieku wielowymiarowym i niepowtarzalnym, opowiedziana ustami ludzi, którzy go kochali, wspomagana przez tytuły albumów, filmów i książek, które bohater uwielbiał i dzięki którym stał się takim człowiekiem, jakim się stał. Jeżeli komuś zależy na prawdziwym portrecie Tomka – wcale niewyidealizowanym, ale jednak możliwie najbliższym – to ta książka z powodzeniem jest w stanie ową potrzebę zaspokoić.

Do dzisiaj archiwalne „Trójki pod Księżycem" puszczam wyłącznie koło północy – wybieram te najbliższe datą do aktualnej – w półmroku i nie robiąc nic innego w tym samym czasie. I udaję, że lecą na żywo i gdzieś jest tam Tomek, który właśnie mówi do mikrofonu, a jak wyjdzie ze studia, a ja zasnę, pójdzie sobie zjeść swoją chińszyznę, tak ostrą, że mi by wypaliła dziurę w przełyku.

ANTONINA STEFFEN

eprasa.pl 43829d5945

Pierwsza kolorowa rewolucja w Meksyku


Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Wojna Trumpa z Ameryką Łacińską

Wojna na Ukrainie oraz masakra w Gazie wciąż królują w mediach – ale w ostatnich miesiącach pojawiło się na świecie nowe ognisko ognisko zapalne: rejon Morza Karaibskiego. Wydawało się dotąd, że Ameryka Łacińska, ze wszystkimi swoimi problemami, jest miejscem względnie spokojnym. Jednakże agresywna polityka prezydenta Trumpa wobec Wenezueli zmieniła konfigurację w tym rejonie.

Pretekst do agresji – ogłoszenie prezydenta Nicolása Maduro szefem nieistniejącego narkotykowego gangu Cartel de los Soles – jest kompletnie absurdalny Ale zagrożenie ze strony amerykańskiej floty wojennej na Morzu Karaibskim jest śmiertelnie poważne.

Wielu przywódców latynoskich zdaje sobie sprawę z farsy zwanej oficjalnie walką z narkotykami. Claudia Sheinbaum, Gustavo Petro i Inácio Lula da Silva – prezydenci Meksyku, Kolumbii i Brazylii – potępili zdecydowanie akcję Waszyngtonu. W odpowiedzi Przywódca Wolnego Świata poinformował Sheinbaum i Petro, że oni też należą do mafii narkotykowych i w związku z tym amerykańska akcja przeciw *narcotraficantes* w Wenezueli może objąć także Meksyk i Kolumbię. W przypadku Kolumbii, jak dotąd, skończyło się na groźbach.

Jeśli chodzi o Meksyk – sytuacja była nieco bardziej skomplikowana ze względu na szczególne relacje tego kraju z USA.

Bitwa na kukurydzę i pomidory

Poprzednik Claudii Sheinbaum, prezydent Andrés Manuel López Obrador, założyciel Partido Morena (Movimiento de Regeneración Nacional), przestawił wcześniejszą politykę Meksyku na inne tory. Konsekwentnie dążył on do uniezależnienia się gospodarczego i politycznego od Zachodu, a zwłaszcza od USA. Wiele w tym zakresie osiągnął, toteż stosunki z północnym sąsiadem uległy pogorszeniu.

Trzeba pamiętać, że od lat 80. Meksyk jest krajem mocno zadłużonym. Można też zastanawiać się, na ile przystąpienie Meksyku do układu NAFTA w 1994 r. przyczyniło się do polepszenia – a na ile do pogorszenia – jego sytuacji. Meksyk był najsłabszym z trzech sygnatariuszy NAFTA, a zniesienie barier celnych doprowadziło do likwidacji wielu rodzimych gałęzi wytwórczości i podporządkowania gospodarki zachodnim koncernom. Kanadyjczycy kontrolowali kopalnie, Hiszpanie sektor elektryczny, Amerykanie zaś sterowali m.in. wydobyciem ropy naftowej i gazu ziemnego. Byli o krok od przejęcia drogą prywatyzacji największego przedsiębiorstwa naftowego, PEMEX (Petróleos Mexicanos). Eksport taniej, zmodyfikowanej genetycznie amerykańskiej żywności doprowadził do upadku meksykańskiego rolnictwa. W ten sposób np. w 1999 r. zniszczono meksykańskie gospodarstwa produkujące pomidory. Meksyk przestał być ważnym eksporterem pomidorów, natomiast amerykańskie zmodyfikowane pomidory popłynęły szeroką falą na rynek meksykański.

López Obrador dokonał rzeczy trudnej. Zablokował import zmodyfikowanej kukurydzy i zdołał poszerzyć niezależność energetyczną. Uczynił to, zwiększając rolę państwa w gospodarce. Dofinansował PEMEX i budował nowe rafinerie (np. La Olmeca w stanie Tabasco). Udało mu się także wykupić wielką nowoczesną rafinerię w Deer Park w stanie Teksas. W efekcie przedsiębiorstwo państwowe PEMEX dysponuje obecnie ośmioma rafineriami.

Następczyni Obradora, Claudia Sheinbaum Prado, również wywodząca się z Partido Morena, kontynuuje politykę swego poprzednika. Lista rozbieżności między USA a Meksykiem jest więc długa i owocująca ostrymi polemikami. Ze względu na swoją prospołeczną politykę prezydent Sheinbaum jest także celem niewybrednych ataków ze strony miejscowej oligarchii. W prawicowych mediach rej wodzi agresywna dziennikarka Reyna Haydee Ramírez, zarzucająca Sheinbaum korupcję, nepotyzm, blokowanie demokratycznej debaty, bezczynność w walce z narkomafią etc. Sytuacja jest więc dynamiczna.

Sombrero do boju

15 listopada br. na głównym placu stolicy Meksyku, Zócalo, pojawiło się około 17 tys. przeciwników Sheinbaum. Dużo mniej niż zapowiadane przez organizatorów 100 tys. – ale ci, którzy przybyli, zachowywali się wyjątkowo agresywnie. Zamaskowani demonstranci starali się zdobyć szturmem Palacio Nacional – siedzibę rządu meksykańskiego. Z furią atakowali szeregi broniących pałacu policjantów. Uzbrojeni w kije, pałki, noże, łańcuchy obalali ogrodzenia i obwarowania otaczające centrum rządowe, a zasłonięci tarczami policjanci z wielkim trudem powstrzymywali napastników. Po dłuższym czasie demonstranci zmęczeni walką, stwierdziwszy, że nie przełamią obrony i nie dopadną Sheinbaum, zaczęli się rozchodzić. Zapowiedzieli jednak, że wrócą.

Rezultat walk z 15 listopada wskazuje bardzo konkretnie, po czyjej stronie była agresja. Według przedstawionych danych było 120 rannych, w tym 100 policjantów; 40 przedstawicieli sił porządkowych znalazło się w szpitalach w stanie ciężkim. Obrażenia odniosło 20 demonstrantów, 20 zatrzymano, a przeciw 20 skierowano sprawę do prokuratury za wykroczenia administracyjne. Prawicowe media określiły wydarzenie jako „rewolucję młodzieżową". Według tej narracji do demonstracji wezwały Generación Z (pokolenie Z), „movimiento del Sombrero" (ruch kapelusza) i Bloque Negro (Czarny Blok). Oficjalną przyczyną rozruchów miał być protest przeciw bezczynności rządu wobec zabójstwa Carlosa Manzo.

Carlos Manzo – zwany El Sombrero – był niezależnym burmistrzem w Uruapan, w stanie Michoacán, znanym z walki z korupcją. Został zastrzelony przez 17-letniego członka gangu narkotykowego, który sam wkrótce potem został zamordowany. Sprawa jest wyjątkowo niejasna. Gubernator stanu Michoacán zapewniał, że policja stanowa nie ma nic wspólnego z zabójstwem młodocianego gangstera, ale przeciwnicy rządu zaczęli upowszechniać całkowicie nieudowodnioną teorię, że to rząd stał za obydwoma zabójstwami, bowiem jest związany z narkomafią. Z tegoż powodu demonstranci nieśli kapelusze i wołali: „Wszyscy jesteśmy Carlos Manzo!", „My młodzież jesteśmy prezydentem!". Dominowały wrzaski: „Fuera Claudia!" (Precz z Claudią!), „Fuera Morena!" (Precz z Partią Morena!), a także powtarzany po prezydencie Mileiu „kultowy" już okrzyk prawicy: „Viva la Libertad Carajo!" – „Niech żyje wolność, chuju!". Tłum atakujący Palacio Nacional skandował: „Fue un error estar con Obrador! Narcoestado!" (Błędem było popierać Obradora! Narkopaństwo!). Pojawiały się też – co prawda nieliczne – transparenty z flagą amerykańską i z napisami „Help us USA", „Ayuda nos EEUU!".

Najbardziej groteskowy i absurdalny był symbol, pod którym grupowali się demonstranci: piracka bandera z trupią czaszką i skrzyżowanymi piszczelami, przykryta słomkowym kapelusikiem ujętym wstążeczką, zwana po angielsku One Piece (oryginalna nazwa Wan Pisu).

One Piece pochodzi z japońskiej opowiastki komiksowej „Piraci w słomkowych kapeluszach" z 1997 r. wykreowanej przez Eiichirō Odę, znanego autora mang i anime. Warto dodać, że pod tym znakiem walczyła już o demokrację współczesna młodzież w Indonezji, Nepalu, na Madagaskarze, w Maroku etc. W tym kontekście uzasadnione jest mniemanie, że zabójstwo Carlosa Manzo zostało użyte jako pretekst uzasadniający demonstracje, a nie wyraz szczerego poruszenia tą zbrodnią. Rozruchy spod znaku One Piece odbyły się także w miastach Puebla, Guadalajara, Monterrey.

Sasi Alejandre, znana meksykańska dziennikarka, założycielka telewizyjnego programu Fondo de Cultura Económica, skomentowała zajścia: „Zwykła kolorowa rewolucja. Nic nowego pod słońcem". Dodała, że obecnie spontaniczne, prawdziwie ludowe rewolucje są rzadkością; dominują zamieszki na zamówienie, opłacone przez pewne kręgi.

Rodzina Salinasów w służbie jankesów

Claudia Sheinbaum potępiła wystąpienia, przekonując, że przemoc nie jest drogą do zmian. Przedstawiła wyniki badań Miguela Ángela Elorzy, szefa jednostki Infodemia, zajmującej się wykrywaniem dezinformacji. Zgodnie z nimi na zorganizowanie demonstracji wydano 90 mln pesos. Pytanie brzmi: kto wykładał pieniądze, by obalić lub osłabić rząd Claudii Sheinbaum?

Pani prezydent wymieniła szereg nazwisk osób i nazw organizacji. Wśród nich wspomniane wyżej pokolenie Z walczące pod znakiem One Piece.

Jeśli chodzi o socjologiczne pokolenie Z, to są to dziś (w 2025 r.) ludzie w wieku 13-30 lat. Generación Z zrzesza ludzi w wieku 14–19 lat. Sheinbaum zwróciła uwagę, że w zamieszkach z 15 listopada najmłodszych nie było wielu, przeważali ludzie po dwudziestce; można więc przypuszczać, że pokolenie Z jest tworem równie prawdziwym jak Cartel de los Soles. W tym kontekście pani prezydent przywołała nazwisko oligarchy Ricarda Salinasa Pliego – właściciela Banco Azteca, sieci telewizyjnej TV Azteca, Grupo Electra, Totalplay, założyciela i prezesa Grupo Salinas, czyli konglomeratu różnych firm prywatnych zajmujących się usługami finansowymi, telekomunikacją, handlem, mediami społecznościowymi etc. Salinas Pliego nienawidzi chorobliwie wszelkiej lewicy, Partido Morena, Lópeza Obradora i oczywiście Claudii Sheinbaum – i ma ambicje zostać prezydentem Meksyku. Na jego drodze do celu stoi fakt, że jest powszechnie uważany za oszusta, wielkość jego majątku owiana jest tajemnicą, gdyż większą część swoich dochodów lokuje w rajach podatkowych, a jego zaległości podatkowe wynoszą 48 mld pesos (prawie 10 mld zł).

Sheinbaum przekonywała, że media Salinasa Pliego od dłuższego czasu uprawiają oszczerczą i pełną nienawiści kampanię propagandową wymierzoną w rząd, namawiają do zamieszek.

Ważnym sojusznikiem Salinasa jest jego kuzyn, Roberto Salinas León – prezes The Adam Smith Centre for Economic Freedom i szef Atlas Network na całą Amerykę Łacińską.

Atlas Network to ultrakapitalistyczny think tank z siedzibą w Waszyngtonie, założony przez angielskiego biznesmena Anthony'ego Fishera w 1981 r., sponsorowany przez koncerny takie jak Shell, Exxon Mobile, Pfizer, Phillip Morris, Procter & Gamble etc. Współpracuje ze sławetną, finansowaną m.in. przez Sorosa fundacją National Endowment for Democracy, a także z takimi neoliberalnymi organizacjami jak México Evalua i Catedra Vargas Llosa. Salinas León oddziałuje na meksykańskie społeczeństwo za pomocą powiązanych sieci medialnych takich jak Latinus, Caminos de la Libertad, Kybernus i Centro Ricardo Salinas.

Warto wspomnieć, że koncern Salinasa wspierał aktywnie anarchokapitalistycznego prezydenta Argentyny Javiera Milia i jego partię La Libertad Avanza. Wśród osiągnięć Atlas Network należy wymienić zorganizowanie i sfinansowanie Fundación Pensar, która w 2015 r. wyniosła do władzy w Argentynie Mauricio Macriego, także ruchu Brasil Libre, który w 2016 r. obalił brazylijską prezydent Dilmę Rousseff. Atlas Network w 2022 r. dopomógł w obaleniu legalnego prezydenta Peru Pedra Castillo Terronesa, wspierał nagonkę na Cristinę Kirchner w Argentynie i uczestniczył w wymierzonym w Evo Moralesa zamachu stanu w Boliwii w 2018 r. Wsparcie Atlas Network otrzymali tacy przywódcy jak Guillermo Lasso (Ekwador), Jair Bolsonaro (Brazylia) i oczywiście Javier Milei.

Claudia nie jest sama

Wysiłki podejmowane przez rodzinę Salinasów i zachodnie think tanki, specjalizujące się w obalaniu niewygodnych rządów, wspierane są przez odsunięty od władzy meksykański establishment z partii PRI (Partido Revlucionario-Institucional) i PAN (Partido Acción Nacional), np. byłego prezydenta Vicentego Foxa czy obecną burmistrzynię Cuauhtemoc (dzielnicy miasta Meksyk) Alessandrę Rojo de la Vega. Działacze PRI i PAN brali udział w zamieszkach z 15 listopada.

Organizatorzy zamieszek zatrudnili fachowych najemników medialnych specjalizujących się w sterowaniu emocjami – Argentyńczyka Fernando Cerimedę i Hiszpana Javiera Garcíę Negre. Cerimedo zdobył uznanie w prawicowych kręgach, zręcznie manipulując opinią publiczną w Chile – dzięki czemu nie udało się zmienić starej pinochetowskiej konstytucji. Wspierał skutecznie Jaira Bolsonaro i współpracował z Patricią Bullrich (obecną minister spraw wewnętrznych Argentyny) w zwalczaniu peronizmu. Negre jest oficjalnie dyrektorem portalu La Derecha Diario związanego z ultraprawicową partią VOX. Współpracuje z Cerimedo i sterowanymi przez niego sieciami społecznościowymi. Oddał duże przysługi Javierowi Miliowi. Jest utalentowanym manipulatorem. Ma powiązania z tak ciemnymi typami jak Juan Carlos Peña zwany El Inmoral (Niemoralny), szef narkotykowej mafii Los Miami.

Tacy ludzie na wiele tygodni przed 15 listopada rozpętali przeciw Claudii Sheinbaum nagonkę w mediach społecznościowych. Ponad 8 mln botów promowało hasła typu #FueraClaudia, #Narco-Estado etc.

Pomimo gigantycznych wysiłków oligarchii meksykańskiej i zachodniej nie udało się – póki co – obalić rządu prezydent Sheinbaum. Według badań opinii publicznej cieszy się ona poparciem 76 proc. meksykańskiego społeczeństwa. 6 grudnia 600 tys. ludzi zebrało się na Placu Zócalo, żeby uczcić siódmą rocznicę tzw. Czwartej Transformacji – czyli zmian politycznych i gospodarczych zainicjowanych przez Lópeza Obradora – i bronić Claudii Sheinbaum. Tłum skandował: „No estás sola!" (Nie jesteś sama!). Była to wielka demonstracja poparcia dla pani prezydent, która jednym z najważniejszych swoich haseł programowych uczyniła: „Primero los pobres" (Przede wszystkim biedni).

Prawicowa opozycja jest zaskoczona – i rozwścieczona. Zapowiada powrót.

Czy jej się uda – nie wiadomo. To dopiero pierwsza kolorowa rewolucja w Meksyku.

Według informacji Centrum Zaawansowanych Badań Społecznych uniwersytetu w Illinois

między 1982 r. a 2019 r. Stany Zjednoczone przeprowadziły około 350 prób zamachów stanu i kolorowych rewolucji w różnych krajach – z czego w 150 przypadkach osiągnęły swój cel. Meksykowi póki co udało się uratować demokrację

– ale Meksykanie powiadają: „Pobre México, tan lejos de Dios y tan cerca de Estados Unidos". Czyli: „Biedny Meksyk, tak daleko od Boga i tak blisko Stanów Zjednoczonych"…

ANDRZEJ ULMER

eprasa.pl 43829d5945

Farbowanie po izraelsku





Rys. TOMASZ ROGOWSKI

„Wyjaśnianie" za 725 mln dolków

Europejska Unia Nadawców (EBU) wbrew rozlicznym protestom wyraziła zgodę na udział Izraela w konkursie Eurowizji w 2026 r. Izraelskie władze nazwały tę decyzję „zwycięstwem nad krytykami, którzy próbowali nas uciszyć i szerzyć nienawiść". Obecność Izraela w konkursie była źródłem napięć od rozpoczęcia wojny w Gazie. Zachodziła również obawa, że rząd Netanjahu wykorzysta Eurowizję w celach propagandowych. I jako żywo, Izrael na propagandzie nie zamierza oszczędzać.

5 grudnia, w ramach wstępnego zatwierdzenia budżetu na 2026 r., ministrowie finansów Becalel Smotricz i spraw zagranicznych Gideon Saar zawarli porozumienie w sprawie środków na hasbarę.

„Hasbara" – w dosłownym tłumaczeniu „wyjaśnienie" – to strategia dyplomacji publicznej (czyt. propaganda), mająca na celu poprawę międzynarodowego wizerunku Izraela. Szczególnie w kontekście wojny w Palestynie. Całkowita kwota na ten cel wyniesie ok. 725 mln dol. To rekordowy wzrost: ponad 20 razy więcej niż w poprzednich latach. Hasbara, obok obrony, ma być dla Izraela priorytetem.

„Podnoszenie świadomości na temat Izraela na świecie" ma się odbywać kilkoma kanałami. W izraelskim MSZ powstanie nowa jednostka do centralnego zarządzania kampaniami. W social mediach pojawi się jeszcze więcej treści pokazujących „normalność" w Izraelu i Gazie, zaprzeczających ludobójstwu i głodzeniu Palestyńczyków. W budowie proizraelskich treści mają pomóc opłaceni dziennikarze, celebryci i influencerzy z USA i Europy. Osobna część budżetu zostanie przeznaczona na finansowanie NGO-sów i think tanków pracujących na rzecz hasbary. Machina propagandy będzie miała ręce pełne roboty.

Brak zbrodni i kara

W listopadzie Kneset przyjął projekt ustawy przewidującej karę śmierci dla osób uznanych za terrorystów. Naturalnie nowy wymiar sprawiedliwości miałby dosięgnąć tylko więźniów palestyńskich. Warto pamiętać, że administracyjna detencja umożliwia władzom Izraela przetrzymywanie Palestyńczyków bez postawienia im zarzutów, bez sprawiedliwego procesu i bez wyroku. Decyzje o umieszczeniu w pierdlu oparte są zwykle na bardzo niejasnych podejrzeniach, a obrońcy nie mają dostępu do akt. Na dokładkę Kneset przegłosował podczas tego samego posiedzenia projekt prawa, które pozwoli zamykać biura zagranicznych mediów w Izraelu bez nakazu sądowego – więc nie będzie komu patrzeć na rządowe ręce.

Ustawa o karze śmierci przewiduje wykonanie wyroku przez zastrzyk, co wymagałoby udziału lekarza. Izraelska Izba Lekarska stanowczo sprzeciwiła się temu pomysłowi. W wydanym oświadczeniu podkreśliła, że żaden medyk nie weźmie udziału w egzekucjach, bo proceder narusza etykę lekarską. Podczas kolejnej debaty w Knesecie skrajnie prawicowy minister bezpieczeństwa narodowego Izraela Itamar Ben-Gvir pochwalił się setką telefonów od lekarzy, którzy mają w dupie etykę i deklarują gotowość do uśmiercania palestyńskich terrorystów.

Choć formalnie od 10 października w Strefie Gazy obowiązuje zawieszenie broni, Izrael zniszczył od tego czasu ponad 1,5 tys. budynków na obszarach znajdujących się pod jego kontrolą, mimo iż plan pokojowy przewidywał zawieszenie wszelkich operacji wojskowych, w tym bombardowań. Pod koniec listopada do mediów wyciekło nagranie pokazujące, jak izraelscy żołnierze mordują dwóch nieuzbrojonych Palestyńczyków, którzy poddali się na okupowanym Zachodnim Brzegu. Ben-Gvir oświadczył, że udziela pełnego wsparcia członkom straży granicznej i bojownikom IDF, którzy strzelali do poszukiwanych terrorystów wychodzących z budynku w Jeninie. Dodał, że wojacy zachowali się dokładnie tak, jak się od nich oczekuje, bo terroryści muszą zginąć. Odwiedził również jednostkę, z której pochodzili żołnierze, i ogłosił awans jej dowódcy.

Tańce wojenne

Szimon Tubul, zastępca burmistrza Beer Szewy, ubolewał w wywiadzie telewizyjnym, że Izrael nie wytłukł wszystkich Palestyńczyków w Strefie Gazy podczas kampanii wojskowej, choć „miał ku temu wyjątkową okazję". Według Tubula gdyby siły izraelskie zabijały 100–150 tys. osób dziennie, mogłyby zniszczyć „to, co nazywa się dziś Gazą". Cóż szkodzi spróbować?

Na początku grudnia członek Knesetu z ramienia skrajnie prawicowej partii Syjonizm Religijny, na posiedzeniu komisji spraw wewnętrznych i środowiska orzekł, że Palestyńczycy spalający śmieci na okupowanym Zachodnim Brzegu powinni zostać zabici przez izraelskie siły powietrzne. Przyklasnęli mu przewodniczący komisji Itzhak Krozier i minister ochrony środowiska Idit Silman.

8 grudnia izraelska policja wkroczyła do siedziby Agencji Narodów Zjednoczonych ds. Pomocy Uchodźcom Palestyńskim (UNRWA) w okupowanej Jerozolimie Wschodniej. Służby skonfiskowały meble, sprzęt IT i resztę mienia. W budynku odcięto media, a z dachu ściągnięto flagę ONZ i zastąpiono ją izraelską.

Strona izraelska uzasadniła akcję egzekucją zaległych podatków od nieruchomości w wysokości ok. 11 mln szekli (3,4 mln dol.), twierdząc, że po wejściu w życie ustawy zakazującej działalności UNRWA w Izraelu agencja straciła ulgi podatkowe. ONZ i UNRWA potępiły incydent i potraktowały go jako naruszenie konwencji o przywilejach i immunitetach ONZ (mienie i przywileje ONZ są nietykalne). Philippe Lazzarini, komisarz generalny UNRWA, nazwał to „jawnym lekceważeniem prawa przez Izrael jako członka ONZ", a sekretarz generalny António Guterres wezwał do natychmiastowego przywrócenia statusu nietykalności placówki.

Bibi król

Netanjahu prawo międzynarodowe i izraelskie ma w dupie. Premier Izraela złożył oficjalny wniosek o ułaskawienie go przez prezydenta Itzhaka Herzoga kilka tygodni po tym, kiedy tego samego zażądał Donald Trump. Biuro prezydenta potwierdziło otrzymanie 111-stronicowego dokumentu od prawnika premiera i poinformowało, że został on przekazany do wydziału ułaskawień w Ministerstwie Sprawiedliwości.

Jeśli Bibi – oskarżany o łapówkarstwo, oszustwo i nadużycie zaufania – wymknie się wymiarowi sprawiedliwości bez przyznania się do winy lub rezygnacji, w Izraelu może zapanować kryzys polityczny i konstytucyjny. Szczęście w nieszczęściu: państwo broni się przed barbarzyństwem na tylu frontach, że może nikt nie zauważy.

W ujęciu Bibiego fronty te obejmują walkę z Hamasem w Gazie, Hezbollahem w Libanie, konfrontację z Iranem oraz działania przeciw powiązanymi z Teheranem grupom zbrojnym w Syrii, Iraku i Jemenie. A także operacje przeciwko palestyńskim zbrojnym ugrupowaniom na Zachodnim Brzegu. Wybory parlamentarne w Izraelu są planowane na koniec 2026 r. Według dostępnych sondaży obecna koalicja Bibiego nie ma szans na zwycięstwo. Podtrzymywanie napięcia wokół Gazy i eskalowanie nowych konfliktów może być dla premiera strategią na przedłużenie własnych rządów. Jakiekolwiek by były ich następstwa, hasbara zadba, żeby świat poznał odpowiednią wersję wydarzeń.

IDALIA DUBICKA



Trumpolandia

Donald Trump otrzymał pokojową nagrodę, której tak pragnął. Wprawdzie, nie Nobla, a FIFA, ale nie powstrzymało go to od wyrażenia triumfu. Nagroda znanej z korupcji Międzynarodowej Federacji Piłki Nożnej jest – ogłosił Lider Wolnego Świata – „jednym z największych honorów w jego życiu", ale mu się należała, bo ocalił „miliony i miliony żyć". Nagroda jest duża i złota, wyobraża piłkę futbolową podtrzymywaną przez kilka rąk wyraźnie odciętych w nadgarstkach (to chyba powinny być stopy?). Jest także medal, który prezydent FIFA Gianni Infantino wskazał Trumpowi ze słowami: „Panie prezydencie, jest dla pana również piękny medal, który pan może nosić wszędzie, gdziekolwiek pan pójdzie". Donald rzucił się na medal i powiesił go sobie na szyi, zanim ktokolwiek zdążył mu go wręczyć. Komizm sceny był nieodparty – ale nie wszyscy potraktowali ją z humorem. Np. organizacja na rzecz praw człowieka FairSquare złożyła oficjalną skargę na Infantino do komisji etycznej Federacji, wskazując, że kodeks etyki FIFA nakazuje władzom organizacji zachowywać polityczną neutralność.

Podczas gdy prezydent USA odbierał nagrodę za „wyjątkowe i nadzwyczajne działania na rzecz pokoju", jego „sekretarz wojny" Pete Hegseth przekonywał, że wcale nie jest zbrodniarzem wojennym. I nie chodzi nawet o to, że na jego rozkaz amerykańscy piloci zabili co najmniej 95 przypadkowych osób na łodziach w okolicach Wenezueli, w żaden sposób nie sprawdzając, kogo zabijają i czy osoby te rzeczywiście miały cokolwiek wspólnego z narkotykami – ten typ egzekucji pozasądowych jest standardem amerykańskiej polityki zagranicznej. Okazało się jednak, że podczas ataku z 2 września pilot zauważył, że dwie osoby przeżyły – i Hegseth kazał je dobić, co jest zbrodnią wojenną. Teraz Pete tłumaczy, że nie widział ocalałych, bo „obiekt stał w płomieniach" i przez „ogień i dym nie można było nic zobaczyć, to się nazywa mgła wojenna" – a tak w ogóle to wcale go tam nie było: „jak możecie sobie wyobrazić, w Departamencie Wojny mamy mnóstwo pracy, więc tam nie siedziałem". Rozkaz wydał admirał Frank Bradley – dodał uczynnie Hegseth. Jak powie wam każdy terapeuta uzależnień: najważniejszym krokiem w wychodzeniu z alkoholizmu jest wzięcie odpowiedzialności za swoje czyny. Ten krok, jak widać, ciągle przed Pete'em.

Marco Rubio z kolei wytoczył swoją prywatną wojnę czcionce calibri, którą oskarżył o „przebudzeństwo". „Woke" to taka ogólna obelga, której używa amerykańska prawica na określenie postępowania zmierzającego do wyeliminowania dyskryminacji, szanowania wrażliwości grup mniejszościowych, budowania równych szans w zatrudnieniu i edukacji i innych przejawów komunizmu. Sekretarz stanu USA uznał, że na miano „woke" zasługuje prosta i łatwo czytelna calibri, którą wprowadził jego poprzednik Antony Blinken, żeby zwiększyć dostępność dokumentów departamentu dla osób z niepełnosprawnościami, takimi jak niedowidzenie i dysleksja. Ta zmiana jednak – zdaniem Marco – „doprowadziła do degradacji jakości oficjalnej korespondencji departamentu". Teraz Rubio położył kres tym lewackim fanaberiom dyrektywą zatytułowaną: „Powrót do tradycji: czcionka Times New Roman 14 punktów wymagana we wszystkich dokumentach resortu".



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Istotne zmiany zaszły także w departamencie spraw wewnętrznych, odpowiadającym między innymi za parki narodowe. Dotychczas w kalendarzu było osiem dni, kiedy wstęp do parków był bezpłatny – wśród nich dzień pamięci Martina Luthera Kinga, obchodzony w trzeci poniedziałek stycznia, oraz Juneteenth – 19 czerwca, święto upamiętniające zniesienie niewolnictwa. Święto Kinga – który irytuje prezydenta Trumpa szczególnie, bo nie dość, że był czarnym wywrotowcem, to jeszcze dostał pokojowego Nobla – zostało zastąpione przez Dzień Prezydentów, bo prezydentem King nie był, nanananana! Juneteenth natomiast został wyparty przez święto flagi. Które jest – trzeba trafu – także urodzinami Donalda Trumpa. Ponadto organizacja ekologiczna The Center for Biological Diversity pozwała departament spraw wewnętrznych w związku ze zmianą obrazka na kartach wstępu do parku. Dotychczas, zgodnie z ustawą o poprawie jakości rekreacji na terenach federalnych, na rocznej przepustce umieszczane było zdjęcie jednego z parków wybrane w ramach publicznego konkursu fotograficznego. Nowy wzór przepustki zawiera słowa „America The Beautiful" – „Ameryka Piękna" – a poniżej portret George'a Washingtona z jednodolarowego banknotu i zdjęcie Donalda Trumpa.

À propos natury: przemawiając na świątecznym przyjęciu w Białym Domu, Donald Trump ujawnił niezwykłe zainteresowanie przyrodą Peru. Jest to kraj – orzekł prezydent USA – „znany jako miejsce dość niebezpieczne pod względem istot fizycznych pełzających dookoła". Po czym poinformował zebranych na bożonarodzeniowej uroczystości, że w Peru „każdego roku 28 tysięcy osób umiera od ukąszenia pewnego węża. To żmija". A na koniec wykazał się niezwykłą znajomością ofiologii: „Mówi się, że jest najbardziej jadowity. Jest czarna mamba, brązowa mamba i żmija z Peru". Swoją drogą, studium badawcze, przeprowadzone w roku 2017 przez benińskiego uczonego Jeana-Philippe'a Chippaux, wykazało, że w latach 2000–2015 od ukąszeń węża w Peru zmarło 10 osób – co przecież nie ma żadnego znaczenia. Podobnie jak to, że nikt nie jest w stanie dośledzić żadnego związku między żmiją z Peru i Bożym Narodzeniem w Waszyngtonie.

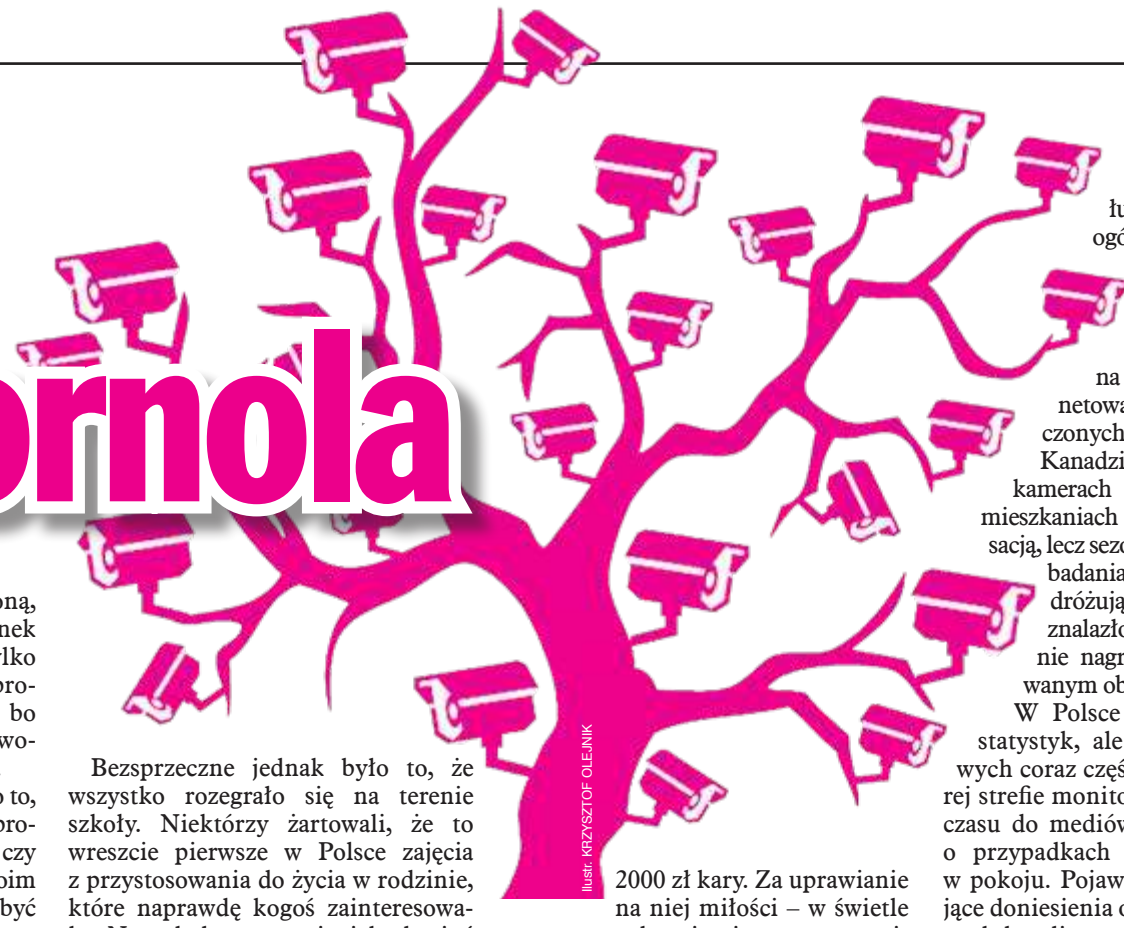
Zwłoki reżysera Roba Reinera – w Polsce znanego głównie dzięki „Kiedy Harry poznał Sally" – i jego żony Michele zostały znalezione w ich domu w Los Angeles, co wprawiło prezydenta Trumpa w stan głębokiej żałoby: „Rob Reiner, udręczony i zmagający się z problemami, ale niegdyś bardzo utalentowany reżyser filmowy i gwiazda komedii, zmarł wraz ze swoją żoną Michele, podobno z powodu gniewu, jaki wywoływał u innych swoim ogromnym, nieustępliwym i nieuleczalnym zakażeniem upośledzającą umysł chorobą znaną jako SYMBOL ZABURZENIA TRUMPEM"… Po czym prezydent dorzucił kilka słów o osiągnięciach zmarłego… Żartowaliśmy: o swoich. „Jego oczywista paranoja osiągnęła nowy poziom, gdy administracja Trumpa przekroczyła wszystkie cele i oczekiwania dotyczące wielkości, a złoty wiek Ameryki nadszedł, być może jak nigdy dotąd". Policja dość szybko znalazła podejrzanego, którym okazał się uzależniony od narkotyków syn pary – ale doceniamy trzeźwość ocen prezydenta. Rzeczywiście, gdyby jakiś wyborca Trumpa wdarł się z nożem do domu któregoś z jego krytyków i zadźgał zaprzańca, a przy okazji jego żonę – nikt nie byłby zaskoczony.

AWŁ

eprasa.pl 43829d5945

Skąd wiecie, czy w internecie nie staliście się celebrytami rozbrykania seksualnego?

Kręcim pornola


ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

W Jeleniej Górze wydarzyło się coś, co trudno było sklasyfikować – czy to już skandal, czy wciąż tylko lekcja poglądowa z edukacji seksualnej dorosłych. Otóż nauczyciel jednej z tutejszych podstawówek dał się złapać. Nie w klasie, nie w pokoju nauczycielskim, ale w najpowszechniejszej dziś świątyni próżności – w internecie.

Nie ma jak w domu

Filmik z jego udziałem, w którym występował w sytuacji zdecydowanie pozaszkolnej, trafił do sieci. Jak potem tłumaczył śledczym, „to była erotyczna rozmowa z kobietą przez komunikator internetowy przesyłający nie tylko dźwięk, ale i obraz". W tłumaczeniu na język prokuratorski: klasyczna wideorandka.

Zostało z niej jednak coś więcej niż wstyd i piksele. Ktoś bowiem nagrał nauczyciela, a potem – jak to bywa w epoce natychmiastowej kompromitacji – puścił nagranie w obieg.

„Brak jest jakichkolwiek przesłanek do stwierdzenia, że w opisanej sytuacji uczestniczyły osoby małoletnie lub też, że na terenie szkoły doszło do zbliżenia" – uspokajał komunikat Prokuratury Okręgowej w Jeleniej Górze.

„Na pewno był po pracy" – mówiła mediom osoba z prokuratury. Czyli teoretycznie po godzinach, prywatnie, w czterech ścianach i, jak zapewniał sam zainteresowany, „w domu".

Wieść o „nagim nauczycielu z Jeleniej Góry" rozniosła się szybciej niż powiadomienie z Librusa. Portale, gazety, serwisy informacyjne – wszyscy chcieli wiedzieć, kto to, skąd, za ile i z kim. W szkole zapanował nastrój nienajciekawszy.

nauczyciel był stroną pokrzywdzoną, bo ofiarą jest ten, którego wizerunek obiegł sieć, a winny ktoś, kto tylko kliknął „udostępnij". W praktyce prokuratorskiej to przypadek rzadki, bo prawo karne nieczęsto obejmuje swoim współczuciem osoby w negliżu.

W całej sprawie najciekawsze było to, że nikt nie chciał zająć się istotą problemu. Bo przecież pytanie brzmi: czy człowiek, który po godzinach i w swoim domu dał się nagrać nago, przestaje być wiarygodnym nauczycielem?

Nie wiadomo. Ministerstwo milczało, kuratorium badało, szkoła – zgodnie z najlepszymi tradycjami oświaty – wolała nie komentować. Uczniowie tymczasem robili swoje: krążyły memy, żarty, pseudonimy. Bo młodzież wie, że świat nie kończy się na zakazach, tylko na ekranie.

Szkoła życia seksualnego

W Tucholi wiosna przyszła tak wcześnie, że zanim rozkwitły pierwsze bratki pod liceum, w szkolnych murach już zakwitła namiętność. Dwójka nauczycieli z Zespołu Szkół Licealnych i Agrotechnicznych postanowiła pogłębić relację zawodową, zespoliwszy swe ciała pedagogiczne. Na nieszczęście dla nich spotkanie to nie pozostało tajemnicą. Do sieci trafiło nagranie, na którym widać coś bardziej życiowego, niż opisują to podręczniki do biologii. Po paru godzinach wszyscy już wiedzieli, gdzie, kiedy i kto.

Dyrektor szkoły początkowo nie dowierzał. „Przecież to doświadczeni nauczyciele, specjaliści. Nie mieli prawa tego robić" – mówił mediom, mając na myśli nie tyle sam akt, co jego scenerię. Bo o ile nagość nie jest przestępstwem, o tyle szkoła nie jest miejscem na empiryczne zajęcia z edukacji seksualnej.



Rys. JANUARY

Kurator – człowiek, który zdążył już przeżyć niejedną oświatową aferę – tonował emocje: „Postępowanie jest w sprawie, a nie przeciwko nauczycielowi. I wcale nie musi skończyć się karą" – mówił z powagą.

Ale internet już wiedział. Internet nie potrzebuje dochodzenia – wystarczy mu kadr, link i sensacja.

Prokuratura ruszyła z urzędu. Sprawa dotyczyła – jak precyzowano – „utrwalenia oraz rozpowszechniania wizerunku nagiej osoby bez jej zgody", czyli poważnego przestępstwa z artykułu 191a kodeksu karnego. I to

Rzeczniczka kuratorium w Bydgoszczy była stanowcza. „Przecież to się w głowie nie mieściło, żeby to mogło być prawdziwe. To jest czyn karygodny" – a potem dodała, że sprawa trafi do rzecznika dyscyplinarnego. Nauczyciele zostali zawieszeni.

Policja w Tucholi musiała wyjaśniać, że nie zajmuje się „aktami miłosnymi", bo – jak zauważył jej rzecznik – „to nie jest zabronione". Zajmuje się tym, kto film wrzucił do sieci.

Bezsprzeczne jednak było to, że wszystko rozegrało się na terenie szkoły. Niektórzy żartowali, że to wreszcie pierwsze w Polsce zajęcia z przystosowania do życia w rodzinie, które naprawdę kogoś zainteresowały. Na szkolnym czacie jęły krążyć dowcipy o „zintegrowanym nauczaniu przedmiotów humanistycznych i przyrodniczych".

Biologia spod bokserek

W Garwolinie przez parę miesięcy tematem numer jeden było to, że uczący biologii nauczyciel postanowił wziąć urlop od wstydu. W sieci pojawiło się krótkie nagranie, na którym młody pedagog występuje w roli, której nie przewiduje żaden program nauczania. Na nagraniu nie tylko zdejmuje bokserki, ale też prowadzi pikantną rozmowę. Filmik krążył po komunikatorach szybciej niż szkolne plotki na przerwie.

Zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa złożył dyrektor szkoły. „Dyrektor jednej ze szkół w Garwolinie złożył zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa. Sprawie został nadany bieg w kierunku art. 191a kk, dotyczącego rozpowszechniania wizerunku nagiej osoby" – informowała miejscowa policja.

Sam nauczyciel, którego oczywiście zawieszono, nie uciekał od mediów. „To nagranie jest sprzed 1,5 roku. Wysłałem je do osoby dorosłej. Wiem, co zrobiłem i czego nie zrobiłem. Też jestem w tym pokrzywdzony" – tłumaczył.

Na film reagowały setki ludzi. „Niech wstydzi się, że uczył dzieci!" – pisała jedna z matek, której dziecko dopiero zaczynało naukę liter. „A co, jakby to był mój syn?" – pytała inna.

Wszyscy zapomnieli, że ktoś to nagranie musiał upublicznić. Bo to nie belfer wysłał film, tylko ktoś, kto postanowił zrobić z prywatności prezent dla całej sieci. Tę część śledztwa policja prowadziła w ciszy, bo tam, gdzie kończą się emocje, zaczyna się kodeks karny.

W świetle jupiterów

Wrocław, ostatni weekend czerwca, niedziela. Na Tarczyński Arenie była godzina 4.20. Kończył się Ultrace 2025, zlot tuningowanych samochodów, jedna z największych imprez motoryzacyjnych w Europie. Trybuny puste, parkingi pełne, a na środku stadionu – dwoje ludzi.

Z oddali ktoś włączył kamerę. Nagranie trwa ledwie kilka sekund. Widać parę – nagich, beztroskich, roztańczonych w rytmie własnych hormonów. Filmik trafił na platformę X i w okamgnieniu obiegł internet. Komentujący prześcigali się w interpretacjach. Jedni krzyczeli o „upadku obyczajów", inni o „odwadze artystycznej". Ktoś dopisał, że „wreszcie coś ciekawego na polskim stadionie".

W poniedziałek rano władze Tarczyński Areny wydały komunikat: „Sprawdzamy prawdziwość i okoliczności nagrania. Wyjaśniamy szczegóły z organizatorem imprezy Ultrace Official oraz firmą odpowiedzialną za ochronę. Jeśli zapis z monitoringu potwierdzi zdarzenie, sprawa zostanie zgłoszona na policję".

Godzinę później potwierdzili, że kamery widziały więcej, niż by chciały. Para została zidentyfikowana. To uczestnicy nocnej imprezy, oboje 34 lata, oboje z Polski.

Zgodnie z regulaminem stadionu za wejście na murawę bez zgody grozi 2000 zł kary. Za uprawianie na niej miłości – w świetle prawa – trochę więcej: areszt, ograniczenie wolności, grzywna do 1500 zł albo nagana.

O 15.30 głos zabrała rzeczniczka policji: „Postępowanie będzie prowadzone w kierunku wykroczenia, jakim jest dopuszczenie się do nieobyczajnego wybryku" – poinformowała z godnością. Ochrona stadionu zapewniała, że w czasie incydentu „czujność została czasowo osłabiona", co w tłumaczeniu na język potoczny znaczy, że wszyscy spali.



Rys. JANUARY

W świecie, w którym każdy ma w kieszeni kamerę, intymność przestała być prywatna. Wrocławski duet – świadomie czy nie – został bohaterem epoki. Kiedyś kochano się w stodole, w samochodzie, na plaży. Dziś – na stadionie z systemem CCTV i czujnikami ruchu.

Władze stadionu zapowiedziały zaostrzenie kontroli. Ochroniarze mają częściej patrolować murawę, a organizatorzy imprez – „monitorować zachowania uczestników".

Wielki Brat

Budynek, w którym śpisz, może cię nagrywać. Taką myślą powinien zaczynać i kończyć każdą podróż współczesny człowiek, który z naiwną ufnością zasypia w nie swoim łóżku. Bo to nie tylko kwestia wygody, lokalizacji czy ceny. To przede wszystkim kwestia ścian i mebli, których nie znasz. A na których może czaić się wszystko.

Maleńkie kamery internetowe to nie futurystyczna zabawka Jamesa Bonda ani sprzęt rodem z filmów o podsłuchach. To dostępne dla każdego, banalnie proste w obsłudze i coraz tańsze urządzenia, które można zamówić z dostawą do paczkomatu. Wystarczy kilka kliknięć i dwadzieścia parę złotych. W zamian otrzymujesz coś, co można wetknąć w głośnik bluetooth, zawiesić na czujniku dymu, wtopić w ścianę ładowarki czy zainstalować w obudowie lampy. Kamera nie mruga, nie wydaje dźwięków, nie miga żadną diodą. Po prostu patrzy.

I choć większość hoteli nie ma interesu w prowadzeniu takich działań, nie oznacza to, że proceder nie istnieje. Istnieje. I nie tylko w tanich motelach na obrzeżach azjatyckich miast. W Korei Południowej ujawniono ogólnokrajową sieć ukrytych kamer w 42 hotelach. Zarejestrowano 1600 gości. Obraz z nich trafiał na płatną stronę internetową. W Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii czy Kanadzie raporty o ukrytych kamerach w wynajmowanych mieszkaniach Airbnb nie są już sensacją, lecz sezonową normą. Według badania z 2019 r. 11 proc. podróżujących deklarowało, że znalazło podejrzane urządzenie nagrywające w wynajmowanym obiekcie.

W Polsce nie ma oficjalnych statystyk, ale w kręgach branżowych coraz częściej mówi się o „szarej strefie monitoringu". Od czasu do czasu do mediów trafiają informacje o przypadkach znalezienia kamery w pokoju. Pojawiają się też niepokojące doniesienia o współpracy prywatnych hoteli z państwowym aparatem, jak choćby w przypadku Polish Hotel Holding, który według „Wyborczej" miał uczestniczyć w działaniach nadzorczych wobec gości powiązanych z opozycją.

Oficjalnie – nie wolno. Prawo nieomal wszędzie zabrania rejestrowania gości hotelowych bez ich wiedzy i zgody. Kamera w lobby – proszę bardzo. Ale kamera w pokoju – to już nie. Problem w tym, że prawo to nie egzekucja. Że nie istnieje uniwersalna aplikacja, która w trzy sekundy wykryje ukrytą soczewkę. Że gość często nie ma pojęcia, że był nagrywany. A nawet jeśli się domyśli – nie ma dowodu. A jeśli nawet ma dowód – nie ma odwagi.

Ochroną przed nagrywaniem nie są ustawy. Bo choć ich litera jest jednoznaczna, to

praktyka potrafi być bezradna. Policjant machnie ręką. Prokurator umorzy. Hotelarz się wyprze. I nic z tego nie wyniknie. Jedyną realną formą obrony jest więc zmiana nastawienia. Rezygnacja ze wstydu. Bo tylko wtedy, gdy nie wstydzisz się tego, co robisz – nie dasz się zastraszyć cudzą kamerą.

Żyjemy w świecie, w którym prywatność stała się towarem. A gdy nie kontrolujemy, kto nas ogląda, zostaje jedno: nie bać się być oglądanym. Kiedyś mówiono: zachowuj się tak, jakbyś był cały czas obserwowany. Dziś to już nie aforyzm. A wyzucie z wszelkiej pruderii to zasada przetrwania.

TOMASZ BOROWIECKI

eprasa.pl 43829d5945

Różne oblicza dziennikarstwa sportowego

„Grześ” u spowiedzi

Każdy kryje przed światem jakieś tajemnice. Trudno wymagać, żeby dziennikarz sportowy był inny. Czasem dobrze jednak zajrzeć w zakamarki duszy i ujawnić, co się w nich kryje albo księdzu, albo psychoanalitykowi, albo – jak ja teraz – Czytelnikom.

Dziennikarz sportowy powinien zachowywać bezstronność, swoje sympatie zatrzymywać dla siebie. Oczywiście nie dotyczy to występów kadry narodowej. Tu wyrażanie poparcia dla swoich jest wręcz obowiązkowe. Inaczej sprawy przedstawiają się z klubami, poszczególnymi dyscyplinami czy zawodnikami. Etyka zawodowa nakazuje pełną neutralność. Czy rzeczywiście nie mam swoich sympatii?

Legia w alkoholu

Jako urodzonego Warszawiaka, pracującego w stołecznych redakcjach, podejrzewano mnie o faworyzowanie na łamach prasy Legii. Ponoć swego czasu skarga trafiła nawet do Wydziału Prasy KC PZPR. Ponieważ jednak nikt nie potrafił przeciw mnie wskazać konkretnego dowodu – bo takiego po prostu nie było – wyciągnięto cięższą armatę: redaktor Mittelstaedt nadużywa alkoholu. Tu akurat łatwo było mnie trafić, choć fakt ten nie miał nic wspólnego z moją rzekomą sympatią dla Legii Warszawa i faworyzowaniem tego klubu na łamach.

Jak było w rzeczywistości, teraz – jako emeryt – mogę się przyznać, zwłaszcza w okresie świątecznym, gdy wielu ludzi udaje się do spowiedzi. W tamtym okresie stolica miała trzy silne kluby: Legię, Gwardię i Polonię. Gwardii nikt nie lubił, był to klub milicyjny. Bywałem na jej meczach, gdy redakcja mnie posłała. Trybuny świeciły pustkami. Oglądałem widowisko, później je opisywałem, ale jakoś bez mocniejszego bicia serca. Wcale nie dlatego, że klub był milicyjny, przecież wiedziałem, że z ZOMO ma niewiele wspólnego. Każdy klub był przypisany do jakiejś branży i zawodnicy pobierali pensje w podległych jej instytucjach. Po prostu na Gwardii wiało nudą.

Na Legii bywałem najczęściej. Czy jej kibicowałem? Daję słowo honoru, że nie. Wykonywałem tylko mój obowiązek, starałem się robić to jak najrzetelniej i obiektywnie. Nie lubiłem, gdy wysyłano mnie na mecz Legii, bo wiedziałem, że na trybunie zmarznę, cieszyłem się natomiast, bo wiedziałem, że znajdę się w ciekawym towarzystwie. Na stadion przy ul. Łazienkowskiej przychodził kwiat polskiego dziennikarstwa, także aktorzy, piosenkarze, czyli ówcześni celebryci. Można się było otrzeć o wielki świat, oczywiście taki na skalę PRL.

Z niecierpliwością czekałem na przerwę w meczu. Zapraszano nas do klubowej świetlicy, gdzie dostawaliśmy szklankę cienkiej, gorącej herbaty, mogliśmy pogadać, wymienić się plotkami, pożartować. Było ciekawie.

Najważniejsze persony zapraszano do gabinetu, gdzie zapewne podawano coś mocniejszego niż nasza jasnożółta herbatka, bo goście wychodzili stamtąd z rumieńcami na policzkach, a niektórzy w ogóle nie wychodzili na drugą połowę. Oczywiście zazdrościłem im trochę, bo plotki o moim ówczesnym zamiłowaniu do mocnych trunków, którymi oczerniano mnie podczas zebrania w Wydziale Prasy KC PZPR, poświęconego sprzyjaniu stołecznym drużynom przez warszawskich dziennikarzy, były – przyznaję z żalem – prawdziwe.

Warszawiak kibicuje Ruchowi

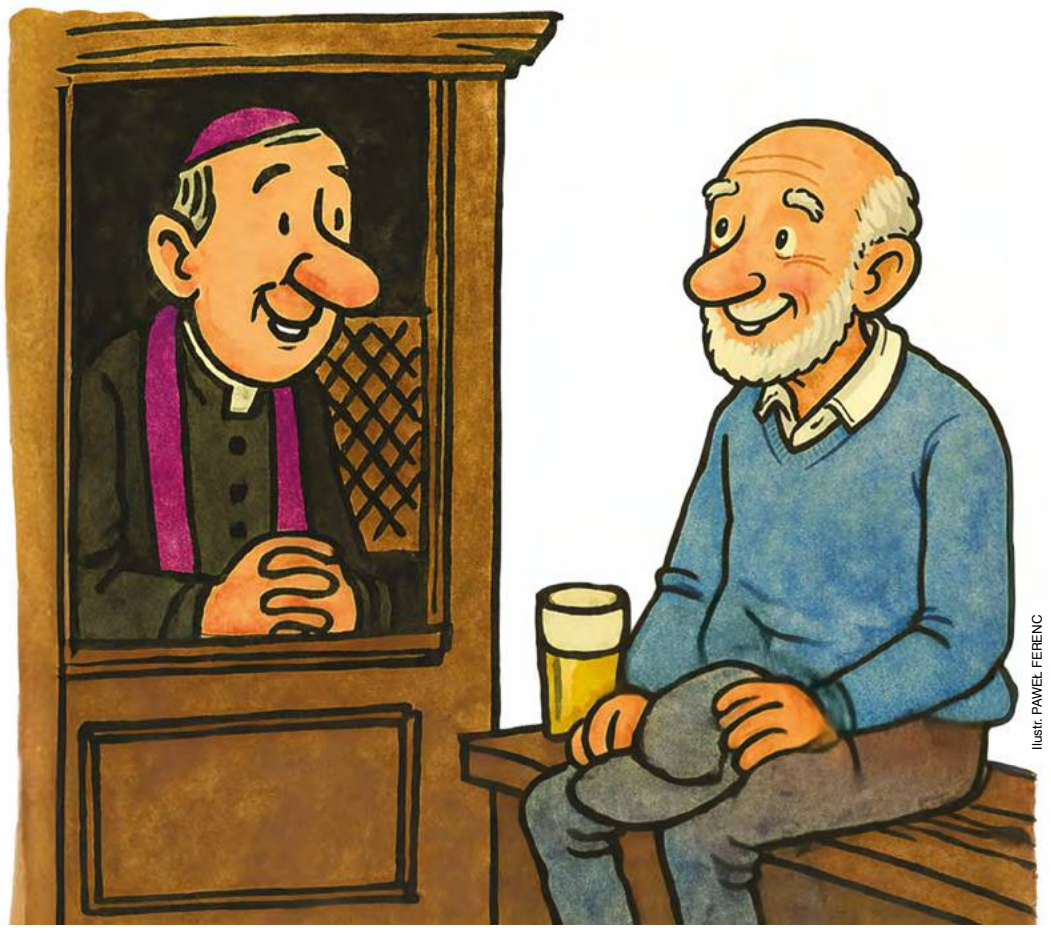
Co ciekawe, najmniej wryły mi się w pamięć wizyty przy ul. Konwiktorskiej na meczach Polonii. Ciekawe, bo jako urodzony Warszawiak powinienem sympatyzować właśnie z tym klubem. Wiekowi kibice ze stolicy są do dziś najczęściej kibicami Polonii.

Kontynuuję spowiedź: owszem, miałem na samym dnie serca głęboko skrywaną przed obcymi sympatię do pewnego klubu. Chodziło o Ruch Chorzów. Uczucie wywodziło się jeszcze ze studenckich czasów, gdy nie wiedziałem, że zostanę dziennikarzem sportowym i będę zobowiązany do zachowywania neutralności wobec wszystkich grających w lidze klubów.

Mieliśmy kolegę Ślązaka, który twierdził, że wszystko na Śląsku jest najlepsze, nawet zapytany o najwybitniejszą polską aktorkę odpowiedział bez namysłu: Aleksandra Śląska. Kibicował Ruchowi i nas nauczył tego samego. Jeśli chorzowski zespół przyjeżdżał do stolicy, obowiązkowo chodziliśmy na mecz, raz, czy dwa razy pojechaliśmy z kumplem na Śląsk.

Ale co to był za Ruch! Z Edwardem Hermanem i Eugeniuszem Faberem na skrzydłach, Józefem Gomoluchem na środku ataku, z Zygmuntem Maszczykiem w pomocy, Jerzym Wyrobkiem w obronie. Możecie mi wierzyć lub nie, ale kilka lat temu w Spale, w towarzystwie emerytów związanych kiedyś ze sportem, rozmawialiśmy o piłce nożnej z naszych młodych lat. Przyznałem się do kibicowania Ruchowi i z pamięci wymieniłem prawie cały skład. Jeden z niedowiarków, ale obeznany z elektroniką, sprawdzał w smartfonie poprawność mojej wypowiedzi i okazało się, że przeoczyłem może dwa nazwiska, a pomyliłem tylko jedno. Dziś już bym tak nie potrafił. Czas robi swoje.

Piłka nożna nie była jednak dyscypliną, którą najczęściej się zajmowałem. Po rozpoczęciu pracy w „Przeglądzie Sportowym” na mojego nauczyciela zawodu wyznaczono redektora Lecha Cergowskiego. Szef był znanym nie tylko w Polsce specjalistą od opisywania wyścigów kolarskich, siłą rzeczy kolarstwo stało się dyscyplina sportu, o której najczęściej pisałem, choć początkowo nic o niej nie wiedziałem. Lech Cergowski mówił oczywiście do praktykanta na „ty”, ja zwracałem się do niego „panie redaktorze”. Po roku czy dwóch latach dostałem zgodę na mówienie do przełożonego „Leszku”, ale nigdy z niej nie skorzystałem i do jego śmierci w 1986 r. zwracałem się „Szefie”, choć z czasem bardzo się zaprzyjaźniliśmy.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Prócz tajników kolarstwa „Szef” wpoił mi jedną zasadę: w redakcji nie wolno pić alkoholu, nawet piwa, za to gdy wyjeżdżasz na zawody, już po minięciu rogatek Warszawy możesz otwierać pierwszą butelkę. Otwierałem zwykle więcej niż jedną.

Z „Pepikiem” na przełaj

Z tym kolarstwem był pewien problem. W zimie nic się nie działo, a żyć z czegoś było trzeba. Lech Cergowski prócz kolarstwa pisał także o szermierce, ja nie miałem drugiej nogi, moja wypłata ograniczała się do gołej pensji, wierszówka znikała prawie do zera. Ratunkiem było kolarstwo przełajowe.

Kolarstwo przełajowe, czyli jazda po błocie lub śniegu, podczas której na podjazdach zawodnik nosił rower na ramieniu i z nim podbiegał, traktowane było u nas jako element treningu szosowców i torowców. Dziś mało kto wie, że pierwszy tytuł kolarskiego mistrza Polski Ryszard Szurkowski zdobył nie na szosie, ale właśnie na błotnistej trasie. Kibiców w ogóle to nie obchodziło. Uparłem się i na siłę wciskałem informacje o przełajowcach, mając w tym zresztą własny finansowy interes.

Niedaleko Warszawy sezon przełajowców otwierał Memoriał „Pepika”. Ta impreza przynajmniej miała jakąś rangę i godną oprawę, o którą starała się czechosłowacka ambasada. „Pepik” miał być czeskim partyzantem zastrzelonym podczas II wojny światowej przez Niemców. Ponieważ Czechosłowacja cierpiała na chroniczny niedostatek bohaterskich partyzantów, ambasada dawała pieniądze na organizację zawodów, oprawę, przywoziła dla dziennikarzy kartony wybornego pilzneńskiego piwa i w ogóle starała się honorować patrona imprezy. „Pepik” to konspiracyjny pseudonim bohaterskiego Czecha, którego nazwiska nie pamiętam. Już wówczas rodziło się w nas pewne niedowierzanie, bo jeśli Czech – a przecież niewielu ich mieszkało w podwarszawskiej wsi – przyjął taki pseudonim, łatwo było go zidentyfikować, wiadomo jak w Polsce mówi się żartobliwie o południowych sąsiadach. Wątpliwości zagłuszaliśmy natychmiast żółtym napojem. Piwo należy do napitków niskoprocentowych, ale jeśli ma się do dyspozycji całe jego kartony, można sobie poradzić.

Po zmianie ustroju przyszedł czas na odkłamywanie historii. Prędko wyszło na jaw, że „Pepik”, jak mówili na niego sąsiedzi, nie był żadnym partyzantem, tylko złodziejem, który kradł i sprzedawał drewno z lasu. Podczas tej czynności zastrzelił go niemiecki żandarm i tyle było prawdy w bohaterskich dziejach partyzanta. Wyścig zniknął tak dokumentnie, że dziś nie ma po nim śladu nawet w internecie. Wiem, bo szukałem tam informacji, jak nazywała się podwarszawska miejscowość, której nazwy zapomniałem, ale o żadnym Memoriale „Pepika” mój komputer nic nie wie.

Za dewizy

Ale wracamy do czasów PRL. Przeniosłem się z „Przeglądu Sportowego” do działu sportowego „Trybuny Ludu”. Tam prócz kolarstwa dostałem do obsługiwania kilka innych dyscyplin, m.in. hokej na lodzie i piłkę ręczną, miałem więc co robić zimą. Posyłano mnie także na mecze futbolowe, o czym wcześniej pisałem. Miałem na czym zarabiać, ale serce zostało jednak przy kolarstwie.

Nie zaprzestałem forsowania kolarstwa przełajowego. Traf chciał, że w tym czasie pojawiła się u nas prawdziwa gwiazda tej dyscypliny. Nieżyjący już Grzegorz Jaroszewski zaczynał jako torowiec w Żyrardowie, ale dość prędko zdecydował się na specjalność, w której – jak napisałem w jakimś sprawozdaniu i co później czasem powtarzano – zarówno kolarz jeździ na rowerze, jak i rower na kolarzu.

Grzegorz Jaroszewski niemal zmonopolizował mistrzostwa Polski, wygrał je 10 razy, a raz był drugi. Zdobył srebrny i brązowy medal mistrzostw świata. Mało tego, na rynku krajowym pojawił mu się konkurent w postaci Andrzeja Mąkowskiego rodem z Polic, też srebrnego medalisty mistrzostw świata.

O przełajach pisałem tak dużo i tak często, że koledzy zaczęli sobie robić ze mnie jaja i przez jakiś czas w żartach nazywali mnie „Grzesiem”, na cześć Jaroszewskiego. Ja wyciągnąłem z tego niespodziewaną korzyść. Za komuny kraj cierpiał na permanentny brak dewiz. O każdy nasz dziennikarski wyjazd na Zachód trzeba było staczać boje. I oto dostałem zgodę na delegację do holenderskiego Oss, gdzie rozgrywano mistrzostwa świata w kolarstwie przełajowym. Mało tego, pozwolono mi na przedłużenie pobytu (oczywiście na własny koszt) w Holandii o 10 dni.

Mój ojciec, więzień obozów koncentracyjnych od początku wojny, miał już pewne stosunki. Gdy zaczęto tam przywozić holenderskich Żydów skazanych na śmierć, ojcu udało się zamienić kilku z nich numery z wcześniej zmarłymi i w ten sposób uratował im życie. Ich potomkowie pamiętali o potomku bohaterskiego doktora Mittelstaedta i zaprosili mnie do Amsterdamu. Pokazali wszystko, co było tam najpiękniejszego. Także dzielnicę czerwonych latarni, gdzie prostytutki siedziały na wystawach, jak towary w sklepach. Na przybyszu z purytańskiego kraju demokracji ludowej wywarło to większe wrażenie niż Muzeum van Gogha. Jak spowiedź, to spowiedź – i to musiałem wyznać.

Gdy nic się nie dzieje

Od dłuższego czasu oglądam audycję „Sportowy Wieczór” na antenie TVP Sport. Troszkę się na tym znam i mogę z pełną odpowiedzialnością stwierdzić: program jest znakomicie robiony. Fachowe komentarze i obrazki nie ograniczają się do futbolu, jest tam przegląd wydarzeń z różnych dyscyplin i informacje o dokonania w nich Polaków, nie brakuje dobrej publicystyki. Troszkę – moim zdaniem – za mało jest w sezonie żużla, o ile nie relacjonuje go TVP.

Z uśmiechem patrzę, jak dziennikarze muszą utkać audycję w dni, gdy nic ważnego się nie dzieje. To samo przeżywałem w redakcjach, w których pracowałem. Szczególny był okres świąteczno-noworoczny.

Poza Turniejem Czterech Skoczni w narciarstwie i Boxing Day w angielskiej Premier League sportowe areny na kilka dni zamierały, a gazeta musiała się ukazać, podobnie jak teraz program w TVP Sport.

Nie raz i nie dwa ratowałem sytuację, pisząc o kolarstwie przełajowym (ciekawostki, sylwetki sportowców, przygotowania do zawodów), a w TVP Sport mają redaktor Weronikę Nowakowską. To była biathlonistka, jedyna Polka, która w tej dyscyplinie zdobyła dwa medale mistrzostw świata. Po zakończeniu kariery zaczęła pracę dziennikarki sportowej w TVP. Jest świetna. Podziwiam jej sprawność, poprawność posługiwania się językiem, no i – w ogóle – warsztat.

Z niejakim rozrzewnieniem patrzę, jak Weronika Nowakowska na siłę promuje w TVP Sport biathlon. Przypominają mi się czasy, gdy byłem „Grzesiem” i łokciami przepychałem na łamach kolarstwo przełajowe. Często informuje o zawodach Pucharu Świata w biathlonie i „znakomitych” wynikach Polek i Polaków w trzeciej albo czwartej dziesiątce. Wysyłają Weronikę Nowakowską na zagraniczne imprezy, z czym nie ma wielkiego kłopotu, bo dzisiaj złotówki są dewizami i nie trzeba o nie żebrać u decydentów.

Choć pani Weronika wyjeżdża za granicę z kraju, w którym swobodę osobistą kobiet ograniczają średniowieczne przepisy, nie musi szukać podniet, jak swego czasu ja w Amsterdamie. Zresztą, wątpię, czy mama bliźniaków w ogóle by ich szukała.

Między Weroniką Nowakowska a mną jest jeszcze jedna zasadnicza różnica. Ona była wybitną sportsmenką, a ja kiepskim piłkarzem ręcznym na poziomie drużyn młodzieżowych. Tego nic nie zmieni.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Izabela Szolc, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–32 – 16.12.2025 r.

eprasa.pl 43829d5945

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Psy zadzwoniły łańcuchami do taktu „Mazura kajdaniarskiego" i zaśpiewały ludzkim głosem: „Wróg ma dla nas kajdan dużo/ ma też dużo turem". Przydacz zawył, Cenckiewicz zaszczekał, a rosyjskie MiG-i darowane Ukrainie przez Polskę zagrzmiały odrzutowym hukiem.

Prezydent Nawrocki wyciągnął się na szezlongu, spoglądając w niebo. Nie zauważył pierwszej gwiazdki, cierpiał bowiem na typowe dla bokserów i narodowców zmętnienie rogówki zwane bielmem. U niego schorzenie to było atypowe – widział tylko to, co chciał. Podobnie z uchem wewnętrznym: słyszał to, co było mu na rękę.

Gdy najmował się do tej roboty, myślał jak bokser i narodowiec: posada jak złoto, mało roboty, dużo kasy, splendory, turniury, wety, lary i penaty. Jakże się pomylił! Musiał chodzić jak leszcz, uśmiechać się jak dureń, a gdy zdarzało mu się wrzasnąć po pięściarsku i na narodową nutę, to miano do niego pretensje jak do garbatego, że ma proste dzieci.

Jebać Tuska! – przykazali mu pisowcy podczas kampanii wyborczej i zdania nie zmienili. Jebać Tuska i Kaczyńskiego! – dodali konfiarze. Jebać Tuska i Mentzena! – skorygowali pisowcy. Pierdolca można dostać… Ale on, prezydent Rzeczpospolitej, nie jest chorągiewką ani niczyim podnóżkiem. Jest bokserem, narodowcem i swój rozum ma. Rozum ten podpowiada mu, że im więcej zamieszania, tym lepiej. Dezorientacja, kantowanie, mamienie, bałamucenie, cyganienie.

A właśnie, że cyganienie! Nie żadne romowanie, tylko cyganienie! Murzyni, a nie Afroamerykanie! Ukraińcy muszą przepraszać i dziękować! Dość zginania karku i poprawności politycznej.

Czyli chaos i bałagan. Wkurzeni ludzie, bo ludzi wkurza bajzel. W harmidrze pragną silnej ręki. I on, prezydent Rzeczpospolitej, im tę rękę poda. W imieniu PiS-u i Konfederacji, lecz przede wszystkim w ich imieniu – narodu. A także w swoim: boksera i reprezentanta narodu.

Poda silną rękę i ściśnie. Żeby był porządek…

Coś błysnęło, coś zamigotało. Pierwsza gwiazdka to czy wraży dron?

Porządek… Media mają informować, a nie tefałenić. Dawać po polsku nadzieję, a nie po niemiecku onetować. Tokefemić, agorzyć, niusłikować. Trzeba ludziom powiedzieć, komu zależy na dobru, postępie i pomyślności narodu, a kto jątrzy, drapie i rozgrzebuje. I on, prezydent Rzeczpospolitej, im to powie. Powie, bo wie, a wie to, co może powiedzieć. Lecz wie też to, czego nie może powiedzieć. Dlatego prosi o wiarę i zaufanie. Nie partyjne, pisowskie i konfiarskie, tylko bokserskie i narodowe.

– Pora na wieczerzę – zaszczekał Bugucki.

Przydacz zawył, Szefernaker zaskomlał, a psy wróciły do mazura: „Uczuć naszych mur nie studzi/ Płoną one żarem/ I w tym piekle żyjem młodzi/ Całym życia czarem!".

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

JOANNA SENYSZYN szykuje się do fetowania Nowofalnego Narodzenia. **AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA** jest z niej bardzo dumna.



Senyszyn: – 9 grudnia 2025 r. moja Nowa Fala została wpisana do rejestru partii politycznych.

Wołk-Łaniewska: – Hurra! Niech żyje!

– Kto?

– No jak to kto, ty! I twoja partia też.

– Dobrze, bo już się bałam, że wznosisz okrzyki na cześć rejestru.

– Do rejestru mam niejakie zastrzeżenia, odkąd prof. Pawłowicz kazała mu wykreślić z siebie Komunistyczną Partię Polski. Ale twoją partią nieco się zrehabilitował.

– Decyzja uprawomocni się po dwóch tygodniach – czyli 23 grudnia. Tym samym od 2025 r. będziemy już obchodzić nie Boże Narodzenie, a Narodzenie Nowej Fali prof. Senyszyn.

– To będziesz teraz miała nowy powód do obchodzenia wigilii Wigilii.

– Właśnie! Przyjedziesz?

– Przyjechałabym z rozkoszą, ale będę już w Białymstoku.

– Więc z tobą uczcimy później, ale żałuj, że cię ominie moja tradycyjna gdyńska wigilia Wigilii. W tym roku będzie wyjątkowo dużo gości, a tym samym różnych spécialité de la maison, bo każdy przynosi coś pysznego do jedzenia lub do picia.

– Specjalności domu do picia?

– A jak! Jest przecież Dom wina, Dom whisky…

– A ja już się ucieszyłam, że ci goście samogon znoszą… Ale u was, burżujów, to pewnie nie uchodzi.

– Myślałby kto, że ty gości bimbrem poisz, jak prawdziwa proletariuszka…. Zmieniając temat: słyszałaś, że Szymon Hołownia był na krótkiej liście, ale okazała się za długa…

– Ja mam do Hołowni skomplikowany stosunek. Z jednej strony – absolutnie rozumiem, dlaczego facet, który głosował za zawieszeniem azylu i ustawową bezkarnością mundurowych „niezgodnie z zasadami" strzelających do uchodźców – niekoniecznie nadawał się na funkcję wysokiego komisarza ds. uchodźców. Z drugiej – mnie się podobał jego styl marszałkowania. Zwłaszcza w porównaniu z nowym…

– W dwójcy jedynym, bo i marszałek, i przewodniczący partii. A może i w trójcy, bo klubem poselskim kieruje poprzez Żukowską, z którą jest jedną duszą…

– Zdecydowanie w trójcy, zważywszy na to, jaką bojaźń bożą budzi w sercach swoich podwładnych, którzy najpierw podwinęli ogony i pokornie zrezygnowali z kandydowania w zamian za miejsce w gronie 10 apostołów, a teraz biegają po mediach i sławią imię jego… Tylko Kwaśniewski pozwolił sobie na niejaką złośliwość, mówiąc do delegatów: „Macie dobre kierownictwo, wybrane przez was samych, więc sami sobie zgotowaliście ten los"…

– Na mnie Kwach zrobił wrażenie faceta, który klaskał, ale się nie cieszył. I nie wiem, po co mu to było. Chyba że w transakcji wiązanej z szefem kancelarii sejmu.

– A ja mam – naiwne zapewne – przekonanie, że Kwaśniewski jest jakoś tam lojalny wobec formacji i nie chce jej dodatkowo topić poprzez szczere mówienie tego, co myśli. I tak, wiem, że nie zawsze był lojalny, zwłaszcza wtedy, kiedy wielbił wujka Bronka i wieszał Orły Białe na politykach Unii Wolności z Balcerowiczem włącznie – ale teraz wyraźnie nabrał tego dystansu, o którym Czarzasty tak marzy. Co może się wiązać z tym, że Włodzio mu może skoczyć obunóż na pawęż…

– W odróżnieniu od czynnych polityków, którzy gniew trójcy mogą odczuć boleśnie.

– Jak na przykład Razem, co zagłosowało przeciwko czarzastemu wlaskowstąpieniu. Nie jestem wielbicielką Razem – a już na pewno Braunowej Korony – ale decyzja o wykluczeniu kół z Konwentu Seniorów jest niedemokratyczna, małostkowa i po prostu gówniarska.

– To powrót do tego, co było za pisowskiej marszałek Witek. Wtedy na polecenie Kaczyńskiego, teraz zapewne Tuska, bo dyktatorska władza polega także na ograniczaniu przeciwnikom politycznym dostępu do informacji. Hołownia się z tego słusznie wyłamał i zapraszał szefów kół na konwent. Nowy przywrócił pisowskie zwyczaje, bo mu mentalnie pasują. Zmieniając temat: zauważyłaś, że patriotyzm szaleje w Platformie, tfu, w Koalicji Obywatelskiej?

– Już dawno. Co najmniej od kiedy kandydat Trzaskowski zażądał wprowadzenia obyczaju, żeby na ulicy zaczepiać żołnierzy i dziękować im za służbę.

– Teraz to płynie z najważniejszych ust. Tusk ogłosił, że CPK będzie się nazywał Port Polska, więc teraz już warto go budować. CPK – choć kpiono, że to skrót od „Cały PiS kradnie" – nawiązywał do przedwojennego COP. Port Polska budzi skojarzenia z pisowskim obłędem dodawania słowa narodowy do wszystkiego. O tyle słusznie, że jest tuskową próbą przejęcia od Kaczyńskiego gry na coraz powszechniejszych nacjonalistycznych nastrojach.

– Jest jeszcze lepiej. Przemawiając na evencie z okazji 80. rocznicy przyłączenia ziem odzyskanych – które zgodnie z dobrą peerelowską tradycją nazwał Polską Piastowską – Donald Tusk wzniósł ulubiony okrzyk nazioli: „Tu jest Polska!". À propos nazioli: rozczulił mnie Karol Nawrocki, który obszedł 13 grudnia, mówiąc o sobie, jak zwykle, w trzeciej osobie: „Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej nigdy nie zgodzi się na brak dziejowej sprawiedliwości! Niech żyje Polska, precz z komuną!". Jak nieboszczka wyzionęła, chłopaczyna miał sześć latek, nie zdążył sobie powalczyć, ale teraz jest nieprzejednany…

– Może jednak zdążył. Urodził się 3 marca 1983 roku, więc w stanie wojennym bohatersko przetrwał 142 dni, a jeśli liczyć od poczęcia, to nawet 422 dni. Mógł na przykład w wózeczku, pod kocykiem przewozić ulotki. Wszak, według IPN, tzw. wyklęci, żeby się w III RP załapać na kombatanctwo, nie musieli walczyć z bronią w ręce. Dzieckiem w kolebce, kto łeb urwał Hydrze, ten młody dojdzie do prezydentury…

– Ja wolę wersję: „dziecku w kolebce kto łeb urwał chytrze"…

– Dowcip mi to przypomniało. Facet chodził po domach w Wigilię i pytał: „Czy wezmą państwo niemowlę na święta? I pewna rodzina przez trzy lata brała, a w czwartym pani domu mówi: „W tym roku mamy karpia".

– Co mi przywodzi na myśl mój ulubiony dialog o dzieciach: „Bo ty nie lubisz dzieci!". „Bardzo lubię, ale nigdy nie zjadam całego naraz"…

– I na koniec: z okazji rejestracji partii i świąt mamy dla naszych kochanych Czytelników 50 kalendarzy z fotką imperatorki i logo partii Nowa Fala.

– Proście mailem albo listem, a będzie Wam dane.

– Oczywiście z najlepszymi życzeniami zimowego odpoczynku i zabawy. W tym roku może być naprawdę długi. Jeśli pracujący wezmą siedem dni urlopu, mogą sobie zrobić aż 19 dni laby: od 20 grudnia do 6 stycznia.

– Mnie to akurat w ogóle nie oburza, ja klasowo stoję po stronie pracowników przeciwko tzw. pracodawcom. Ludziom się odpoczynek należy, i tak tyramy prawie najwięcej w Europie.

– Ja nie mówię, że się nie należy, tylko podpowiadam, co zrobić z tym, co mamy, od kiedy Koalicja 15 X dała Polakom-katolikom wolne 24 grudnia. Żeby mieli triduum bożonarodzeniowe analogicznie do paschalnego…

– Dostrzegam w tym zresztą pewną ironię: postępowa lewica za swój czołowy sukces uznaje dopisanie kolejnego święta kościelnego do kalendarza.

– A przecież można było dać pracownikom dodatkowy wolny od pracy dzień w wybranym przez nich terminie. Raczej mało kto zdecydowałby się na 24 grudnia, bo tego dnia w bardzo wielu zakładach praca była raczej iluzoryczna. Edukacja miała wolne, sklepy i urzędy pracowały krócej niż w inne dni. Wiele osób wolałoby mieć rezerwę na coś nieprzewidzianego niż więcej czasu na sprzątnie i gotowanie. I dodajmy, że po tym dopisaniu na 12 świąt ustawowo wolnych od pracy tylko trzy są wyłącznie świeckie: 1 i 3 maja oraz 11 listopada.

– To, że się 1 maja uchował, nieodmiennie mnie raduje. Jeszcze Polska Ludowa nie zginęła tak do końca… Czego sobie i Państwu życzy tygodnik „NIE".

senyszyn@wp.pl, wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl 43829d5945